

*Martwy* sezon nad Bałtykiem

AGNIESZKA JEŻ · PAULINA PŁATKOWSKA

# *Jak* PRZECHYTRZYĆ NIEBOSZCZYKA



Zaskakująca komedia *pomyłek*

**AGNIESZKA JEŻ, PAULINA PŁATKOWSKA**

**JAK PRZECHYTRZYĆ  
NIEBOSZCZYKA**

Copyright for the Polish Edition © 2019 Edipresse Kolekcje Sp. z o.o.  
Copyright for text © 2019 Agnieszka Jeż, Paulina Płatkowska

Edipresse Kolekcje Sp. z o.o., ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa

Dyrektor Zarządzająca Segmentem Książek: Iga Rembiszewska

Senior Project Manager: Natalia Gowin

Produkcja: Klaudia Lis

Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk, Beata Gontarska

Digital i projekty specjalne: Katarzyna Domańska

Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 22 584 23 51),

Beata Trochonowicz (tel. 22 584 25 73),

Andrzej Kosiński (tel. 22 584 24 43)

Redakcja: Lena Marciniak/Słowne Babki

Korekta: Jolanta Kucharska, Anna Parcheta, Edytorial.com.pl Izabela Jesiołowska

Projekt okładki i stron tytułowych: Anna Slotorsz/artnovo.pl

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Biuro Obsługi Klienta

www.hitsalonik.pl

mail: bok@edipresse.pl

tel.: 22 584 22 22

(pon.–pt. w godz. 8:00–17:00)

facebook.com/edipresseksiazki

facebook.com/pg/edipresseksiazki/shop

instagram.com/edipresseksiazki

ISBN 978-83-8177-118-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie [Zecer](#).

# Rozdział 1

## Dziesięć miesięcy wcześniej

Woda w basenie była nieskazitelnie przezroczysta. Południowe słońce wydobywało z niej turkusowobłękitne refleksy. Brzeg pływalni pokrywała drobna mozaika ułożona w orientalny wzór. Trochę dalej, w tle, wzrok razila biel hotelu przełamana zielenią palm okalających wejście.

Wzdłuż pływalni stały rzędy plastikowych leżanek porozdzielanych niebieskimi parasolami. Porzucono na nich kolorowe ręczniki i słomkowe kapelusze, niektóre były zajęte przez ogłuszone upałem ciała w kolorze od buraczkowej czerwieni do karmelowego brązu.

Najważniejszy był jednak pierwszy plan: szczupła brunetka z długimi, rozpuszczonymi włosami w odcieniu prawie czarnego hebanu, o ładnej oliwkowej karnacji, w czerwonym kostiumie kąpielowym z perfekcyjnie skonstruowanym biustonoszem, idealnie podnoszącym, zbierającym i powiększającym biust, oraz w dużych czarnych okularach. Obok niej trochę pełniejsza szatynka z mokrymi kosmykami wypadającymi z luźno związanego koka, osypanymi piegami ramionami i półprzezroczystą żółtą chustą przewiazaną w pasie.

Obie trochę nienaturalnie pochylone w kierunku obiektywu, bardzo roześmiane.

Pod fotografią podpis: *W cudownym nastroju z Elwirą. Nasze wielkie greckie wakacje!!!*

Osiemdziesiąt dziewięć polubień, czyli wynik całkiem zadowalający.

I sporo miłych komentarzy potwierdzających sympatię do Lucyny i jej przyjaciółki:

Wow! Ale Wam dobrze! A na Mazurach leje.

A gdzie dokładnie jesteście? Ja byłam w zeszłym roku na Lesbos i zatrulałam się jakąś paskudną rybą.

My tu pracujemy, a wy... Nie ma sprawiedliwości.

Powiem krótko: zazdrość.

Takie fantastyczne dziewczyny, a gdzie faceci?

Lucyna Szychowska westchnęła. Pod koniec września każde wakacyjne wspomnienie wygra z chłodnym porankiem i ołowianym niebem, na którym od dwóch tygodni nie było słońca.

Przed znajomymi trzeba trzymać fason i starannie budować fabułę swojego życia na Facebooku. Prawda o ich wspólnych wakacjach była jednak mniej kolorowa niż to zdjęcie. Wydawało się im, że lawirując między swoimi możliwościami finansowymi a prezentowanymi na stronach internetowych ofertami biur podróży, wybrały naprawdę dobrze. Hotel miał trzy i pół gwiazdki, i to pół podsycalo nadzieję. Wyglądał bardzo korzystnie – bielutki front, ładnie odcinający się na tle błękitu, przyjemnie skomponowana roślinność, kameralny basen z leżakami, blisko do plaży. No i wariant *all-inclusive*.

Jednak w rzeczywistości...

Hotel był odnowiony, ale tylko od frontu. Tył, boki i całe wnętrze pamiętały koniec lat osiemdziesiątych: dużo błyszczących płyt pilśniowych i tapicerka w wesołe seledynowo-bordowe mazy.

Pokoje mikroskopijne, łazienka jeszcze mniejsza. Drzwi się zamykały, jeśli się nie korzystało z toalety. Siedząc na sedesie, kolanami wystawało

się za próg. Nie żeby im to bardzo przeszkadzało, przecież znały się od czasów liceum. Nie takie rzeczy jak sikającą przyjaciółkę już się widziało.

Basen był, i to nawet ten sam co na zdjęciu. Całkiem ładny, tylko mały. Tak mniej więcej pięciokrotnie za mały, przeliczając na liczbę potencjalnie chcących się nim cieszyć hotelowych gości. A chcieli się cieszyć. Patent był więc taki, że nastawiały budzik na szóstą i na zmianę, zaspane, w szlafrokach, schodziły na dół, by ręcznikami zająć sobie miejsce na leżankach. Kąpiel w basenie była tylko dla zahartowanych, bo wodę tak chlorowano, że już opary drażniły nos. To dlatego Elwira Motyl miała na zdjęciu ciemne okulary – zaczerwienione i piekące oko, które zatarła podczas pływania, wyglądało naprawdę brzydko.

Folder nie kłamał – plaża była, i to niedaleko. Zdrowy i sprawny człowiek nie powinien się ośmieszać, twierdząc, że półtora kilometra to dla niego zbyt długi dystans. I właściwie nie o tę odległość miały żal ani nie o gruntową pyłącą drogę ciągnącą się do morza bez kawałka cienia dającego wytchnienie od niemiłosiernie piekącego słońca, ale o samą plażę, czyli poletko wielkości połowy średniej sali gimnastycznej, pokryte ostrymi kamieniami.

Pewne pocieszenie niósł wariant *all-inclusive*. To znaczy Elwira kręciła nosem, że nie chodzi przecież o to, by się zapchać byle czym, tylko o to, by smakować i próbować. Irytował ją zwłaszcza brak finezji w alkoholach: albo piwo, albo wódka. Co do wina, miała obiekcje, czy naprawdę jest winem, a nie doprawioną spirytusem oranżadą. Lucyna pocieszała się lokalną chlubą – *loukoumi*, czyli czymś w rodzaju galaretki. *Sweet, very sweet. Ninety nine percent of sugar*, zachęcała kelnerka, ale i bez tego Lucyna się częstowała, usilnie sobie wmawiając, że w tym pozostałym procencie kryją się skondensowane wartości odżywcze owoców. Po

dziesięciu dniach pobytu na wyspie zauważyła, że jej katowane dietami boczki jakby odrosły. Stąd chusta na biodrach.

Chociaż właściwie wygląd nie miał wielkiego znaczenia. W obiekcie były one, grupa niemieckich emerytów, trochę dziadków z wnuczkami, samotne kobiety po pięćdziesiątce, rozgoryczone jeszcze bardziej od nich, i dwóch Szwedów – sympatycznych, ale nie zostawiających nawet cienia nadziei, że nie są gejami.

W Warszawie, kiedy chciały sobie poprawić humor, odreagować, rozerwać się, „chodziły na miasto”. Ten patent nie miał szans sprawdzić się w greckiej rzeczywistości. W promieniu dziesięciu kilometrów nie było żadnego miasta. Miasteczka. Wsi. Budynku. Drzewa. Nie było niczego. Hotel wybudowano pośrodku pustkowia. Może pierwotnie planowano tu wakacje typu surwiwal? Albo warsztaty dla buddystów?

Jeszcze na Okęciu – Lucyna dwa kilogramy cięższa, z paskudną infekcją intymną (jednak mimo chloru w basenie było jakieś życie), Elwira z zaropiałym okiem i kacem – postanowiły, że nie będzie więcej powtórki z nieudanego urlopu. Grecki wyjazd był ich trzecią wspólną, zorganizowaną przez biuro podróży wyprawą. I ostatnią. Basta. W przyszłym roku wymyślą coś zupełnie innego. Coś ekstra, co będzie fajne naprawdę, a nie tylko na facebookowym zdjęciu.

Lucyna smętnie spoglądała za okno. Było sobotnie przedpołudnie. Odespała roboczy tydzień, z ulgą odnotowując dwa dni wolne od pracy. Sama już się gubiła w tym, czy powinna na nią narzekać, czy cieszyć się, że ją ma. Codziennie, od poniedziałku do piątku, jeździła do biurowca na skraju Mordoru, zagłębia warszawskich korporacji. O dziewiątej rano odbijała kartę na bramce, a potem windą jechała na piąte piętro, do swojego biurka. Tu plus, duży plus: biurko stało przy oknie, z widokiem na niezabudowaną zielenią ogródków działkowych. Niebo dość często

przecinały samoloty szybujące z lotniska i na nie. Często się wtedy zastanawiała, dokąd lecą lub skąd wracają. Od czasu do czasu czerwieniły się wagony eskaemek. To naprawdę nie było złe. W poprzedniej pracy, w małej firmie, wciśniętej w starą willę na Mokotowie, dostał jej się pokój w suterenie. Lekko cuchnący, mimo atomizera z zapachem, przesiąknięty wilgocią chorujących murów. Tam niechybnie czekałyby ją suchoty, jak romantyków. Pamiętała celę mistrza Mickiewicza z wycieczki do Wilna – grzyb i zaraza. Teraz był luksus. I klimatyzacja. I stołówka na dole, gdzie zawsze było coś wegetariańskiego, bezglutenowego i domowego. Demokratycznie. I jeszcze mały sklep, kiosk Ruchu. W budynku było wszystko, i słusznie, bo na zewnątrz nie było nic. Zupełnie jakby teren był skażony po wybuchu nuklearnym i jedyne możliwe życie mogło się toczyć w licznych biurach dokoła.

Więc się toczyło. Osiem godzin każdego dnia upływało Lucynie na pracy w dziale marketingu firmy oferującej „nowoczesne rozwiązania do łazienek”. Od trzech miesięcy zajmowała się komunikacją z klientem. Miała dbać o zadowolenie, budowanie marki i utrwalanie jej dobrego wizerunku. Z tym ostatnio był problem, bo nowa fabryka w Chinach przysyłała, co prawda, śliczne i błyszczące rolki do kabin, jednak z tym małym defektem, że po miesiącu przestawały się kręcić, bo łożyska w środku się rozsypywały. Lucyna nie radziła już sobie ze skargami klientów. Nie wyrabiała się z przyjmowaniem reklamacji, brakowało serwisantów. Do tego wszystkiego szef kazał udobruchać rozżalonych nabywców jakimś prezentem na pocieszenie. Wkładała więc do kopert malusie, ślicznusie mydełka z logo firmy i zatopionymi w środku kwiatami, dołączając przeprosiny. Przy setnej kopercie życzyła pani Iwonie z Lublina, żeby się poślizgnęła na tym mydełku, a mniej więcej przy



trzechsetnej miała ochotę napisać panu Robertowi, żeby sobie wsadził to mydełko w tyłek.

Tak, zdecydowanie dobrze, że dziś sobota. Musi wypocząć, zrelaksować się i nadać codzienności jakiś sens. Życia nie można puścić samopas, bo się porozłazi w różne strony i wtedy człowiek się gubi. Poza tym trzeba planować, i to długofalowo. Dlatego właśnie, mimo że przez dwa najbliższe dni wciąż jeszcze będzie lato, warto by było zaklepać jakiś urlop.

Nie, nie jakiś. Żadnych już irytujących wpadek i nedoróbek. Wakacje idealne. Wakacje marzeń. Wakacje życia.

Hej! Jesteś?, wystukała na Messengerze.

Po chwili przyszła odpowiedź od Elwiry:

Jestem. Chociaż Platon twierdził, że to tylko złudzenie.

No tak. Elwira i te jej filozoficzne ciągoty.

Weź. Sobota jest. Odstaw tę swoją pracę.

To nie praca. W pracy empatycznie wysłuchuję, jestem miła i uprzejma. Czyli zupełnie nie jestem sobą.

Elwira była psycholożką. Właściwie jedną nogą już w coachingu, bo rzeczywiście praca terapeutki, wymagająca dużych pokładów cierpliwości, spokoju, zrozumienia ludzkich wad, dramatycznie rozjeżdżała się z jej predyspozycjami. Zdecydowanie wolała ludźmi potrząsać, opieprzać ich, mówić, co mają robić, i z tego ich rozliczać. Przystawiała się więc na nowe tory, od początku roku planując być doradczynią życiową, czyli trenerką personalną.

Słuchaj, a masz czas?

Mam. Żadnego faceta w zasięgu wzroku, żadnej fajnej książki pod ręką. Wino u ciebie?

Za godzinę?

Pić przed trzynastą? Jeszcze się tak nie stoczyłam. Będę koło trzeciej, zamówimy sobie to chińskie żarcie z za rogu.

Ty, taka ekologiczna, i chińskie żarcie...?

Raz, nie zawsze. Wyjątkowo mam dziś ochotę na stary olej i glutaminian sodu.

I znowu nie schudnę.

Odstaw krówki, to schudniesz. Zresztą i tak nie masz dla kogo, więc się nie martw.

Jesteś podła.

Jestem przyjaciółką, to mogę. Pa!

Czekam! Pa!

\*\*\*

Trzy godziny później Elwira sprężystym krokiem przecięła skwer między przystankiem a blokiem Lucyny. Trochę ją wkurzało, że w rytm jej chodu klucze w za dużej (ale modnej) torbie irytująco obijały się o butelkę wina. Mogła była odzłować parę złotych i kupić je w winiarni, wtedy przynajmniej fachowo zawinęliby butelkę w papier. W Biedronce nikt w nic alkoholu nie zawijał. Foliówkami Elwira gardziła.

– Jasssne, wino z winiarni do chińszczyzny z za rogu! – prychnęła sama do siebie i wzruszyła ramionami. – Sajgonki z miejskiego gołębia i bordeaux, rocznik dwa tysiące piąty.

Gdzieś czytała niedawno, że dwa tysiące piąty był w regionie Bordeaux „wielkim rocznikiem”, czyli rokiem, w którym z punktu widzenia

producenta win wszystko zdarzyło się w odpowiednim momencie – opady, słońce, wahania temperatur. A dobry rocznik Bordeaux może być nawet dwa, trzy razy droższy od słabego – żaden inny region winiarski na świecie nie stosuje aż tak wyraźnej huśtawki cenowej.

Elwira często się zastanawiała nad fenomenem ludzkiego mózgu. Wedle jakiego klucza odbywa się sortowanie rzeczy wartych (zdaniem mózgu) zapamiętania i tych do odrzucenia? Na przykład po cholere przyswoiła te dane o winach z jakiejś gazetki sommelierskiej? Na wypadek małego popisu wiedzy gdzieś, kiedyś?

Wiedzy! – prychnęła znowu. – Żadna wiedza, zwykle ciekawostkowe dyrdymały.

A zatem wraca pytanie: po co mózg...

Swoją drogą, ciekawe, co się powinno pić do kurczaka gong bao czy innych chińskich przebojów? – Nowa myśl nie dała wybrzmieć do końca poprzedniej. – Białe wino czy czerwone? A może chińską herbatę?

Co za różnica! – szybko zbeształa się w duchu. – Nie idę na randkę z mandarynem, tylko do Luśki, z którą nie tylko będziemy popijać makaron sojowy czerwonym winem, lecz także na deser Luśka pewnie poda wszystko słodkie, co tylko będzie miała w domu: niepasujące do niczego lody, ciastka, czekoladki, w ostateczności płatki kukurydziane zalane nesquikiem. Oto była kuchnia *fusion* w wydaniu jej pocziwej przyjaciółki: trochę swojsko, trochę obleśnie.

Chyba że wyżarła wszystko... – Elwira smętnie pokiwała głową, westchnęła i kopnęła w trawę kawałek żwiru. W końcu będzie trzeba nad tą Luśką trochę popracować. Za miękki ma charakter, za łatwo sobie odpuszcza. Codzienne frustracje zajada słodyczami, w rezultacie znowu tyje.

Elwira nie lubiła tycia. Wszystkich grubasów (liczonych już od rozmiaru M) bez zbędnego wnikania, dlaczego są grubi, wrzucała do jednego worka z etykietą „towarzysko napiętnowani”. Nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu uważała za grzech główny.

Sama trzy razy w tygodniu chodziła na intensywny trening *fat-burning*, konsekwentnie nie przyjmując do wiadomości oczywistego faktu, że sylwetkę i płaski brzuch zawdzięcza nie ćwiczeniom, a dobrym genom i fantastycznej przemianie materii. Zdecydowanie wołała – oraz chętnie lansowała wśród znajomych – teorię, że każdy jest kowalem własnego losu oraz figury, zatem ona, cóż – w tym miejscu wyznania lubiła kokieteryjnie zatrzepotać rękami – do wszystkiego doszła sama dzięki dyscyplinie, zdrowemu trybowi życia i morderczym treningom.

Czasem wręcz żałowała, że nie ma za sobą spektakularnej przemiany w stylu Joanny Brodzik, która z pulchnej nastolatki własną determinacją przeobraziła się w śliczną królową.

Niestety, Elwira zawsze była szczupła i piękna.

Pod kłatką Lucyny z pasją sięgnęła do torby i przełożyła klucze do innej przegródki. Szklano-metalowe brzdąkanie wreszcie ucichło – lepiej późno niż wcale. Wystukała znany na pamięć kod domofonu przyjaciółki, weszła do klatki i wspięła się po schodach na piąte piętro – każda okazja jest dobra, by trochę nad sobą popracować.

Dzwonek Luśki od czterech lat (czyli odkąd Luśka kupiła mieszkanie) był zepsuty. W tym kontekście można było narzekać na brak męskiej ręki lub efektownie łomotać do drzwi. Elwira zawsze konsekwentnie wybierała opcję drugą.

Lucyna, uprzedzona domofonem, otworzyła już po pierwszym łomocie.

– No cześć, Lucha. – Elwira rzetelnie cmoknęła nadstawiony pulchniutki policzek z dołączkiem. – Co robisz?

– Rozpamiętuję – wyznała Lucha.

– A co? – zagadnęła uprzejmie Elwira, ściągając jeden but o drugi.

– Jak to we wrześniu: wakacje.

Elwira zmarszczyła brwi i posłała jej szybkie, wnikliwe spojrzenie.

– Jest co rozpamiętywać?

– Nnoo... Choćby słońce. Latem jest słońce. Mam wtedy więcej energii do życia.

– Jakoś nie zauważyłam, żebyś miesiąc temu była szczególnie energiczna – orzekła brutalnie Elwira.

– Ale wewnątrznie byłam – upierała się Luśka. – Zewnątrznie zresztą też. Odmalowałam kuchnię. Raz byłam na tańcach. Parę razy wróciłam pieszo z pracy do domu.

– Łaa! – zadrwiła Elwira. – Na tańcach? – zastanowiła się. Tego epizodu z życia przyjaciółki nie kojarzyła.

– W lipcu, na wyjeździe integracyjnym z firmą.

– Łiii, takie tam tańce z podpitymi urzędasami. – Elwira wzruszyła ramionami. – Tak licząc, to nawet byłaś dwa razy, duszko. Jeszcze ze mną, na wieczorze greckim. – Nie czekając na gospodynię, przeszła do kuchni i wyjęła z szuflady korkociąg.

Lucyna podreptała za nią.

– Ale tam nie było żadnych tańców! Trochę kiepskiego żarcia, trochę durnej muzyki, dużo za dużo pijanych Polaków.

– Był kurs zorby, pamiętasz?

Lucyna przewróciła oczami.

– Absurdalnie wydane pieniądze. Nigdy więcej się nie dam naciągnąć.

– W zeszłym roku zarzekałaś się, że nigdy więcej wczasów z biura podróży.

– No i popełniłyśmy błąd.

– Którego nie chcemy powtarzać. – Elwira sprawnie rozlała wino do dwóch apetycznie pękatych kieliszków. – Zamawiałaś już chińszczaka?

– No skąd! Nie wiem przecież, co byś chciała.

– E tam, nie wiesz! Więcej wiary w swoją intuicję! – Elwira przyjacielsko klepnęła Luśkę w ramię. – Zresztą wszystko jedno. Zamów coś i chodź na kanapę.

Lucyna zdjęła z tablicy magnetycznej ulotkę i chwilę studiowała ofertę.

– Krewetki czy wołowina?

– Kurczak. Którykolwiek.

– Sama widzisz, że jednak lubisz mieć wybór! – wytknęła Lucyna. Wybrała dla przyjaciółki kawałki kurczaka w panierce z ciasta kokosowego, po namyśle dla siebie zdecydowała się na to samo. Przepisała numer z ulotki do telefonu i podyktowała zamówienie.

– Wzięłam nam do picia aloes – pochwaliła się po rozłączeniu.

„Kuchnia *fusion*...” – pomyślała Elwira z rezygnacją.

Godzinę później polegiwały na wygodnej rozłożystej kanapie Lucyny, syte i zadowolone.

– Słuchaj, Luśka – odezwała się naraz Elwira. – Wracając do tematu wyjazdów, to gdzie ty byś chciała spędzić wakacje tak najbardziej? Ale nie w zupełnym odrealnieniu. Przyjmijmy, że mamy taką kasę, jaką mamy, tyle urlopu, ile mamy, no i takie badziewne doświadczenia z wyjazdami, jakie mamy.

W oczach Luśki pojawił się błysk zrozumienia i entuzjazmu. Uwielbiała snuć wizje.

– Chciałabym na jakiś czas zamienić się z kimś na domy i życia, jak w filmie *The Holiday*.

– Proszę bardzo, możesz u mnie pomieszkać – mruknęła Elwira.

– Wiesz, że nie o to chodzi... – Lucyna gładko wchodziła w rozmarzenie.  
– To musi być na antypodach, a nie w sąsiedniej dzielnicy!

– A niby dlaczego koniecznie musi być daleko?

– No... bo chodzi przecież o odmianę. Odmianę otoczenia, odmianę losu...

– Losu! – Elwira triumfalnie wycelowała palec w przyjaciółkę. – Przejęcie cudzego domu, życia i faceta. Ha! Tu cię mam!

– Nieprawda, nie tylko w tym rzecz... – słabo broniła się Lucyna. Pod względem temperamentu i siły argumentacji znacznie ustępowała Elwirze. Zawsze zresztą po cichu uważała, że doprawdy lepiej było mieć ją za przyjaciółkę niż za wroga. – Ja po prostu... wiesz, mam taką ciągotę... Że lubię cudze domy. Jestem ciekawa, jak kto mieszka; czy to, jak się na przykład ubiera, jest spójne z tym, jak sobie urządził dom... To jest dla mnie inspirujące. Dużo bardziej niż bezduszne hotele. Więc bardzo chętnie pojechałabym na wakacje do kogoś. Szkopuł w tym, że nie mam tak bliskich znajomych czy rodziny, do których mogłabym jechać bez poczucia, że robię komuś kłopot.

Elwira nagle podskoczyła, jakby z mięsistej kanapy wysunęła się duża sprężyna i perfidnie dźgnęła ją w tyłek.

– Hej!!! – krzyknęła i odstawiła szklanke z napojem aloesowo-winogronowym. – To jest myśl! To jest właśnie nasz pomysł na następne wakacje! Wynajmiemy dom!

Lucyna popatrzyła na nią z wyrozumiałą troską, jak na wariatkę.

– Ty wiesz, ile ja zarabiam, prawda?

– Wiem, no i?

– I myślisz, że mogłabym sobie wynająć na wakacje dom?

Elwira rozłożyła swoje długie ramiona, co chyba miało symbolizować odległość.

– Gdybyś trochę przykróciła te antypody...

– Mianowicie? Jak bardzo przykróciła? – spytała przezornie Lucyna.

– Nie wiem, no... też nie mam rozeznania w cenach. Toskania?

Na krótką chwilę Lucyna dała się ponieść iluzji, że to możliwe. One dwie – i wspaniały kamienny dom. Dzień w dzień lazur nieba, jaszczurki wygrzewające się na słońcu, cudowna roślinność, jakaś urokliwa ścieżka nad morze, w żadnym stopniu nieprzypominająca tegorocznej greckiej patelni, przestronne pokoje, stylowe łoża, a choćby i nawet baldachimy, kolacje na tarasie z zapierającym dech widokiem na winnice i cedry...

„Już – cichutko szepnęła jej do ucha proza życia. – Nie rozkręcaj się. Wiesz, jak jest”.

Wiedziała jak cholera.

– El, ty wiesz, ile płacę kredytu za mieszkanie? – spytała uprzejmie.

– Z grubsza.

– Tak: grubszą część tego, co zarabiam. Do tego czynsz i opłaty. Z tego, co zostaje, mogę sobie najwyżej wynająć dom w Koziej Wólce. A i to z tobą na spółkę.

Elwira obrzuciła ją pełnym uznania spojrzeniem.

– Ty wiesz, że znowu masz rację? Właściwie dlaczego od dobrych paru lat pomijamy opcję krajową?

– Bo lubimy, żeby było ciepło? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Lucyna.

– Ostatnie lata pokazały, że i u nas bywa tropikalnie. A gdyby do tego poszukać stylowego domku w fajnym miejscu... To nawet jakby tam czasem lunęło czy coś, to i tak będzie miło. Żadnych bachorząt wrzeszczących na stołówce. Żadnych tupotów. Żadnych obcych ludzi w ogóle. My dwie, kominek, drewniana podłoga, poroże jelenia...

– Tylko nie poroże jelenia – zastrzegła Lucyna z odrazą.



– No nie wiem. Gdyby to była na przykład leśniczówka w głębi boru, to poroże byłoby jak najbardziej na miejscu... – Elwira postanowiła się trochę podroczyć.

– Środek boru odpada. Gubimy się w lesie – przypomniała trzeźwo Lucyna. – Oraz ja się boję kleszczy. I skrajnych odludzi.

– Ojej, no to pod lasem, co za różnica! A najbardziej bycze kleszcze żyją ponoć na łąkach. Chodzi o samą koncepcję wyjazdu innego niż wszystkie dotąd! Nie jak nasze studenckie pod namiot czy do schroniska. Nie jak ostatnie all-inclusive’y w lastminutach po tanioci. Dorosło, nietuzinkowo i europejsko! – Elwira sięgnęła po resztkę wina. Ten aloes jej zupełnie nie wchodził.

– Uważasz? – Lucyna niełatwo się zarażała optymizmem przyjaciółki. – Ale czy polskie kwatery nie bywają ciasne i obskurne?

– Nie mówimy o kwaterach!!! Tylko o wynajęciu całego domu!! Dla nas tylko! – zdenerwowała się Elwira. – Poza tym na czym opierasz swoje przekonanie? Kiedy ostatnio jeździłaś turystycznie po Polsce, hę? Chyba z tym słomianym wdowcem, co cię omamił trzy lata temu i zabrał gdzieś na zadupie?

– Do Krotoszyna – uściśliła Lucyna szeptem i spłonęła rumieńcem. Zapał, z jakim wdepnęła wtedy w ten krótki związek, oraz przykre odkrycie, że facet miał żonę i dzieci, do dziś napawały ją podwójnym wstydem: za brzydki postępek i własną głupotę.

– To mogę ci obiecać, Krotoszyn sobie darujemy. Przynieś laptopa. Są takie portale z domami do wynajęcia. Zobaczymy, co tam dają.

Lucyna posłusznie skierowała się do sypialni, gdzie wczoraj wieczorem porzuciła komputer.

– Proszę. – Postawiła go przed Elwirą, dyskretnie zdmuchując okruszki z klawiatury.

Elwira sprawnie wstukała w wyszukiwarkę hasło: „dom do wynajęcia na wakacje” – i faktycznie już po chwili ekran zalały dziesiątki internetowych wersji folderów turystycznych. By w tym zupełnie nie zginąć, trzeba było nieco ograniczyć kryteria wyszukiwania.

- Wybierz region.
- Bo ja wiem? Może góry?
- W górach chwiejna pogoda.
- Mazury?
- Komary.
- No to morze.
- Pomorze Zachodnie? Mierzeja Wiślana? Hel?
- Hel – zdecydowała Lucyna, bo brzmiał najniewinniej.

Elwira jeszcze bardziej zawężyła wyszukiwanie i chwilę czekała na efekty.

- Półwysep Helski. Mamy – powiedziała w końcu. – Chodź, patrz.

Jako pierwsze wyskoczyły dwie wille w Chałupach – jedna w stylu absurdalnego w tym miejscu polskiego dworku, druga – ultranowoczesna, płaska, przeszklona, z bajecznym widokiem na morze. „Sauna, jacuzzi, możliwość zorganizowania wieczoru miłości dla dwojga. Rezerwacja *first minute* – tylko tysiąc złotych za noc poza sezonem!” – zachęcał migoczący baner reklamowy.

Lucyna tęsknie westchnęła.

– Określimy jeszcze ceny – ukróciła te nostalgie Elwira. – Jak dużo jesteśmy skłonne dać za noc? Pamiętając, że jeszcze będziemy musiały się wyżywić i rozerwać?

– Do stówy? – wysunęła nieśmiało Lucyna. – Na łebka – uściśliła dzielnie. Do lata pozostał szmat czasu, zdąży uciąć, ile trzeba.

Elwira przesunęła suwak z cenami maksymalnie w lewo i na polu bitwy ostały się trzy domki. Dwa wyglądały odpychająco, ale trzeci...

– Ooo! – jęknęła nagle Lucyna.

– Co: „ooo”?

– Ten jest bardzo ładny!

– „Kaszubski domek dla dwojga. Sypialnia, pokój dzienny z otwartą kuchnią, weranda. Pełne wyposażenie kuchni, doskonałe położenie”. – Elwira przebiegała wzrokiem przez tekst ogłoszenia.

– Bardzo klawy – przyznała.

– Właściwie mogłabym tam jechać już teraz. Na króciutko, na przykład na weekend – zadeklarowała Lucyna.

– „Dostępny wyłącznie w sezonie” – poinformowała Elwira, doczytując dalszą część ogłoszenia. – Czyli nie mają ogrzewania albo nie chce im się doglądać turystów poza sezonem.

– Albo po prostu przez resztę roku sami w nim mieszkają. – Lucyna dołączyła do zabawy w gdybanie.

– Może – przyznała Elwira. – Nieważne. Bierzemy go?

– Ale już? Czy to nie jest trochę szaleństwo? Kto wie, co będzie za rok?

– Ja wiem. Ty wiesz – ucięła Elwira. – Ceny wzrosną, a wolnych miejsc nie będzie. Zostaniemy z ręką w... No. Na lodzie.

Fakt.

– Dobra. To rezerwuj. W jakim terminie i na ile?

– Krócej niż na dwa tygodnie się nie opłaca, bo nie wypoczniemy. Termin bym wzięła pierwszy wolny, najlepiej od razu na początku sezonu, od kiedy tam go liczą?... W ten sposób będziemy mieć wszystko świeżo wysprzątane, może nawet trochę odnowione, kto wie? Potem, jak się zacznie ruch, to już tylko po łebkach będą pewnie lecieć. Od połowy

czerwca można. Perfekt i ekstra!!! Jeszcze nie będzie takiego obłożenia na plaży! Rezerwuję! Tak?

Ostatni raz spojrzała na przyjaciółkę, której wyraźnie coś jeszcze nie dawało spokoju.

– No, co tam? Gadaj.

– Nic, nic, dom jest świetny! Taki w sam raz... dla nas. Tylko tak sobie pomyślałam... Wiesz, życie jednak ciągle płynie naprzód... A jeśli do przyszłego lata... no wiesz, kogoś sobie przygruchamy? I byśmy go... ich... ewentualnie chciały ze sobą zabrać? To ten domek jest za mały. Jedna sypialnia tylko.

Elwirę nie pierwszy raz zdumiewała pesymistyczna zapobiegliwość Lucyny. Lucy jak nikt potrafiła się martwić na zapas i wynajdywać dziurę w całym. Elwira miała jednak długoletnie doświadczenie w rozpędzaniu tych jej czarnych chmur.

– To wtedy się będziemy martwić. Albo raczej cieszyć.

## Rozdział 2

### Sześć miesięcy wcześniej

– Zawsze w niedzielę robi mi się niedobrze. Już od południa boli mnie głowa i żołądek. Gdy tylko pomyślę, że za kilkanaście godzin muszę znowu iść do pracy, to aż mnie mdli.

– Wiąże pan te dolegliwości z pracą? Na pewno nie kryje się pod nimi nic innego?

– Nie, na pewno nie. Ja po prostu nie znoszę mojego szefa. Tępy, nadęty głupek. Typ spadochroniarza, którego koledzy zawsze podniosą po nieudanym skoku i usadzą za innym wygodnym biurkiem. A potem inni muszą się z tym kretyńcem męczyć. Nie dość, że się nie zna, to jeszcze dręczy wszystkich, psychopata jeden.

– Rozumiem, że te cechy są nieusuwalne i nie ma szans, by on się zmienił?

– A skąd! Sama pani najlepiej wie, że psychopaci są niereformowalni. Chore głowy po prostu.

– Taaak... Wydaje się zatem, że jedyne rozwiązanie w pańskiej sytuacji to odejście z pracy.

– Ale dlaczego ja mam odchodzić? To on jest szurnięty! Poza tym mam niezłą pensję, kredyt i nie chcę szukać czegoś innego!

– Rozumiem, ustaliliśmy już jednak, że aby dana sytuacja nie wpływała na życie destrukcyjnie, należy ją zaakceptować lub zmienić. Innej drogi nie ma. W pana przypadku akceptacja nie jest możliwa, zatem pozostaje

zmiana. Nasz czas dobiegł końca, proszę wykonać zadanie domowe: na kartce u góry napisze pan „zmiana pracy”, w kolumnie po lewej minusy, w kolumnie po prawej plusy. Porozmawiamy o tym za tydzień.

Elwira była wykończona. Po czterech sesjach marzyła już tylko o kieliszku wina. Byle jakiego, grunt, że z procentami. Skończyła psychologię, bo chciała pomagać ludziom. Bardzo chciała i nadal chce, ale jak pomóc komuś, kto się przed tą pomocą wzbrania ze wszystkich sił? Chociażby ten ostatni facet, analityk Piotr. Co tydzień do niej przyłazi, siada w fotelu i w kółko opowiada o swoim szefie. Jasne, szef to świr, należałoby go odizolować od społeczeństwa, ale jeśli się nie da, to społeczeństwo powinno się odizolować od niego. No czego tu nie rozumieć? A ten Piotr siedzi, dzieli włos na czworo i stęka. Jezu, jak ją to wkurza. Potrząsnęłaby nim, szarpnęła za tę markową koszulę, no ale nie może, po prostu nie może. Raz, że etyka, dwa, że kasa. Albo w odwrotnej kolejności. O, to samo z tą Beatą. Mąż ją zdradza, a ta płaci co tydzień sto dwadzieścia złotych, żeby się głośno pozastanawiać, co z tym zrobić. Elwira z solidarności jajników za *free* by jej powiedziała, że zrzucić ze schodów. Ale ona się upiera, hamletyzuje, że druga szansa, że może to jej wina, że ma już czterdzieści jeden lat i na pewno zostanie sama. To czterdzieści jeden lat szczególnie Elwirę ubodło. Sama miała trzydzieści pięć i uważała, że wszystko przed nią. O ile, oczywiście, przeżyje te sesje coachingowe. Przydałaby się jej superwizja, oczyszczające wsparcie. Luśka nada się znakomicie.

– Hej, to ja. Co robisz?

– Przygotowuję kartki świąteczne.

– A nie można jakichś kupić? Chyba nie brakuje? Nawet u mnie pod domem w kiosku widziałam całkiem ładne.

– Nie, nie. One mają być takie bardziej spersonalizowane. Oddające ducha firmy, poczekaj, mam tu napisane wytyczne: „życzenia kojarzące się klientowi z firmą i jej asortymentem; przez dobre świąteczne konotacje wzmocnimy przywiązanie klienta do marki”.

– Rany, ale bełkot.

– No, może tak. Ale pomysł chyba nie taki zły? Żeby się wyróżnić. Tylko jak? Siedzę i nic nie mogę wymodlić, jakoś mi brak inwencji. Myślami jestem już w Lublinie, u mamy.

– Jedziesz jutro?

– Jadę. Są imieniny ciotki, mamie zależy, żebym też przyjechała. I fajnie, bo nawet to lubię, w Lublinie można odpocząć, złapać trochę oddechu od tego warszawskiego pędu.

Elwira za nic by nie chciała wyhamować. Myśl o weekendzie w Lublinie przyprawiła ją o gęsią skórkę. Co tam robić? Pół godziny na Starówkę i tyle. Reszta to jakieś rudery albo bloki. I nuda.

– To w czym rzecz?

– Bo będzie jak zawsze. Najpierw mama zapyta o faceta, a potem ciotka, babcia, sąsiadka i poleci. Że wiek Chrystusowy, a ja sama. I żebym wracała do Lublina, bo widać w stolicy mi mąż niepisany.

Elwira, której stan posiadania faceta był taki sam jak Lusi, czyli zerowy, nic sobie z tego nie robiła. Na pewno nie doszukiwała się winy w sobie, tylko w mężczyznach. To raz. Dwa – nie miał jej specjalnie kto dręczyć, bo mama, pielęgniarzka, pracowała w Szwecji i widywały się na tyle rzadko, że nie było sensu psuć tych spotkań jakimiś przesłuchaniami. No i w Skandynawii obyczajowość inna niż w takim Lublinie – dopuszcza singielstwo i nakazuje tolerancję.

– To może wymyśl jakiegoś chłopaka na potrzeby wizyt w domu?

– E, no coś ty. Przecież się wyda.

– Niekoniecznie. Możesz go potem wysłać do pracy za granicę. Albo na misję. O, jeszcze lepiej – uśmiercić. Pogrążysz się wtedy w żałobie i będziesz mieć spokój na jakiś rok.

Lusia westchnęła. Życie w wykonaniu Elwiry było takie proste. Szast-prast i już. Każdy problem się rozwiązywało, o powodzeniach nie pamiętało, a przyszłością nie zadreęcało. Niby takie proste, ale Lusi jakoś nie szło. Zresztą ona nie chciała mieć spokoju, chciała mieć faceta.

– Nie potrafiłabym. Na kilometr po mnie widać, że zmyślam.

– To fakt. No to cierp. Znaczą akceptuj.

– Ta... A coś ci przychodzi do głowy z tymi życzeniami?

– Nie. Chociaż poczekaj, mam! „Radości i czystości w bród”. I narysowany brodzik. Bo rozumiesz – bród – brodzik. Albo tak: „Dobrego jak z rogu obfitości”. A zamiast tego rogu prysznic, taki pod sufitem, z którego, jak woda, płyną te dobre życzenia. O, i jeszcze: „Nie zakręcaj kurka z dobrymi myślami”. To już bardziej na Nowy Rok.

– Fantastycznie! Tradycyjne życzenia, ale forma nowoczesna. I pomysł jest. I kojarzy się z łazienką i naszą firmą. Jesteś świetna, mogłabyś pracować w reklamie.

– Jeśli mnie ten coaching wkurzy, to rozważę. Na razie jednak nie będę zmieniać bebeczków na armaturę. À propos właściwie to dzwoniłam, bo chciałam odreagować. To ja szukałam pociechy.

– Ty? Elwira, ty nigdy nie szukasz pociechy. Ty organicznie nie lubisz, gdy ktoś się nad tobą użala.

– Fakt. Ale jestem zmęczona. Początek grudnia, chłodno, ponuro, wieje, szaro. Ludzie marudzą, słońca nie ma, wino wszystkiego nie załatwi. Wakacje by się przydały.

– No! Wpisałam sobie w kalendarz, pod datą piętnastego czerwca – Jurata, domek na wydmie, ulica Morska trzy. Nawet go narysowałam.



I sobie wizualizuję. Pomaga, mówię ci.

Elwira się uśmiechnęła. Pocieszna ta Lusia. Już ma kalendarz na przyszły rok. Zapisała datę i adres. Zaraz pewnie ją zapyta o bilety.

– A, i wiesz co? Pomyślałam sobie, że mogłybyśmy już kupić bilety. W promocji „wcześniej – taniej”.

– Pół roku wcześniej?

– Na pewno mają. Może nawet na pendolino by nas było stać? Dobra, to ja ogarnę te kartki i sprawdzę połączenia. Słuchaj, kończę, żeby tu nie utkwic do dwudziestej. Pa!

– Pa! – powiedziała Elwira.

Czekał ją samotny weekend z kocem, winem i książką. Zapowiadało się całkiem przyjemnie. W końcu po całym tygodniu wypełnionym spotkaniami z ludźmi trochę ciszy i spokoju jest nieodzowne.

## Rozdział 3

### Trzy miesiące wcześniej

Po nijakiej zimie przyszła bardziej zdecydowana wiosna. Słońca nadal było jak na lekarstwo, ale gdy już się pojawiło, przyjemnie ogrzewało twarze i plecy. Zmarznięte brudne bryły lodu – pamiątka po krótkotrwałych opadach śniegu – dogorywały na ulicach. Ziemia powoli odtajała, uwalniając zapach nowego życia.

Elwira już zupełnie zrezygnowała z tradycyjnych porad terapeutycznych i całkowicie przestawiła się na coaching. Nieprzyjazność aury i brak interesujących mężczyzn dokoła pomogły jej się zmobilizować i stworzyć program, który ułatwiał jej klientom przechodzenie przez trudne sytuacje życiowe. „Zmiana w życiu, życie w zmianie – praktyczny plan odnowy”. Chętnych nie brakowało. Elwira wpadła bowiem na świetny pomysł – wydrukowała trzy tysiące ładnych ulotek ze swoją ofertą i razem z Lusią roznosiły je po biurowcach Mordoru. „Klient na wyciągnięcie ręki – cieszyła się Elwira. – Na pewno chwyci. To jak sprzedawać paski cukrzycowe w cukierni albo plastry na placu zabaw. Zbyt gwarantowany”.

Rzeczywiście. Klienci się posypali. Lucyna uważała, że to smutne – tyle niespełnionych ludzi dokoła niej. Mija ich na wąskich uliczkach, w windzie, w stołówce, przechodząc przez parking. Chcieliby mieć pasieki na Mazurach, plantację lawendy w Prowansji, piec ekologiczne wegańskie ciasta albo szyć stroje dworskie, a muszą co rano wskakiwać w garsonkę lub garnitur, półtorej godziny przebijać się do biura, osiem godzin

wpatrywać w monitor, nie przysypiać na przeciągających się zebraniach, za jedyne rozrywki mając wyjazdy integracyjne, wyprzedaże w Galerii Mokotów, abonament do siłowni i bezpłatne szczepienia przeciw grypie. Elwira zaś podchodziła do sprawy pragmatycznie. Po pierwsze, dzięki nim ma na chleb. Po drugie, jeśli przychodzą, to znaczy, że jeszcze nie jest z nimi tak źle, bo mają marzenia i wiarę w ich spełnienie. Próbowwała nawet namówić Luśkę, żeby i ona się przyjrzała swojemu życiu, czy aby na pewno najbardziej na świecie kręcą ją bidety i kabiny prysznicowe, ale – jak podejrzewała – duch rewolucjonisty jeszcze się w przyjaciółce nie obudził. Może zresztą zawsze będzie sobie smacznie i nieświadomie pochrapywał? Lusia bowiem wydawała się generalnie zadowolona ze swojego życia. Z jego przewidywalności i gładkości. Metro i tramwaj co rano, kanapka kupowana w sklepie za rogiem, poranna kawa latte z podwójnym mlekiem, paprotka na parapecie, katalog z ofertą łazienkową cztery razy w roku, firmowy świąteczny obiad we włoskiej knajpie na Ochocie, miłe wakacje.

Właśnie, wakacje. Może w tym roku wyjątkowo zabierze się do kupowania letniego outfitu wcześniej? Potem to jednak są problemy – niby wszystkiego w tych sklepach po kokardę, ale kiedy człowiek chce czegoś konkretnego, to albo rozmiaru brak, albo kolor inny został. Lusia będzie się denerwowała, że nie zdążą, że źle wygląda w tym kostiumie, że znowu wszystko na ostatnią chwilę. To niech ma. Na tym polega przyjaźń – myśli się o potrzebach drugiej osoby.

Lucy, idziemy w sobotę na zakupy? Do Factory? Kostium, klapki, pareo – wystukała SMS.

Czas najwyższy. W piątek pensja, sobota pasuje.

Załatwione. Tak powinno wyglądać życie.

## Rozdział 4

### Dzień wcześniej

Trzy miesiące przeleciały nie wiadomo kiedy. Po majówce zaczęły się upały, których końca nie widzieli nawet najbardziej sceptyczni synoptycy. Słońce przypiekało, zapowiadając wyjątkowo udany sezon urlopowy.

– Widzisz, nie było się co cykać. – Elwira radośnie klepnęła Luškę po plecach. – Masz te swoje kanikuły, i to za polską stawkę.

– No przecież się nie cykałam. Od razu się zgodziłam, nawet bilety na pociąg kupiłam nam dużo wcześniej. Jestem pozytywnie nastawiona i zmotywowana.

Elwira się roześmiała.

– Wiem. Drocę się. Super, że jedziemy. Czuję, że będziemy się bawić do upadłego.

– Jasne. Tylko wiesz co... Powiem ci to teraz, bo trochę mnie to dręczy, a po tym szkoleniu w sprawie uzależnień to jeszcze bardziej...

– Bierzesz coś? Ej, Lucy, wszystko dla ludzi, ale z głową. Ja ci nie pomogę, bo na uzależnieniach się nie znam. To inni spece obstawiają.

– Nie, nie ja. No coś ty. O ciebie mi chodziło. Bo... no tak jakby trochę za dużo ostatnio pijesz. Można dobrze spędzać czas bez alkoholu...

– Ja? Oszalałaś! Pełna kontrola.

– Ostatnia impreza świadczy o czymś innym. Zalałaś się w trupa.

– E, byłam zmęczona, na głodniaka. Wypadek przy pracy. Obiecuję – żadnych trupów na wyjeździe.

– Dobra. To co, jutro na Centralnym o czternastej dwadzieścia?

# Rozdział 5

## Dzień 1.

Podróż mijiała w cudownej atmosferze. Pendolino gnało z Mazowsza ku Bałtykowi, oferując przyjemny komfort. Walizki leżały na szerokich półkach w korytarzu, Lucyna i Elwira siedziały w wygodnych niebieskich fotelach, przy stoliku, naprzeciwko siebie. Przed nimi stały zakupione w Warszawie ziemniaki z koperkiem i twarogiem, obok przewodnik po Półwyspie Helskim.

– To co tam pani dla nas ma, pani kierownik? – Elwira wyciągnęła się, opierając stopy o podłokietnik.

– Fokarium na Helu. Uroczę foczki szare: Bubas i Agata.

– A jakieś rozrywki dla dorosłych dają?

– Nie mów, że nie lubisz fok. One mają takie słodkie oczka.

– Pewnie, że lubię. Po prostu jestem ciekawa całego programu kulturalnego.

– Port wojenny też jest.

– A coś pomiędzy portem i fokami?

– Czytałam o fajnej knajpce z boską zupą rybną.

– O, widzisz! O to właśnie chodziło. Coś dla ciała, coś dla ducha.

– À propos ciała. Idę się wysikać, bo już jesteśmy na półwyspie, trzeba się będzie zbierać. Ty pilnuj, żebyśmy się nie zgubiły.

– Czy ja cię kiedyś sprowadziłam na manowce?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi, bo Lucyna już zniknęła w korytarzu.

– Lucy, ruchy. Tablicę widzę. Piękne „J” na horyzoncie.

– Dobra, już. Poczekaj, tylko jeszcze sprawdzę pod fotelami, czy niczego nie zostawiłyśmy.

Peron był malutki, jak wszystko dokoła. Od razu przeszły na drugą stronę torów i schowały się w miłym cieniu nadmorskiego pasma lasu.

– Dobra, to dokąd teraz?

– W prawo i potem w lewo. Ta Morska wije się od wydm do stacji. To chyba gdzieś tam.

Poszły, ciągnąc za sobą plastikowe skorupy walizek. Kółka zapadały się w piach, żywiczny zapach otumaniał, słońce nawet przez korony drzew pokazywało swoją moc.

– Daleko jeszcze? – jęknęła Elwira.

– Nie bądź jak osioł ze *Shreka*.

– Przecież dopiero pierwszy raz zapytałam!

– Ale za szybko. Nie wynajęłyśmy domku na peronie.

– A szkoda. No dobra, ale wiesz, dokąd idziemy?

– Tak. Trochę to inaczej wyglądało na mapie, ale kierunek mamy dobry. Patrz, tam droga skręca i widać płot z tabliczką.

Po chwili stały przy drewnianym ogrodzeniu. Do płowego drewna sztachet przybito niebieską tablicę: Morska 1.

– Miało być trzy – powiedziała Lucyna – ale nie widzę tu żadnego innego domu. Ten jest chyba jedyny.

– Czyli to ten. Pomyłka w ogłoszeniu.

– Czy ja wiem?

– A co tu wiedzieć. Mamy jakiś wybór?

– Nie.

– No właśnie. Chodź.

Elwira energicznie popchnęła furtkę, która wydała z siebie ciche skrzypnięcie i wpuściła je na nieduże podwórko. Mały domek z czerwonej cegły był otoczony podkową z sosen. Do drzwi prowadziła wąska ścieżka z nierówno ułożonych wśród bujnej trawy płyt chodnikowych. Po lewej stronie stała drewniana altana, ładnie, choć trochę dziko obrośnięta bluszczem.

– E, w rzeczywistości jeszcze fajniej niż na zdjęciu! – Elwira z ulgą odstawiła walizkę i na niej usiadła.

– Tak, tylko coś się nie zgadza.

– A co ci się znowu nie zgadza?

– Dom. Czy on na zdjęciach nie był taki bardziej miodowy? Drewniany?

– Nie pamiętam, ale chyba nie. Bryła ta sama, dach brązowy, ten sam. Las z tyłu jest, furtka z przodu jest.

– Ale cegły nie było.

– Pewnie odnowili. Pamiętasz, że wynajmują dopiero od połowy czerwca. Zrobili remont, zdjęli paskudne spróchniałe dechy, odsłoniли cegłę i jest git. W środku pewnie też nas miło zaskoczą. To gdzie miał być ten klucz?

– Na parapecie okna kuchennego. Czyli tego po prawej od ganku. Jest?

Elwira zlustrowała parapet. Był pusty. Schyliła się, przeczesując palcami trawę pod nim.

– Nie.

– Na pewno?

– Na pewno.

Lucyna westchnęła. Było zbyt pięknie, żeby długo to trwało. W życie muszą być wpisane problemy.

– No to chyba muszę zadzwonić do właścicieli.



– Czekaaj, czekaaj. Nie poddawaj się. Sprawdzę jeszcze na drugim parapecie. Skoro pomylił im się numer domu, to może także prawa z lewą.

Elwira przeszła obok ganku, pod drugie okno. Też nic.

Lucyna już wstukiwiała numer w komórkę, gdy nagle usłyszała głośne Yes!

– Ha! Klucza nie ma, bo drzwi otwarte. To się nazywa frontem do klienta. Chodź!

Lucyna westchnęła. Najwyraźniej właściciele byli roztrzepani tak samo jak jej przyjaciółka. Grunt, że wszystko się udało.

\*\*\*

Za drzwiami znajdował się mały ganek. Półka, pod nią rząd wieszaków, jeden zajęty przez jakąś męską kurtkę, niżej siedzisko. Na drugiej ścianie okno z firaneczką, na podłodze cienki, dość wytarty chodniczek. Więcej Elwira nie zdążyła zlustrować, bo z tyłu pogonił ją głos przyjaciółki:

– No, przechodź dalej, nie zmieścimy się tu z tymi tobołami!

Elwira pchnęła kolejne drzwi i ich oczom ukazała się główna izba. Był to sporych rozmiarów pokój z dwoma wąskimi, wysokimi oknami wychodzącymi na frontowy ogród. Ściany pomalowano na biało (choć raczej dawno temu). Po jednej stronie stała krótka brązowa meblościanka, na niej trochę książek, telewizor, witryna z niezbyt wyszukanyimi filiżankami. Przed nią, mniej więcej na wysokości telewizora, ustawiono kanapę. Bliżej okien stał drewniany stół z czterema krzesłami, z których jedno było wyraźnie bardziej zużyte od reszty. Na drewnianej podłodze z długich desek leżał duży, gładki, zielony dywan. Zielone były także zasłony w oknach, a z tego samego materiału w geometryczne wzory – obrus na stole.

– Skandynawsko! – odezwała się Lucyna.

– Może po prostu tu, na północy, ludzie mają takie poczucie estetyki? Prostota bez zbędnych ozdobników? Żadnych poduszeczek-sreczek, wyściełanych siedzisk, fidrygałek? W każdym razie mnie się podoba.

– Mnie też – zgodziła się Lucyna z przekonaniem.

Elwira przeszła na środek, by się lepiej rozejrzeć.

– Patrz! W bonusie mamy kominek! Nic nie pisali o kominku, a jest!

– I to bez poroża jelenia! – ucieszyła się Lucyna. Podeszła do kominka i odruchowo powiodła palcem po gzymsiku zwieńczającym go od góry.

– Strasznie zakurzony – stwierdziła oskarżycielsko.

– Może to nie kurz. Zobacz, tu wszędzie są sosny, inne drzewa zresztą też; może to coś pyli?

– W środku domu? Pyli?

– No przecież okno jest uchylone. Przyroda wdrze się przez najmniejszą szparę.

– Z pajakami włącznie? – Wzdrygnęła się Lucyna.

– Pajaki włączają jesienią. Nim zaczną, będziesz już dawno z powrotem w swoim betonowym świecie.

Lucyna posłała jej markotne spojrzenie.

– Ledwie przyjechałyśmy, a ty już o powrocie...

– Ciesz się chwilą! – poradziła Elwira i szturchnęła ją w ramię.

– Właśnie nie mogę się cieszyć tak na całego, bo mi się wierutnie chce siku! – przypomniała sobie Lucyna. – Idę szukać wucetu!

– Idź, idź. – Elwira bez większego zainteresowania popatrzyła na pocztówki na gzymsiku kominka, potem na grzbiety książek na półkach meblościanki i obraz z łodzią powieszony między oknami.

Po chwili wróciła Lucyna.

– Łazieneczka taka trochę nieświeżutka – oznajmiła.

– To znaczy?

– W sedesie żółto, z umywalki bije smrodek...

– Wiesz, oni mogą mieć taką wodę, co się osadza. A smrodek może iść z rur. Tu pewnie jest szambo. Szambo czasami tak daje.

Luśka nie była przekonana.

– To kiedy oni sprząтали na nasz przyjazd, skoro wszystko zdążyło się zakurzyć i zażółcić?

Elwira uznała, że pora na potrząśnięcie.

– Królowo, nożeż jasny gwint, nie bądź małostkowa!!! Korona ci z głowy nie spadnie, jeśli sama wlejesz do kibla odkamieniacz i pochochlujesz szczotką! Przez te dwa tygodnie i tak będziemy musiały to robić, w umowie najmu nie ma sprzątania!

– No wiem... – Luśka przeszła na pozycję obronną. – Ale myślałam, że chociaż na nasz przyjazd trochę się postarają...

– Ludzie są różni. Może to wyluzowani rockandrollowcy, którzy zostawiają dla nas otwarty dom i nie czepiają się szczegółów? Weź i ty wyluzuj.

Luśka spróbowała wyluzować.

– Może zrobimy sobie herbaty? – zaproponowała pojednawczo.

– Dobra myśl. Wstaw wodę i wyjmij z pajęczyn jakieś kubki, a ja pójdę zobaczyć sypialnię. Żaaarcik! – dodała na widok spłoszonej miny Lucyny.

Po chwili szła już po wąskich krętych schodkach na poddasze. Mały kwadratowy korytarzyk miał aż czworo drzwi. Elwira postanowiła sprawdzić każde.

Za pierwszymi był składzik. Na podłodze stał odkurzacz, obok niego deska do prasowania i żelazko, na półkach leżały koce, ręczniki i jakieś materiały.

Drugie skrywały małą ubikację.

Za trzecimi był niewielki pokoik o skośnych ścianach. Pojedyncze łóżko, nocna szafka, lampka, staroświecka szafa z lustrem – i znów, jak na parterze, drewniana podłoga i chodnik.

To pojedyncze łóżko troszkę ją zaniepokoiło. Wycofała się i nacisnęła klamkę ostatnich drzwi, które odsłoniły przed nią drugi, bliźniaczo podobny pokoik.

– Miła niespodzianka! – zawołała w dół przez poręcz schodów. – Właściciele, wychodząc naprzeciw twoim obawom sprzed roku, podzielili sypialnię na dwie! Tak że gdybyś sobie chciała kogoś przygruchać...

Na skrzypiących stopniach rozległy się kroki Lucyny, a w otwartych drzwiach zaraz pojawiła się jej zaciekawiona twarz.

– Niepościelone?

Elwira przewróciła oczami.

– Jaka ty się zrobiłaś wielkopańska! Wakacje nie w hotelu polegają między innymi na tym, że większość rzeczy robisz wokół siebie sama! Sama sobie gotujesz, sama sprzątasz pokój. Nikt ci nie zmieni ręczników i nie pościeli łóżka! Obywatelu, ściel sobie sam!

– Jak sobie pościelisz... – zaczęła sentencjonalnie Lucyna i się uśmiechnęła. – Eloizo, wbrew wrażeniu, jakie możesz odnieść, powiem ci w zaufaniu, że bardzo mi się tu podoba.

– Nareszcie wyznanie, na które czekałam! – Elwira odwzajemniła uśmiech. – A teraz do roboty, szukamy pościeli, mam dziwną ochotę wcześniej się położyć. Może to to morskie powietrze? – zastanowiła się głośno. – A! – Naraz przypomniała sobie widok wypełnionych kolorowymi materiałami półek w składziku. – Ja chyba przypadkiem przed chwilą trafiłam na pościel...

# Rozdział 6

## Dzień 2.

Lucyna się obudziła, bo coś ją smyrało w nos. Nie była to mucha, bo nic nie bzyczało. Ani Elwira z piórkiem, bo przecież by nie wytrzymała i chichotała – tymczasem wokół Luśki panowała niczym niezmacona cisza. Zmarszczyła nos raz i drugi bez otwierania oczu, potem dotknęła palcem – w końcu ciekawość zwyciężyła. Podniosła powieki – i zaraz z powrotem je zmrużyła. Przez okno, prosto w jej twarz świeciło cudowne, bystre słońce.

Mimowolnie rozciągnęła usta w uśmiechu. Łóżko było przyjemnie twarde. Przespała całą noc bez wybudzeń, złych snów czy idiotycznego obudzenia się za wcześnie. Sypialnia w świetle dnia prezentowała się równie miło jak wieczorem. Była maleńka, ale Lucynie w niczym to nie przeszkadzało.

„Ciekawe, która godzina”.

Rozejrzała się za komórką. Ach, no tak – zostawiła ją przecież na dole, tam, gdzie wczoraj piły herbatę. Zresztą może i lepiej – na co dzień używała jej jako budzika, na wakacjach może sobie darować trzymanie szkodliwego cholerstwa przy łóżku.

No to może kawka?

Och, tak, kawka!!! Na tarasie, w tym wspaniałym słoneczku! W opisie coś chyba było o tarasie? Może jest z tyłu domu? Jeszcze tam nie zaglądały.

Lucyna zdecydowanym ruchem odgarnęła kołdrę i postawiła stopy na podłodze. Słońce naprawdę przydawało jej energii. A kawa na słonecznym

tarasie to chyba ciche marzenie każdego blokera.

Trochę odwykła od gotowania wody na gazie. W jej życiu ważną rolę grał pośpiech. Rano każda minuta była cenna – zbyt cenna, by czekać parę minut na gwizd czajnika, dlatego od lat używała tylko elektrycznych, i to o dużej mocy. Cóż – urlop służy też zwalnieniu obrotów, więc niech tam.

Zapaliła największy palnik, nałala wody na jeden tylko kubek (by było szybciej) i nałożyła gwizdek.

„Miejmy nadzieję, że jest kawa...” – przeszło jej przez myśl. Wczoraj z herbatą było łatwo, stała po prostu na blacie.

Otworzyła szafkę na wprost. Suszarka.

A więc po lewej.

Ooo! No tak to możemy rozmawiać!

Na dolnej półce pyszniła się piękna srebrzysta kafetiera i duży słój kawy. Lucyna chciwie sięgnęła po kafetierę, fachowo napełniła pierwszą komorę wodą, drugą kawą i mocno dokręciła. Zgasiła największy palnik, a zamiast niego zapaliła malutki.

„Oby mieli jeszcze mleko, pliiiiiz, pliiiiiz!”

Rozejrzała się po kuchni.

Bingo!!!

Między lodówką a rzędem szafek stało kilka kartonów mleka UHT 3,2%.

Nie jest to może najzdrowsze, ale i tak chwala im za to, że pomyśleli...!

„To z której strony świeci to słońce? – zastanowiła się chwilę. – A, zresztą zaraz zobaczymy!”.

Otworzyła drzwi wejściowe – i natychmiast znajome promienie znowu musnęły ją po nosie.

Roześmiała się.

Postawiła filiżankę wprost na ziemi i usiadła na jednym z dwóch schodków wiodących na mały zewnętrzny ganeczek.

„No, to jest życie!” – pomyślała i siorbnęła pierwszy łyk.

Gdy dopijała ostatni, usłyszała za sobą znajome człapanie.

– Powitać koleżankę! A krem z filtrem wklepany? – spytała Elwira tonem wychowawczynie kolonii.

– Nic nie wklepane – odparła zuchwale Lucyna. – Takie piękne słońce nie może szkodzić.

– O! – zainteresowała się wychowawczynie. – To rewolucyjna teza! Zechcesz rozwinąć?

– Człowiek intuicyjnie łączy do dobrych rzeczy. Na przykład do promieni słonecznych. Jeśli coś jest tak przyjemne, to wprost nie chce mi się wierzyć, że wyrządza jakieś szkody. Tak mi podpowiada mądrość płynąca z ciała, ot co. – Odstawiła filiżankę, przymknęła oczy i znów wyeksponowała twarz.

– Ach, tak! Czy to ta sama mądrość, która każe temu ciału pożerać czekoladę, chipsy i tosty z jasnego pieczywa? – zagadnęła zjadliwie Elwira.

Niestety Lucyna postanowiła rznąć głupa.

– Znasz moją duszę jak nikt! Zjadłabym tościka... – wyznała z lubością.

– To chyba trzeba się pofatygować do spożywczego. – Elwira uznała, że poccoachinguje ją później.

– Ano trzeba.

– Pofatyguje się ten, kto pierwszy wstał, czy koniecznie chce ze sobą ciągnąć niewinną, ledwie obudzoną przyjaciółkę?

– A niech tam! – zdecydowała nagle Lucyna i podniosła się ze schodków.

– Pofatyguje się ta pierwsza. Chodząca dobroć i energia.

– Bardzo słusznie – pochwaliła Elwira. – Niech dobroć z łaski swojej kupi mi pumpernikiel, twarożek i miód. Bo nie wiem, jak niektórzy, ale ja zamierzam się tutaj ultrazdrowo odżywiać!

Przestępując z powrotem furtkę Morskiej jeden, Lucyna chwaliła się w duchu za przezorność. Niby spożywczak był blisko – jednak Elwira, sugestywna jak zawsze, trochę jej zagrała na wyobraźni tym zdrowym żarciem. W efekcie Luśka zamiast białego pieczywa i dżemu nabyła pomidory, jabłka, cebulę, szczypiorek, masło, grahamki, jajka, wybór różnych serów, zieloną herbatę, butelkę niepasteryzowanego mleka – plus oczywiście zrealizowała zamówienie Elwiry. Gdyby miała to wszystko przynieść w siatkach, ręce wydłużyłyby jej się jak u goryla. Na szczęście wzięła ze sobą dużą, mocną płócienną torbę o szerokich uszach – i oto teraz niosła ją na ramieniu bez żadnego szwanku, bardzo z siebie rada.

Elwira najwyraźniej też nie próżnowała. Na trawie przed wejściem stały dwa krzesła i stół ogrodowy przykryty wzorzystym pareo Elwiry w charakterze serwety. Na nim ustawione już były talerze, sztuczce i dzbanek herbaty.

– To wszystko znalazłam w altance – pochwaliła się Elwira. – Fajnie, prawda?

– Bardzo fajnie! W ogóle ładny ten ogród. Taki bujny. – Lucy rozpakowywała produkty wprost na stół.

– No! Trawy nie kosili chyba od wiosny!

– I nie przycinali krzewów.

– A mnie się akurat podobają takie rozchełstane. Nie lubię ogrodów pod linijkę. – Elwira usiadła, rozpakowała masło i paczuszkę pumpnika, a bułki włożyła do koszyczka.

– Jeśli ktoś ma przestrzeń, to sobie może rozchełstywać. A jeżeli ma poletko wielkości działki pracowniczej, to musi ciąć. Inaczej nie będzie miał gdzie nogi postawić.

– No ale tu jest przestrzeń. Więc nie tną.



– I to nawet taka à la *Tajemniczy ogród*. Zgadzam się, że dobrze. – Lucyna przekroiła pierwszą bułkę. – Poza tym możemy sobie tu robić, co zechcemy, i nikt nas nawet nie zdoła podejrzeć.

– Na przykład? Co tajemniczego miałybyśmy robić w naszym tajemniczym ogrodzie? – zainteresowała się Elwira.

– Na przykład... No, żeby daleko nie szukać: opalać się bez kostiumu, by choć raz w życiu nie mieć śladów po majtkach i staniku.

– No nie poznaję koleżanki! – zdziwiła się Elwira. – A jak kwestia kremu z filtrem?

– Niech ci będzie. Powiedzmy: z umiarkowanym filtrem.

– Dobrze, to mnie uspokaja. – Elwira siorbnęła herbatę. – Do ustalenia pozostaje jeszcze jedna kwestia: jak ty sobie chcesz kogoś przygruchać zaszyta w niedostępnych ostępach?

– O przepraszam! – Lucyna zamachała łyżką przed chwilą nurzaną w herbacie. – Przecież tutaj będziemy tylko celebrować kawki, śniadanka oraz nabierać jednolitej karmelowej opalenizny. Popołudniami zaś będziemy wychodzić na plażę i na miasto!

– No, no! – rzekła z uznaniem Elwira. – Wyłania się z tego spójny plan!

– A jakże! A z domu się chyba wyłania dźwięk mojej komórki – stwierdziła nagle Luśka i pobiegła odebrać.

Wróciła ciut zmakotniała.

– Będę musiała odpisać na dwa ważne maile.

– Na wakacjach?!

– Jeden króciutki, zwykła formalność. Drugi... no, drugi trochę bardziej wymagający.

Elwira nie kryła oburzenia. By tym wyraźniej nie kryć, zaprzestała nawet na chwilę jedzenia.

– I codziennie tak się będziesz dawać wrabiać?

– Nie, no może nie... – rzekła bez przekonania Lucyna, lecz jej fantastyczna poranna werwa jakby gdzieś uleciała.

Elwira przez minutę coś sobie układała w głowie.

Lucyna zbierała siły na przyjęcie porcji solidnego coachingu.

– Słuchaj – odezwała się w końcu Elwira tonem, który nie wróżył nic dobrego. – Takie warowanie pod telefonem to jest gówno, nie wypoczywanie. Tymczasem właściwie całe twoje życie zawodowe od paru lat tak wygląda. I tak dłużej być nie może. Z przyczyn, o których rozmawialiśmy z pięćdziesiąt razy. A zatem... – Teraz to Elwira pomagała sobie wyrazić myśli, gestykulując łyżką jak berłem. – Niniejszym zarządzam totalny detoks. W tej chwili obie wyłączamy komórki na calusieńki pobyt. Bez odwołania. Kto się wyłamie, zapłaci jakąś straszliwą karę, którą zaraz obmyślę. Przez dwa tygodnie świata nic się nie stanie bez kontaktu z nami, a my zyskamy pokłady świętego spokoju oraz wypowiemy wojnę złym nawykom. Ty odwykniesz trochę od durnego sprawdzania poczty, ja – od równie durnego Facebooka, lajkowania i tej idiotycznej potrzeby bycia w złudnym obiegu. Rzekłam! – podsumowała, pośliniła palec, pozbierała nim wszystkie kawałeczki szczypiorku i wsunęła je sobie do ust.

– No nie wiem... Nie mam głębokiego przekonania... – zaczęła Lucyna, zdając sobie sprawę, jak mizernie wypada wobec exposé Elwiry.

– To zacznij od eliminacji negatywnej. Co utracisz?

Zastanowiła się. „Pracę” – pomyślała w pierwszym odruchu, ale chyba aż tak źle być nie mogło.

– Czy ja wiem? Może mama by czasem chciała zadzwonić?

– Dałaś jej wczoraj cynk, że bezpiecznie dotarliśmy?

– Dałam.

– No. To za parę dni doprawisz to ładną pocztówką z widoczkiem i będzie git. Fajniej jest dostać pocztówkę niż SMS, zapewniam cię. Co jeszcze?

Lucy milczała, czując lichotę swoich ewentualnych argumentów. Słuchanie muzyki? Sprawdzanie pogody? Godziny? Czytanie newsów? – zresztą banalnych i skrótowych, bo generalnie nie lubiła wlepić oczu w mały ekranik... Może i faktycznie wakacje bez komórki to fajny eksperyment?

– Tym razem nie będziemy oznajmiać światu na fejsie: „zachwycona z użytkownikiem Lucyna w Juracie”. Ani zamieszczać pozowanych zdjęć, by potem sprawdzać, kto polubił i jak bardzo. W gruncie rzeczy pomyśl, jakie to głupie! Kogo to obchodzi???

– W ogóle nie będziemy robić zdjęć? – Lucyna posmutniała.

– Oczywiście, że będziemy! Moją wspaniałą lustrzanką, którą, rzecz jasna, wzięłam – oznajmiła z dumą Elwira. – Nie będziemy ich tylko nigdzie zamieszczać. Po powrocie wybierzemy sobie garść najlepszych i wywołamy na pamiątkę.

– A, no to dobrze. – Lucy była przywiązana do idei robienia zdjęć, więc ta opcja całkiem ją uspokoiła.

– Pozostaje kwestia obmyślenia straszliwej kary za złamanie umowy.

– Musi być straszliwa kara? – zdziwiła się Lusja.

– Musi – rzekła bez wahania Elwira. – Bez bata człowiek mięknie i głupieje.

– Dobrze, że nie rządysz narodami – mruknęła Luśka i skubnęła okruch z bułki, który spadł jej z talerzyka.

– Niejednemu narodowi bacik by się przydał – odbiła piłeczkę Elwira. – Słuchaj, robimy tak: komórki wyłączamy i wraz z ładowarkami oraz oprzyrządowaniem odkładamy w jakieś komisyjnie ustalone miejsce do

dnia wyjazdu. Jeśli pęknie i ją włączysz, to będziesz musiała zadzwonić do szefa i poprosić o podwyżkę.

– O podwyżkę? Telefonicznie?? – Lucyna wybałuszyła oczy.

– Kto mieczem wojuje... – zacytowała refleksyjnie Elwira. – Co więcej, jeśli faktycznie nie da ci tej podwyżki, złożysz wreszcie wypowiedzenie.

Brzmiało od rzeczy, jak gadanie potłuczonego. Lucyna wiedziała, że żadnego z tych poleceń nie umiałaby wypełnić.

– No a ty?

– Ja? – Elwira chwilę się zastanowiła. – Powiedzmy, że ja nie tknę wina do końca wakacji. Powinno ci się podobać, bo uważasz przecież, że za dużo piję.

Lucyna pokręciła głową.

– Żartujesz! To za mało dotkliwe.

Elwira prychnęła.

– I to się nazywa przyjaciółka!

– Ale to niewspółmierne! Ja za złamanie zakazu miałabym zostać na łodzi bez pracy i z wielkim drzeniem o kredyt, a ty miałabyś sobie zaledwie oszczędzić używki przez dwa miesiące. Też musisz coś zrobić od razu! Coś zawstydzającego, jak w grze w butelkę!

– Żądza karni tobą powoduje – zauważyła Elwira. – Ciekawe. Dobra, no to wymyśl mi coś.

Lucyna chwilę kombinowała, czym by tu dźgnąć śmiałą przyjaciółkę.

– A więc. Jeśli przez te dwa tygodnie włączysz komórkę, to będziesz musiała zadzwonić do jednego ze swoich klientów i zaprosić go na randkę.

– Odpada! – zawołała Elwira. – To nieprofesjonalne.

– Podobnie jak proszenie o podwyżkę z wakacji.

– Ale w moim fachu obowiązuje pewna etyka...

Lucyna uśmiechnęła się łobuzersko.

– A czy przed zapadnięciem wyroku będę mogła napisać te dwa ważne maile?

– Wykluczone. – Elwira zdecydowanie pokręciła głową.

– A zatem mój bat nad tobą też pozostaje w mocy. Randka z klientem za włączenie komórki. Rzekłam.

Tym sposobem właściwie mogła iść o zakład, że komórka przyjaciółki pozostanie wyłączona, choćby się waliło i paliło. Nieprofesjonalizmu Elwira bała się jak ognia.

Telefony wyłądowny w szufladzie kuchennego kredensu.

\*\*\*

Poranek przeciągnął się do południa, a potem gładko przeszedł w godziny wczesnopopołudniowe. Elwira zjadła ultrazdrowego pumpernika, zagryzając kanapki twarożkiem o podobnych właściwościach odżywczych. Lusie patrzyła na przyjaciółkę z lekuchną zazdrością – pożywne, ale wypchane jakimiś nasionami grahamki co jakiś czas stawały jej w gardle kamykiem. Dobrze, że obficie posmarowała je masłem, bo inaczej naprawdę mogłyby się zakrztusić. Nie była stworzona do tak dietetycznego jedzenia. Głowa i Elwira podpowiadały, że to dobre, ale wspomnienia z domu rodzinnego szeptały: „Jajecznicę na maśle, kopytkę ze skwarkami, biały chleb z masłem i cukrem, biszkopt czekoladowy, schabowe na smalcu, zabieleną pomidorową...”. Próbowala z tym walczyć, ale nawet nie mając psychologicznego wykształcenia Elwiry, wiedziała, że czas dzieciństwa jest nieusuwalny – czym człowiek wtedy nasiąkł, z tym zostaje na całe życie. To jest raj, którego się potem tak szuka w dorosłości.

Spojrzała na Elwirę, która zasnęła przy stole, odurzona leśnym zapachem, promieniami słońca i dużą dostawą cukru do organizmu. Zsunęła się z krzesła, tak że jej sylwetka zamiast przypominać

zdyscyplinowaną czwórkę, wyglądała raczej jak najdłuższy bok trójkąta: dotykała krzesła tylko głową i wąskim paskiem bioder. Lusia po kilku minutach takiego zwisu byłaby zdrętwiała. Nie wspominając nawet o tym, że gdyby w taki niekontrolowany sposób wyłączyła się z rzeczywistości, to zapomniałaby o wciąganiu brzucha, ładnym trzymaniu nóg, a do tego na pewno drzemałaby z otwartą buzią. Elwira zaś wyglądała nienagannie: długie nogi były z gracją założone jedna na drugą, spod krótkiej koszulki nie wyzierała żadna fałdka, a twarz nawet bez grama makijażu wyglądała pięknie.

Lusia podziwiała urodę przyjaciółki. Taką prawdziwą, naturalną, niewymagającą poprawek. Kiedyś westchnęła na ten temat do Elwiry: „Musiałaś się urodzić pod szczęśliwą gwiazdą, skoro los cię tak obdarował”. Elwira spojrzała na nią i odpowiedziała: „No, tu obdarował, bo musiał jakoś wyrównać bilans życiowy: brak ojca, który umarł, kiedy byłam dzieckiem, i mamę pielęgniarkę, którą widywałam rzadziej niż jej pacjenci”. Nie było to powiedziane z przekąsem czy złośliwie – było po prostu szczere.

Mimo tych braków (dzięki nim, poprawiłaby ją przyjaciółka) Elwira była nastawiona do życia pozytywnie i konstruktywnie. „Nigdy nie narzekałaś?” – z niedowierzaniem dopytywała Luśka. „A co bym z tego miała? – szczerze zdziwiła się Elwira. – Zresztą komu miałabym się skarżyć, skoro prawie zawsze byłam sama?”.

Po jakimś czasie od tej rozmowy Lusia doszła do wniosku, że takie dzieciństwo jak jej – ciepłe, spokojne, jak w kokonie, z zawsze czekającą z obiadem mamą, obojgiem zgodnie żyjących rodziców, niedzielnymi wizytami u dziadków, to kraina szczęśliwości, która pozwala na cudowne wspomnienia, ale nie przygotowuje na trudy życia. Lusia, nawet studiując, wciąż mieszkała w domu rodzinnym, który opuściła dopiero wtedy, kiedy

wyjechała do stolicy. Odnalezienie się w Warszawie i samodzielne prowadzenie domu były trudnym doświadczeniem. Okazało się, że Lusie nie umieszkać sama – bez wiecznych zapachów, odgłosów, gwaru. Że nieszczęśliwie potrafi gotować, a nawet jeśli już coś upieczci, to i tak nie smakuje to jak w domu. No i że znalezienie faceta to nie jest taka oczywista sprawa. „No jak to gdzie się poznaliśmy z tatą? Byliśmy w tym samym liceum. Zakochaliśmy się w sobie i tak już zostało” – odpowiedziała zdziwiona pytaniem mama. W liceum Luśki, w klasie humanistycznej, chłopców było trzech. Za żadne skarby z żadnym z nich – nic i nigdy! Na studiach – kierunek pedagogika – proporcje podobne. Los najwyraźniej nie chciał, żeby Lusie się z kimś związała. W Warszawie, największym mieście w Polsce, facetów nie powinno teoretycznie brakować, ale co próba, to wpadka. Jeden żonaty, drugi żyjący pracą, trzeci chorobliwie związany z mamą. Kilku takich, że po pierwszej randce nawet pozbawiona intuicji Lusie wiedziała, że to zdecydowanie nie to.

Luśce było trochę przykro z powodu swojego singielstwa. Raz, że mieć faceta jest po prostu przyjemnie: spacer, kwiaty, randki, no dobra – seks, a dwa, że w modelu życia, który tkwił w jej głowie, rodzina zajmowała pierwszą pozycję. A rodzina to wiadomo: mama, tata, dzieci. Lusie miała trzydzieści trzy lata i coraz mniej czasu na zrealizowanie tego planu.

Elwira, dwa lata starsza, zupełnie się nie przejmowała podobną sytuacją życiową. „Nie mówię, że nie, faceci są okej. Teoretycznie, bo praktyka się dramatycznie rozjeżdża z teorią. Po co mi niemota, którą będę musiała holować przez życie? A dzieci? No, chciałabym, ale nie martwię się, że jeszcze nie. Teraz to się po czterdziestce rodzi bez problemu. Niezobowiązujący seks, ciąża i już. Dziecko i facet nie muszą iść ze sobą w parze”.

Lusia nie miała takiego luzu życiowego. Pracowała nad tym, wspierana przez przyjaciółkę, ale w głębi duszy ćmiło ją jakieś niespełnienie.

– Lusik, no co ty taka zachmurzona? – Z rozmyślań wyrwał ją dziarski głos Elwiry, która wszystko robiła energicznie: nawet przebudzała się z leniwych letnich drzemek.

– Ja? – Lusia zawsze, gdy nie chciała udzielić odpowiedzi na pytanie, wyskakiwała z tym „ja?”.

– No ty, ty. Co ci tam czółko zamąca?

– Eee, nic.

– Nic, czyli facet, dzieci i dom. Potrzebujesz odpocząć. Od pracy, od problemów, od marzeń, od planów. Od wszystkiego. Totalny reset ci zalecam. Na naszym podwórku nie ma wystarczających warunków, ale na plaży wywieje ci z głowy wszystkie toksyczne myśli. Zbieraj się, Luśka, idziemy ku falom.

\*\*\*

Plaże Bałtyku to narodowy skarb Polski. Piach w płowym kolorze, przesypujący się przez palce miliardami skrzących się drobinek, niejednoznaczna niebieskość morza, kojący szum fal, zapach jodu, traw na wydmach, sosnowego lasu – to doznania, które zostają w człowieku na zawsze. Nie do powtórzenia gdziekolwiek indziej na świecie.

– Och! – wyrwało się z Lusinej piersi, gdy przyjaciółki stanęły przy wejściu numer trzysta, za sobą mając rzędy sosen, przed sobą pustą plażę, a nad sobą błękit nieba i złotość słońca.

– No! Lepiej bym tego nie ujęła. – Zaśmiała się Elwira. – Czad, nie? Niech się pochowają Grecje, Hiszpanie i Egipty.

– À propos chowania: gdzie są ludzie? – Lusia minęła wejście na plażę i teraz, stojąc pośrodku niej, rozglądała się na boki. – To możliwe? Sezon



w pełni, nie pada, wiatr głowy nie urywa, a tutaj takie pustki?

– No wiesz, to nie Władysławowo czy Sopot. Po co ktoś miałby tu przyjeżdżać?

– Jak to po co? Po to samo co my: po odpoczynek, spokój, ciszę.

– My nie jesteśmy typowe.

– A kto jest typowy?

– Na przykład rodzina. On, ona, dwoje dzieci. Żeby nie poumierali od krzyków i narzekań, że nudno, muszą jechać tam, gdzie stragany, gofry, wesołe miasteczka. Muszą też coś jeść, przecież nie po to mają urlop, żeby smażyć kotlety. Czyli potrzebują cywilizacji wkomponowanej w tę piękną naturę. – Elwira z lubością powiodła wzrokiem po okolicy.

– No dobra, a pary bez dzieci? Oni by tu nie mogli być?

– Może by i mogli. Ale kawiarni nie ma. Dobrej restauracji też. Żadnej właściwie. Niczego tutaj nie ma.

– Ale mieliby siebie. – Lusja nie dawała za wygraną, próbując dociec przyczyn niezaludnienia ich plaży.

– Ale może i kasę mają przy okazji? Albo wolą nie wystawiać swojego związku na próbę samotności we dwoje?

– Dobra, poddam się.

– Bardzo słusznie, ciesz się, bo jest czym!

Elwira dziarskim krokiem ruszyła ku morzu. W miejscu, gdzie sypki jasny piach zaczynał zmieniać kolor na ciemniejszy i zrobił się bardziej ubity, rzuciła na ziemię obszerną płócienną torbę, a obok niej klapki, kapelusz i koc.

– Rozbijamy obóz, Lu. Pomóż mi z kocem.

Po chwili na piasku leżał wielki koc w bordowo-granatową kratę, który zabrały ze schowka na piętrze. Lucyna miała obiekcje, czy im wolno, bo wyglądał na prawie nowy. Może to był tylko koc domowy, nie do

wynoszenia? „Daj spokój, przecież to wzór z lat osiemdziesiątych, spójrz na tę lamówkę. Nie niszczy się, bo kiedyś robili dobre rzeczy, które się nie dają upływowi czasu. Zupełnie jak my” – zbagatelizowała te obawy Elwira, wciskając koc pod pachę.

– Dobra, cudnie. Teraz czas na chrzest bojowy. Lu, kierunek: woda.

Lucyna posłusznie poszła za przyjaciółką.

– Och, rany, ale lód! – pisnęła, umoczywszy pół jednej stopy.

– Nie zimne, tylko orzeźwiający.

– Nie przekonasz mnie, nie wejdę, bo się rozchoruję.

– Zimno leczy. Taka krioterapia na przykład.

– Ale tam mają rękawiczki, czapki i lekarza obok.

– No to morsy. Ludzie morsy, znaczy.

– Ale oni się kąpią w zimie. I tak już jest dramatycznie, to im nie robi takiej różnicy.

– Lucyna, dość marudzenia. Ma być odnowa. Zmyj z siebie problemy i troski. Zanurz się w oczyszczającej toni.

– Zabrzmiało jak sakrament.

– No, mówiłam: chrzest.

Lucyna westchnęła. Nie miała ochoty na kąpiel, ale może rzeczywiście trzeba walczyć z własnymi ograniczeniami?

– Dobra. Idę na koc się przebrać.

– To weź moje ciuchy.

Elwira stała przed nią, ściskając w ręku koszulkę, szorty i figi. Czyli wszystko, co przed chwilą miała na sobie.

– Ty tak nago? – Lusie nie była gotowa na hurtowe łamanie przyzwyczajęń i uprzedzeń.

– W kąpielu to chyba naturalne, co? Po co mam sobie moczyć kostium, skoro mogę mieć suchy, gdy już się wypluskam?

Żelazna logika Elwiry zawsze zbijala wszelkie argumenty. Lucyna poszła w stronę koca. Złożyła ubranie przyjaciółki i umieściła je w płócienną torbie, dbając, by nie spadło na nie nawet ziarenko piasku. To samo zrobiła ze swoimi ciuchami. W myślach dała sobie ogromny plus za odwagę – przebierała się bez ręcznika! Fakt, że w zasięgu wzroku nie było żywej duszy, nie umniejszał jej dokonań – przecież zawsze ktoś się mógł niespodziewanie pojawić. Wcisnęła się w swój piękny, kupiony specjalnie na ten wyjazd kostium i spojrzała na fale. Cóż, metoda drobnych kroczków się nie sprawdzi – po pierwszych igiełkach zimna w stopach Lusia zwieje z powrotem na koc. Trzeba zdecydowanych działań.

Po chwili powietrze przecięła seria krzyków, pisków i zawodzeń. Fonii towarzyszyła osobliwa wizja: machająca rękami, prychająca, skacząca Lusia. Ale zwycięska!

\*\*\*

– Ty wiesz? Świetne jest to miasteczko. – Lucyna z lubością przeciągnęła się po obiedzie, który zjadły w sympatycznej knajpce przy deptaku. – Piękne. Zadrzewione. Miejsce przy stoliku znalazłyśmy od ręki. Obsłużono nas szybko i smacznie. W tle jazzik, nie disco polo. Na ścianach artystyczne fotografie. Niby tylko jesz, a obcujesz z przyrodą, ze sztuką, koisz zmysły...

– Muhum – wydobyło się spod wielkiego kapelusza z rondem, który Elwira nabyła przed półgodziną na stoisku po drodze z plaży.

– Na plaży luz, nikt nie piszczy, nie depczą cię tabuny, nikt nie sypie piaskiem na kocyk – kontynuowała Lucyna.

– Ty piszczałaś za cały szwadron – zauważono pod kapeluszem.

– Miałam powód! Przełamywałam się! – oznajmiła Lucyna. Na samo wspomnienie swego heroizmu poczuła się wyższa i szczuplejsza. – À

propos, zamówmy jeszcze coś na deser. Ta woda wysssała ze mnie tysiąc kalorii!

– Chciałabyś.

– No jak nie? Wiesz, ile kilodżuli wydatkuje ciało na przywrócenie sobie właściwej ciepłoty?!

– Ile? – zainteresował się kapelusz.

– Nie wiem dokładnie, ale bardzo dużo – oświadczyła z przekonaniem Lucyna. – To jak, chcesz coś? Ja sobie chyba wezmę szarlotkę. Albo nie! Lody. Na wakacjach nad morzem muszą być lody, co nie?

– Lody na rozgrzewkę? – zdziwiono się uprzejmie pod kapeluszem.

– Nieważne co, chodzi o te kilodżule, które są mi potrzebne – wyjaśniła Lucyna i poszła złożyć dodatkowe zamówienie.

Po lodach poszły jeszcze nad zatokę po drugiej stronie mierzei i pstryknęły sobie kilka zdjęć na tle traw stylową lustrzanką Elwiry. Potem wstąpiły do spożywczaka, niby pod pozorem uzupełnienia zapasów pieczywa, choć tak naprawdę Lucyna marzyła o dżemie truskawkowym i bielutkich kajzerkach. Wreszcie powoli skierowały się do domku przy Morskiej.

– Raju, jak tu jest ekstra! – ekscytowała się bez końca Lucyna. – Aż sama nie wiem, co chcę robić, bo wszędzie jest fajnie! Dom jest fajny, ogród jest fajny, plaża po prostu zjawiskowa, nad zatoką przyjemnie, miasteczko ładne...

– Na szczęście masz dwa tygodnie, zdążysz pobyć wszędzie – pocieszyła ją Elwira. – Tymczasem ja idę poczytać gazetkę. O, i herbatę możesz mi zrobić, skoro sobie robisz. Zieloną.

– Skąd wiesz, że będę sobie robić herbatę? – zdumiała się Lusja.

– Zawsze gdy skądś wracasz albo dokądś przychodzisz, to chcesz herbatę. Nie zauważyłaś?

Lusia się zastanowiła. Nad sobą i nad naturą psychologów – co to niby nigdy nic, nie obserwują, nie oceniają, a wszystko o tobie wiedzą.

– Może i racja? – przyznała w końcu. – W każdym razie faktycznie coś nam zaparzę – postanowiła i poszła do kuchni.

Elwira przeczytała jeden artykuł, drugi i zrobiła psychotest.

– Lucy! – wrzasnęła w końcu w stronę kuchni. – Zbierasz tę herbatę w liściach z krzaków czy co?!

– Herbata dawno jest – odburknęła Lucy. – Szukam miodu. Diabli nadali te twoje kąpiele, w gardle mnie drapie. Czuję, że gdzieś tu jest. Tylko gdzie?

– Od kąpieli cię drapie, a od lodów nie?

– Oczywiście, że od kąpieli! – oburzyła się Lucyna. – Trzy kulki z ciepłą bitą śmietaną to nic w porównaniu z lodowatym Bałtykiem. Zresztą do lodów jestem przyzwyczajona, a do krioterapii nie.

– Po prostu znów masz chęć na coś słodkiego – zauważyła wrednie Elwira.

– Jest! – zakrzyknęła zwycięsko Lusia. – Fuuuuj... – dodała zaraz zgoła innym tonem. – Jak obklejony słoik...

Elwira westchnęła głęboko.

– Księżna pani znów cierpi na globus? – spytała cynicznie.

– Żadna księżna pani, ale tylko popatrz, no! Jak można zostawić turystom coś tak lepkiego i zakurzonego?

– Może to ich prywatny miód i nic ci do tego, jaki jest? – podsunęła Elwira.

– To dlaczego go nie zabrali czy gdzieś nie schowali w niedostępnym miejscu? – zirytowała się nagle Luśka. – Doprawdy, w sferze goszczenia wczasowiczów Polacy muszą się jeszcze wiele nauczyć. Sama powiedz: nie wypadałoby na przyjazd gości pochować te swoje bambetle? Kacie

z ganku, kurtkę z wieszaka, brudną pościel? Kupić jeden komplet estetycznych jednakowych sztućców, talerzy, kubków? A nie taka zbieranina, każdy z innej parafii, pozachodzone herbatą. I jeszcze wyniki badań, powypełniane krzyżówki, notesy z zapiskami...

– Szperałaś po szufladach? – Elwira pokręciła głową z dezaprobatą.

– No przecież ci mówię, że szukałam miodu! W szafkach nie było, więc zaczęłam zaglądać do szuflad. A tam mydło i powidło. Nie uważasz, że powinni nam zostawić trochę przestrzeni na nasze rzeczy?

– W kuchni?! – zachnęła się Elwira. – Akurat w kuchennej szufladzie musisz trzymać te swoje rzeczy?

– Ale w pokojach też nic nie uprzątnęli! Przykładowo w mojej szafce nocnej jest sterta jakichś gazet z maja. A u ciebie?

– Nie wiem, co jest u mnie, bo nie jestem taka czepialska – powiedziała Elwira, a Lucyna się naburmuszyła.

Elwira popatrzyła na nią z nagłym rozczuleniem. Kochana Lucha, tak się zawsze wszystkim przejmuję. Naprawdę trzeba się nią zająć. W końcu w te wakacje miała się porządnie wyluzować. Najwyraźniej potrzebuje pomocy, bo ciągle jest spięta jak struna. Elwira przywołała na twarz zawodowy wyrozumiały uśmiech.

– Oj, Lucy, Lucy. Masz natychmiast przestać, mówi ci to twój osobisty coach. Pamiętasz, jak twierdziłaś, że lubisz pomieszkiwać w cudzych domach? Że nie są takie bezduszne jak hotele, że mają indywidualny charakter? To świetne miejsce i świetne wakacje. Nie psuj ich sobie szukaniem dziury w całym, okej?

Gadka działała – Lucyna jakby się trochę rozluźniła. Elwira postanowiła więc ją nagrodzić.

– No – pochwaliła przyjaciółkę. – To teraz włóż sobie solidną porcję tego miodu, bo chyba ci cukier spadł i włączyła ci się zrzęda. Życie jest piękne,

pamiętaj.

# Rozdział 7

## Dzień 3.

Niebo było błękitne, słońce ozłacało kołyszącą się przy drewnianym płocie trawę i falujące chude sosny ciągnące się szerokim zielonym pasem ku morzu. Lucyna patrzyła na ten krajobraz z prawdziwą przyjemnością. Trzeci dzień pobytu nad Bałtykiem i trzeci słoneczny. Taka pogoda to jak trafić szóstkę w totka. Los im sprzyjał. Niepotrzebnie tak się martwiła o aurę. Od kiedy zrobiły rezerwację, Lucyna nerwowo przeglądała długoterminowe prognozy pogody. Elwira pukała się palcem w czoło: „Prognozy na dziewięć miesięcy do przodu? Lu, opanuj się. To czerwiec, lato. Będzie cieplej niż w marcu i przez dwa tygodnie na pewno choć na moment wyjdzie słońce. Poza tym towarzystwo najważniejsze”. Co do towarzystwa Lucyna się zgadzała, ale nic nie mogła poradzić na to, że lubiła, kiedy wszystko układa się tak, jak należy, to znaczy, że w wakacje jest dwadzieścia pięć stopni i słońce, a nie piętnaście i siekący deszcz. Życie powinno przebiegać wedle ustalonych zasad, a podstawową zasadą obowiązującą wszelkie urlopy jest ładna pogoda. Na razie się udawało i Lucyna była przekonana, że w tym farcie miała swój udział – sprawcze myślenie. To Elwira ją tego uczyła: „Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz. Jak pomyślisz, tak będziesz mieć”. Jak mantrę kazała to powtarzać swoim pacjentom i Luśce. Oni musieli się tego uczyć, Elwira miała to w genach.

Lucyna przeciągnęła się i spojrzała na zegarek. Była siódma trzydzieści. Wszystko jedno: roboczy tydzień, weekend, wakacje, święto – Lucyna



wstawiała wcześniej, ponieważ nie lubiła się wybijać z rytmu. Elwira na pewno jeszcze chrapie – przyjaciółka była konsekwentną sową. Na wizyty nie umawiała się przed dziesiątą.

Lucyna poszła do łazienki i wzięła szybki prysznic. W twarz wklepała krem nawilżający, w ciało balsam kawowy. Poczowała się świeżo i zadbana. Wróciła do pokoju, włożyła sukienkę, po namyśle wzięła jeszcze koszulę dżinsową. Złote promienie za oknem mogą być zwodnicze – poranki są jednak chłodniejsze. Co nie znaczy, że słońce już nie przypieka, doszła do wniosku i ponownie poszła do łazienki, tym razem – niech będzie, że to wpływ przyjaciółki – po krem do opalania, którym posmarowała nos, policzki, czoło, ramiona i uda, czyli miejsca newralgiczne, które nim osiągną karmelową barwę, przechodzą przez etap makowej czerwieni. Była gotowa na podbój poranka.

Powietrze było rześkie, aromatyczne. Lekki wiatr rozwiewał jej włosy. Postanowiła przywitać się z morzem, nim Elwira się obudzi i razem zjedzą śniadanie. W lesie wiało już trochę mocniej; nieszczególnie to odczuwała, bo gęsty szpaler chronił przed podmuchami, ale czubki drzew falowały. Kiedy opuściła sosnowy kordon i postawiła stopę na piasku, poczuła zimne smagnięcie wiatru. Ciemnoniebieskie fale z donośnym pluskiem rozbijały się o brzeg, drobinki piasku fruwały po plaży. Po wczorajszej flaucie pozostało już tylko wspomnienie.

Lucyna zapięła górne guziki koszuli, zdjęła trampki i ruszyła brzegiem morza w kierunku Helu. Północno-wschodni wiatr plątał jej włosy, morze energicznie dobijało brzegu i cofało się. Szumiało, chlupotało. Poranek rozpoczął się wspaniale.

Po czterdziestu pięciu minutach wróciła do ich domku na Morską. Kiedy weszła na otoczone lasem podwórko, uświadomiła sobie, jak wietrznie było na plaży. Nie wysiedzą z Elwirą na kocu, jeśli się nie odgradzą od tego

wiatru. Nie dość, że zagłuszy rozmowę, to jeszcze może je przewiać i zapalenie ucha gotowe. Albo zatok. Chociaż może to przesąd? Może do zapalenia potrzebne są wirusy albo bakterie? Sprawdziłaby to w komórce, ale wolała nie ryzykować przegrania zakładu. Elwira by jej nie odpuściła, musiałyby dzwonić po tę podwyżkę. To już lepiej odczekać jedenaście dni i zostawić telefon w spokoju.

Lucynę korciło, żeby wykraść komórkę choćby na chwilę, sprawdzić pocztę, zwłaszcza tę z pracy, no i czy nie ma wiadomości od mamy. Byłoby to jednak nieuczciwe, to raz. A dwa – Elwira miała nadprzyrodzone umiejętności. Albo właśnie zachciałoby się jej siusiu i przyłapałaby Lusię na gorącym uczynku, albo zauważyłaby milimetrowe odchylenie w położeniu aparatu na dnie szuflady. Zresztą może taki detoks wcale nie jest zły? Lucyna czuła, że prawdziwie odpoczywa. Trzeci dzień zwykle kończy aklimatyzację, człowiek przyzwyczaja się do nowych warunków przyrodniczych i bytowych, przestawia z trybu praca–walka na tryb odpoczynek. I właśnie wtedy rozpoczyna się prawdziwa regeneracja, czyli sedno urlopu.

– Nad czym tak dumasz? – Z zamyślenia wyrwał ją głos przyjaciółki.

Lucyna aż podskoczyła.

– Przestraszyłaś mnie!

– Daj spokój. Tylko my tu jesteśmy. Co ty taka strachliwa jesteś?

– Po prostu nie spodziewałam się, że już wstaniesz. Ósma trzydzieści – Lucyna spojrzała na zegar kuchenny powieszony nad drewnianym stołem – a ty na nogach.

– No. I to nawet ubrana. – Elwira nie kryła dumy. – Pomyślałam, że jednak szkoda dnia na leżenie w łóżku, zwłaszcza samotne. – Uśmiechnęła się łobuzersko. – No i głodna jestem.

– To tak jak ja. Byłam już na spacerze – pochwaliła się Lucyna. – Bardzo ładnie, ale bardzo wietrznie. Zjedźmy dziś w kuchni, bo nam serwetki porozwiewa.

Pół godziny później obie były przyjemnie najedzone. Elwira wylizywała miskę po twarożku z miodem, Lucyna delektowała się kanapką z dżemem truskawkowym. Po wczorajszym ultrazdrowym śniadaniu z ciemnego pieczywa posypanego kielkami, które przyklejały się do podniebienia, gruby plasterek białej kajzerki z dżemem, w którym do czterdziestu gramów produktu sypano sześćdziesiąt gramów cukru, był jak najwspanialszy deser.

– Dobra, Lu. Dopijamy kawę i idziemy na spotkanie z morzem, co?

– No. Zęby jeszcze tylko trzeba umyć – uściśliła Lucyna. – I wiesz co? Musimy poszukać parawanów, bo nas z plaży zdmuchnie.

– Na pewno gdzieś tu są. W każdym nadmorskim domku na wynajem jest zestaw plażowicza: leżaki, parawany, koc, parasol. U nas też, tylko nie na widoku.

– A gdybyśmy miały komórki, to mogłybyśmy zapytać. – Żal za utraconą łącznością ze światem jeszcze z Lusi nie wyparował.

– Luśka, daj spokój! – Elwira przewróciła oczami. – Zobacz, jak to jest. Zabrać ci telefon, to się robisz bezradna jak dziecko. Nie trzeba o wszystko pytać. Trzeba wydedukować. Nauczyć się sobie radzić samodzielnie. To wstęp konieczny do dorosłego życia, prowadzonego niezależnie i na własnych zasadach – wyrecytowała.

– Teraz to pracą pojechałaś. – Lucyna spojrzała na przyjaciółkę z dezaprobatą.

– Dobry coach żyje tym, czego uczy.

– A czym żyje dobry pracownik działu handlowego?

– Wynajdywaniem najlepszych towarów. A zatem, Lu, rozejrzyj się za parawanami, a ja posprzątam w kuchni.

Lucyna westchnęła i i udała się na przeszukiwanie domu.

Poszło jej bardzo sprawnie. Domek nie był duży, poza tym po wczorajszym popołudniu miała rozpracowaną jego topografię i rozpoznane zasoby. Nie spodziewała się nigdzie w środku znaleźć parawanów i się nie pomyliła. W żadnym kącie, za żadnymi drzwiami nie stały paliki z materiałem ochronnym. Że gdzieś są, zgadzała się z Elwirą. Jeśli właściciele nie przygotowali ich na przyjazd gości, stawiając je w widocznym miejscu, to muszą być w jakimś schowku. Właściwie to nawet dobrze o nich świadczy – nie rozwlekają sprzętów po domu, tylko składują je w przeznaczonym do tego pomieszczeniu. Czyli? Lucyna zajrzała do spiżarenki za kuchnią. Nie, tu tylko słoiki i puszki. W wiatrołapie, za kotarą – pusto. Z tyłu, od strony lasu, gdzie jest weranda, widziała jakąś przybudówkę. Może tam?

Wyszła przez ganek, okrążając dom. Wiało. Nawet tutaj, w osłoniętym zaciszu, czuć było podmuchy powietrza. Skręciła za rogiem w prawo, mijając drewniany daszek osadzony na podmurówce z czerwonej cegły. Weranda była zamieciona; w kącie dostrzegła szczotkę z długim metalowym kijem. Stół, dwa krzesła. Poza tym – pusto. Ruszyła w stronę przybudówki. W doklejonym do budynku malutkim pomieszczeniu znalazła tylko stosy równo ułożonych drewnianych szczap. I opartą o ścianę siekierę, która wywołała w niej nieprzyjemny dreszcz. Druga część tego zbrodniczego kompletu, czyli masywny pień, stała na zewnątrz. Góra była posiepana od mocnych razów metalowym trzonkiem. Lucynie przypomniały się wakacje u dziadków pod Lublinem. I babcia w akcji – pewną ręką przytrzymująca wyrywającą się kurę, a potem mocnym ciosem odrąbująca małą, opierzoną główkę. Lusia nie znosiła tego widoku, robiło

się jej słabo. Za pierwszym razem nie wiedziała, co się szykuje. Nie przypuszczała, że ujrzy babcię w scenie kurzej kaźni. Potem, ilekroć babcia szła w stronę kurnika, a przy pieńku czekała już siekiera, Lucyna uciekała do domu, zatykając uszy. Przez kilka lat z trudem przełykała babcine rosoły. Dopiero pod koniec podstawówki pogodziła się z losem zwierząt hodowlanych. Wspomnienie z babcinego podwórka wciąż jednak było nieprzyjemne.

Zamknęła drzwi i rozejrzała się bezradnie. Rzeczywiście, bez telefonu jak bez ręki. Zdecydowanie nie miała duszy skauta. Ale... Zaraz, zaraz, w samym rogu działki, tuż przy ogrodzeniu, tam, gdzie była dodatkowa furka, prowadząca prosto do lasu, stała szopa. Czemu od razu o tym nie pomyślała!

Podeszła do budynekczku. Drewniane drzwi, zamykane na skobel, były lekko uchylone. Otwarta kłódka wisiała przewieszona przez metalowe kółko skobla. No proszę, właściciele niby tacy nieprzytomni, ale pomyśleli, żeby zapewnić im dostęp do tego schowka. Mogli, co prawda, zostawić klucz z karteczką w widocznym miejscu, ale nie wszyscy muszą być tacy uporządkowani jak ona.

Lucyna otworzyła szerzej drzwi. Przywitał ją mrok. Szopa była dość wąska, za to długa. Na ścianie, po lewej stronie dostrzegła biały przewód. Kończył się puszką z przyciskiem, co znaczyło, że w chatynce jest światło. Nacisnęła plastik. Wciąż mrok. Spróbowała jeszcze raz, lecz bez efektu. Trudno, trzeba będzie sobie jakoś poradzić. Niepewnie zrobiła krok do przodu. Zdecydowanie wolała czyste, uprzątnięte wnętrza, z gładkimi blatami MDF-ów i białym światłem. Bez niespodzianek. Bez pajęczyn. Bez robali.

„Nie pękaj” – dodała sobie otuchy. I zrobiła kolejny krok.

Tymczasem Elwira, sprzątnąwszy talerze po śniadaniu, kończyła wizytę w łazience. Niedbale zebrane włosy upięła wysoko. Jednym pociągnięciem, jakby od niechcienia, narysowała kreski na górnych powiekach. Roztarła kreskę palcem. Usta pociągnęła malinowym błyszczkiem. Spojrzała w lustro. Niedbały *look* – to, co u innych było wystylizowanym efektem półgodzinnego makijażu, Elwira osiągała w pięć minut. Była po prostu piękną, atrakcyjną kobietą. Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Wyszła przed dom. Rzeczywiście, wiało. Usiadła na plastikowym krześle. Słońce miło ogrzewało twarz, ramiona i nogi, maksymalnie odsłonięte przez poszarpane dżinsowe szorty. Mimo wszystko nie na tyle mocno, by zlikwidować gęsią skórę od wiatru. Sięgnęła po koc, który odłożyły tu po wczorajszym plażowaniu. Przykryła się nim od pasa w dół. O, teraz było bosko. Ciepło, słonecznie, leniwie. Mogłaby tak przesiedzieć cały poranek. Przespać nawet, bo jednak czuła się trochę senna. Organizm nie nawykł do otwierania oczu o tak wczesnej porze. Warunki do snu są tu wręcz doskonałe. Cisza, aż w uszach dzwoni.

– Aaa! Aaa!

Matko Boska, co to było? Elwira podskoczyła, zrzucając z siebie koc.

– Aaaaaaaaaaaa! – Tym razem wrzask był głośniejszy i dłuższy. Zarzynają kogoś? Co się tu dzieje?

W tym momencie Elwira zobaczyła Lucynę wybiegającą zza rogu i pędzącą w stronę furtki. „Co ona wyrabia?” – pomyślała, wstając z krzesła.

– Luśka! Luśka!

Wołana przystanęła tuż przed furtką. Odwróciła się w stronę domu i zamarła w stuporze. To znaczy jej stopy zamarły, przyklejając się do ścieżki, natomiast góra podrygiwała w paralitycznych wygibasach. Lucy

znowu zaczęła krzyczeć. Cała okolica dudniła od przeciągłego: „Aaaaaaaaaaaaaaaaaa”.

– Luśka, chodź tu! Nie wyj! Co cię opętało? – próbowała przywołać ją do porządku Elwira.

Nic to nie dało.

Luśka była w amoku.

Elwira uznała, że musi działać. Podeszła do przyjaciółki. Delikatnie chwyciła ją za ramiona, próbując przywrócić do przytomności umysłu. Luśka darła się, nie patrząc nawet na Elwirę.

– Trudno – mruknęła Elwira. – Trzeba użyć plaskacza. – Szybkim ruchem wymierzyła przyjaciółce policzek.

Podziałało. Lucyna oprzytomniała. Powoli, niepewnie, jakby ktoś przymocował jej do stóp stukilogramowe obciążniki, na sztywnych nogach pomaszzerowała w kierunku ganku. Elwira posadziła ją na krześle. Zauważyła, że przyjaciółka jest nienaturalnie blada i wciąż trzęsą się jej ręce.

– Lucy, co z tobą? No co się stało? Czemu się tak darłaś?

Lucyna popatrzyła pustym wzrokiem. Po chwili odpowiedziała:

– Szukałam tych parawanów.

– No, wiem. I to cię tak wyprowadziło z równowagi?

– Nie. Poszłam do szopy. Do tej za domem. Była otwarta, tak trochę. To znaczy drzwi przymknięte, ale bez kłódki. Weszłam. Ciemno, bo lampa nie działa. Pajęczyny, kurz, jakieś robale.

„No to jesteśmy w domu” – pomyślała Elwira. Arachnofobia. Lucyna panicznie się bała wszelkich owadów – tych, co fruują, i tych, co pełzają. Brzydziła się, ale nie chciała ich zabijać. Unikała więc, jak mogła. Tu nie mogła, no i spanikowała. Ale żeby aż tak?

– No i co tam było, kochanie? – zapytała, próbując ukryć irytację. –  
Zyżuś tłuszczoch czy kosarz?

– Trup – odpowiedziała Lucyna.

Przyjaciółki stały w progu szopy. Elwira trzymała w ręku dużą latarkę, którą zdjęła z kołka w wiatrołapie.

– Tu? – zapytała, wskazując ręką w głąb pomieszczenia.

– Tu – potwierdziła Lucyna drżącym głosem.

– Nic nie widzę. – Elwira jednak trochę się ociągała z opuszczeniem jasnej polany i wejściem w lekko zatęchły mrok. „Daj spokój – skarciła się w myślach. To omamy. Skąd tu trup?”.

– Wchodzimy – zakomenderowała. I weszła.

Lucyna nie ruszyła się nawet o milimetr.

– Luśka! No chodź. Przecież to ty coś widziałaś. Pokaż.

Elwira włączyła latarkę, mocnym światłem oświetlając wnętrze. Pomieszczenie było składem różnych rzeczy. Zaraz przy drzwiach stała motorynka albo motocykl. Elwira nie rozróżniała tych pojazdów. Obok – rower. Po lewej stronie, na ścianie, na dużych hakach, wisały wąż ogrodniczy, jakieś ubranie robocze i duża torba w kratę, taka, jaką ćwierć wieku temu Rosjanie wozili towary na handel do Polski. Prawa strona była zabudowana metalowymi regałami piwnicznymi. Stały na nich kartony, jedne odkryte, ze zwojami kabli i sznurów w środku, inne zakryte. Elwira dostrzegła duże plastikowe wiadro z farbą, obok kilka metalowych puszek. Słój z jakąś cieczą, pewnie rozpuszczalnikiem, bo były w nim zanurzone pędzle.

– Dalej. Na końcu – wyszeptała Luśka przez spierzchnięte wargi. Dygotała.



Elwira przesunęła się w głąb pomieszczenia. Regały się skończyły. W tym miejscu do ściany był dostawiony duży stół roboczy, na którym panował spory nieład. Z tekturowego pudełka wysypały się gwoździe, część spadła na podłogę. Na blacie leżały nadcięta deska, szlifierka, młotek. Obok stał kubek z zaschniętą ciecżą, rozlaną na narzędzia.

– Niechlujnie. Jakby ktoś nagle rzucił robotę w cholerę – zauważyła Elwira.

– Pole walki – wydukała Lusia.

Rzeczywiście, mogło być i tak. Elwirze zrobiło się chłodno.

– A gdzie denat? – zapytała. Wciąż się łudziła, że to tylko nerwica Lusi. Jakieś przywidzenie. Doszły do szczytowej ściany, a ona nie zauważyła żadnych zwłok.

– Tu. – Lusia pokazała ręką w kąt. – Tu, o tu! – rozszlochała się spazmatycznie.

Elwira poświeciła latarką. To, co przed chwilą wzięła za duży worek, w rzeczywistości było męską sylwetką. Ciemne spodnie, ciemna koszula. Głowa, odwrócona twarzą do podłogi, znajdowała się pod stołem. Dlatego jej nie zauważyła. Teraz, gdy przesunęła się trochę i patrzyła pod innym kątem, nie miała wątpliwości – ktoś tu leżał.

– Na pewno nie żyje? – zapytała cicho.

– Na pewno – odszepnęła Lusia. – Dotknęłam go, tu, o tu. – Drżącym palcem wskazała na szyję. – Nie ruszył się. I był zimny. Zimny. Jak trup. – Znowu zaczęła się trząść. – O Boże, Boże, Boże! – krzyczała. – Co się dzieje? A jeśli gdzieś czai się morderca? I nas także zabije?

– Lusia, przestań się drzeć – wysyczała Elwira.

– A ty czemu szepczesz? – zapytała Lucyna. – Szepczesz, bo też się boisz, że ktoś tu jest i nas usłyszy! I zabije!

– Niczego się nie boję – odparła Elwira normalnym głosem. – Sama nie wiem, jakoś tak naturalnie wyszło. Rzeczywiście bez sensu. Poczekaj, upewnimy się. Może po prostu zemdlął?

Właściwie sama w to nie wierzyła, ale chciała mieć stuprocentową pewność. Kucnęła przy mężczyźnie. Dotknęła jego dłoni. Była zimna. Wyszukała nadgarstek – nie wyczuła pulsu. Przełknęła głośno ślinę. Przesunęła się w stronę blatu. Znowu kucnęła. Drżącymi dłońmi dotknęła jego głowy. Delikatnie ją uniosła, chcąc ułożyć na boku. Nie mogła, czuła opór. Przesunęła więc ręce w kierunku barku i podciągając go ku górze, próbowała obrócić mężczyznę na plecy. Był za ciężki. Wstała, obeszała go. Schyliła się i ponownie chwyciła za bark. Tym razem ciało ustąpiło. Z łoskotem przewaliło się na plecy. W tym momencie obie krzyknęły. Mężczyzna miał brudną twarz, chyba zakurzoną od podłogi. Dłuższa, potargana grzywka opadała mu na czoło. Pod mocno zarysowanymi brwiami były oczy. Duże, ciemne, otwarte. Z uporem wpatrujące się w jeden punkt. Nieporuszone, szklane. Martwe.

Lucyna tak gwałtownie obróciła się na pięcie, że Elwira mimowolnie drgnęła. Wstała i się odwróciła.

– Hej. Gdzie idziesz? – spytała trochę bez sensu. Sama też przecież miała ochotę jak najszybciej opuścić lokal z trupem.

Luśka szła szybko i sztywno jak robot. Trzeba natychmiast ją wybić z tego szoku – Elwira intuicyjnie czuła, że im głębiej w siebie schowa się jej przyjaciółka, tym trudniej będzie ją stamtąd wydobyć.

– Hej!!! – powtórzyła głośniejszym głosem i złapała ją za ramię. – Mów do mnie!

– Za piękne były te wakacje – przemówiła więc Luśka, nic a nic nie zwalniając kroku. – Od początku wszystko było za pięknie, za idealnie. Mogłyśmy się spodziewać, że gdzieś jest haczyk. Tylko mimo wszystko nie sądziłam, że aż taki – zakończyła płacząco.

– Trudności są od tego, by je pokonywać – bąknęła nie całkiem przekonana Elwira.

– Trudności?! To jest trup, nie żadne trudności!!! Trudny do uwierzenia trup!!! – Luśka, wytrącona ze stuporu, teraz dla odmiany wpadała w panikę.

– No jest – przyznała Elwira. – Musimy pomyśleć, co teraz.

– Pomyśleć? Nad czym tu myśleć, przecież to jasne! Trzeba dzwonić na policję.

„Dzwonić” przywołało Elwirę do rzeczywistości.

– O, nie-nie-nie. – Stanowczo pogroziła palcem. – Żadnego „dzwonić”.

Lucyna popatrzyła na nią jak na ciężki przypadek.

– Tyś chyba zwariowała. Okoliczności się drastycznie zmieniły, nie uważasz?

– „Okoliczności są tylko okolicznościami...” – zaczęła cytować Elwira, ale urwała, przypomniawszy sobie, że dalsza część cytatu nie bardzo pasuje do ich sytuacji. Spróbowała więc innej strategii. – Wygląda na to, że on tu leży już od jakiegoś czasu, więc zadzwonić zawsze zdążymy. Najpierw się zastanówmy.

Lucyna już przestępowała próg domu. Od drzwi skierowała się prosto do szuflady z telefonami.

– Luśka, stój, do cholery! – zawołała Elwira. – Gdzie ci się tak śpieszy?! Życia mu przecież nie wrócisz. Nalegam, żeby najpierw pomyśleć, o co tu chodzi.

Niestety, Lucyna nie okazywała żadnych oznak zrozumienia. Przeciwnie, właśnie włączyła przycisk uruchamiania w swojej komórce i trzymała ją teraz w okropnie drżącej dłoni, czekając, aż się uaktywni. Elwira zrozumiała, że w kwestii myślenia musi liczyć tylko na siebie. Wzięła głęboki wdech, by dotlenić mózg.

– A jeśli ktoś nas próbuje zrobić?

Bingo. Poczciwe, zmętniałe z przerażenia oczy Lucyny wreszcie nieco zbystrzały.

– Wrobić?

– Wrobić – przytaknęła Elwira. – Mieszkamy na odludziu, nie mamy nikogo, kto by zaświadczył o naszej niewinności. W tym czasie ktoś załatwia swoje brudne porachunki i podrzuca nam trupa. Na nasze konto!

– Bzdura – przytomniała powoli Luśka. – W dzisiejszych czasach są niesamowite sposoby na to, by dociec prawdy w takich sytuacjach. Na nim przecież nie ma naszych odcisków palców.

– Jak to nie ma? Obie go dotykałyśmy. Ty sprawdzałaś puls, ja go nawet przewracałam na wznak.

Nagły dzingiel włączanej komórki przeraził je obie tak bardzo, że Luśka upuściła telefon, a Elwirę przeszył gwałtowny dygot.

– Wyłącz ten cholerny telefon i usiądźmy – rozkazała.

Lusia posłusznie schyliła się po aparat, wyłączyła go i przeszła kolejną zmianę nastroju.

– Jakie „usiądźmy”? Ja się natychmiast wyprowadzam! – oświadczyła i skierowała się do schodów na piętro.

– Oszalałaś?... – Wybałuszyła oczy Elwira.

– Chyba ty, jeśli zamierzasz dalej tu mieszkać! W domu z... – Przełknęła ślinę. – Z nieboszczykiem. – Lucyna dotarła do swojej sypialni i wystawiła z szafy walizkę.

– Nieboszczyk nie jest w domu, tylko w szopie. To raz. Jeśli uciekniemy, to już zupełnie będzie wyglądało, jakbyśmy przyznały się do winy, to dwa – argumentowała Elwira.

Lucyna położyła na łóżku walizkę, otworzyła ją i wyjęła z szafy pierwszą porcję ubrań. „Jeszcze nigdy nie wracałam z wakacji z takim stosikiem

nietkniętych, równo uprasowanych T-shirtów, topów i szortów” – przemknęło jej przez myśl, aż westchnęła z żalem. A głośno powiedziała:

– Nadal nie rozumiem, dlaczego nie miałybyśmy zwyczajnie zawiadomić policji? Ja jestem porządną obywatelką, a porządni obywatele zgłaszają takie... – Znów przełknęła ślinę. – Takie przypadki organom ścigania. Nic nie zrobiłam i nie mam powodów się bać. Jeśli tak bardzo nie chcesz, żebym dzwoniła, mogę się pofatygować na komisariat osobiście.

– Z walizką? – podsunęła Elwira.

– Z jaką walizką?...

– No, z tą walizką. Którą właśnie pakujesz. Musisz lepiej popracować nad logistyką: najpierw zgłaszasz czy najpierw wyjeżdżasz? A rozkład pociągów sprawdziłaś?

– Wsiądę w cokolwiek – oświadczyła desperacko Lusia.

– Ooo, proszę, żądza przygód się w tobie odzywa – zadrwiła Elwira.

– Akurat przygód mam aż nadto!!! – wybuchnęła Lucyna. – To miały być cudowne wakacje, a wyszło jak zawsze!! Co ja mówię, stokroć gorzej niż zawsze! Dotąd jednak obywało się bez trupa, a teraz nie dość, że on, to jeszcze jakieś podejrzenia!

– A widzisz! – wytknęła Elwira.

– Co widzę? – nie nadążała Lusia.

– Sama przyznajesz, że znalazłyśmy się w kręgu podejrzanych.

– Pieprzę to, w czym się znalazłyśmy! – zezłościła się Lusia. – Nie wiem, jak ty, ale ja wkrótce znajdę się z powrotem w swoim domu. Bezpiecznym. Bez martwych niespodzianek. – Z furią otworzyła szufladę szafki nocnej, by wyjąć z niej to, co zaledwie przed dwoma dniami tam wkładała: okulary, książkę i paczkę chusteczek. – I jeszcze wszędzie pierdoły tych ludzi! – zezłościła się znowu, wyciągając wraz ze swoimi rzeczami jakiś notes. Cisnęła nim na podłogę, a książkę, okulary

i chusteczki umieściła w kieszeni na klapie walizki. „Przydadzą się w podróży dla ukojenia nerwów” – pomyślała smutno.

„Kalendarz wędkarski 2018” – przeczytała bezmyślnie Elwira. Taka już była: gdy tylko w zasięgu jej wzroku znajdował się jakiś napis, od razu musiała go przeczytać. Nie lubiła też ciskanych na podłogę książek (a choćby i kalendarzy wędkarskich), które w wyniku upadku tak bezradnie się rozkładały. Jak żuczki, które wiatr przewrócił grzbietem do dołu. Odruchowo sięgnęła więc po kalendarz, by tak nie leżał.

„Jaromirowi Kurowskiemu – przyjaciele z Koła” – znów przeczytała odruchowo.

I nagle aż podskoczyła.

– Lucy – zwróciła się do Lucyny śmiertelnie spokojnym głosem. – Jak się nazywali ci ludzie, od których wynajęliśmy domek?

– Górnicy. – Urzędnicza dusza Lucyny zawsze przechowywała w pamięci takie idiotyczne dane.

– Jezusie Nazareński... – Elwira przysiadła na łóżku, jakby uszło z niej powietrze.

Lusia spojrzała na nią pytająco.

– Lucy – powiedziała strasznym tonem Elwira. – To nie jest ten dom.

– Słucham???

– To nie ten dom wynajęliśmy. Za dużo rzeczy się nie zgadza. Drobną różnicą w adresie. Brak klucza w umówionym miejscu. Nieprzygotowane sypialnie. Trochę inny wygląd niż na zdjęciach. Pełno prywatnych przedmiotów. I inne nazwisko.

Lucyna zadrżała i usiadła między przyjaciółką a własną, szeroko otwartą walizką.

– I co teraz? – spytała bojaźliwie.

– Teraz to już zupełnie nie możemy tego zgłosić. – Elwira westchnęła. – Zajęliśmy bezprawnie dom faceta, który leży bez życia we własnej szopie. Nasze odciski palców i cząstki DNA są już nie tylko na denacie, ale na wszystkich sprzętach w jego domu. I ogrodzie.

Lucyna pokręciła głową, nieprzekonana.

– Nie mamy motywu.

– A przejęcie domku nad morzem to nie jest motyw?

– Przerażasz mnie – rzekła Lucyna ostrożnie, bo tak właśnie należy rozmawiać z wariatami.

– Ty się nie przerażaj, Lu. – Elwira spojrzała na nią posepnie. – Ty myśl intensywnie, co z tym fantem zrobić. I nie mów mi, że zostawić, jak jest, i wyjechać, bo to nie rozwiąże sprawy; patrz punkt o naszym DNA rozsiałym dosłownie wszędzie.

Lucyna dłuższą chwilę milczała, nie mogąc uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Okoliczności były tak absurdalne. Ledwie dwie godziny temu maszerowała dziarsko po plaży, a jedyne, co zaprzętało jej śliczną główkę, to jak na tych wspaniałych wczasach zgubić troszkę fałdek. No i może znaleźć faceta. Nawet teraz za oknem nadal były cudowne słońce, wiatr, lazur nieba. Nikt na świecie nie przypuszczał, co się rozgrywa na pięterku małego kaszubskiego domku i w dwóch struchlałych sercach turystek z Warszawy. No, i w szopie opodal.

Boże. Takie piękne wakacje... Z jej osobistego struchlałego serca wyrwało się głębokie, pełne żalu westchnienie. Poza żalem było jednak jeszcze coś: silny, dojmujący odruch prawej obywatelki. Gwałtowna potrzeba, by tę sprawę załatwić, jak należy, czyli zgłosić na policję. Powiedzieć dokładnie, jak było – że się pomyliły z tą kwaterą, że się zorientowały dopiero po – mimowolnie zadrzała – po tym, jak znalazły prawowitego właściciela nieżywego. Górniccy przecież potwierdzą ich

wersję zdarzeń – przelew z zaliczką zrobiły im niemal rok temu, można to wykazać.

Tak. Teraz trzeba tylko przekonać do tego Elwirę. Czyli zagrać twardą, bystrą, wiedzącą, co robi, kobietę. A także przyznać jej jakąś część racji, dla udobruchania. Czyli po raz pierwszy w życiu muszą się zamienić rolami, zauważyła ze zdumieniem. Do tej pory to Elwira była generałem, a Lucyna szeregowym.

Lusia głęboko nabrała powietrza.

– Dobra, El. Masz rację. Nigdzie nie będziemy wyjeżdżać. To też by nas mogło obciążyć – że zwiewamy z miejsca zbrodni. To znaczy zejścia. Poszukamy właściwego domku, przeniesiemy się tam i będziemy wypoczywać w na tyle dobrych humorach, na ile zdołamy. Ale to wszystko po tym, jak już pójdziemy na policję i zgłosimy sprawę. Górniccy i ich potwierdzenie, że wynajęliśmy od nich domek, uwiarygodnią nasze zeznania. Policji powiemy wszystko od początku aż... do smutnego końca. Nie mamy się czego bać – zakończyła dziarsko i łypnęła na przyjaciółkę, by sprawdzić, czy osiągnęła zamierzony efekt.

Elwira w zamyśleniu ssła koniuszek włosa. Co za ulga, że Lucy się wzięła w garść. Ona sama dotąd była taka twarda, bo... No bo ktoś musiał. Gdyby i ona okazała słabość, Luśka rozsypałaby się kompletnie. A tak? Proszę: zebrała się, otrzeźwiała, nakreśliła plan. Można? Można – Elwira była bardzo rada zarówno ze swej błyskawicznej terapii, jak i z własnego opanowania.

– Jak chcesz, to potrafisz – pochwaliła. – A co do policji...

Sama nie wiedziała. Była w niej przemożna, anarchistyczna ochota, by trzymać się z dala od wszelkich „organów”. Nie znosiła urzędów, polityków, zeznań podatkowych i wszelkich kontroli. Nie miała nic do ukrycia – ale organicznie nie znosiła być sprawdzana. W fińskich szkołach



podobno nie ma sprawdzianów – a ich metodę nauczania uważa się za najefektywniejszą na świecie. Dlaczego nie korzystamy z fińskich wzorców?

Westchnęła. Wypluła kosmyk i zaczęła gryźć paznokieć.

Z drugiej strony – trudno o bardziej poczciwą i budzącą zaufanie osobę niż Luśka. Gdyby ją wrobić w zeznania, to wyśpiewa wszystko jak na spowiedzi i jeszcze będzie szczęśliwa z dobrze spełnionego obywatelskiego obowiązku. Wtedy sama Elwira może ograniczyć swoją styczność z organami do niezbędnego minimum. Będzie tylko potakiwać i na koniec złoży podpis we właściwym miejscu.

– Niech będzie – powiedziała zatem. Za tymczasową nagrodę posłużyła jej ulga odmalowana na twarzy przyjaciółki.

Ze znalezieniem komisariatu nie było żadnych problemów: już poprzedniego dnia wypatrzyły niedaleko głównej ulicy duży niebieski szyld. Kto by pomyślał, że tu trafią?

Wiatr przygnał znad morza dużo bardziej stosowne w tej sytuacji chmury, z których zaczął siąpić, padać, a następnie lać jeszcze bardziej stosowny deszcz. Niespodziewane załamanie pogody wyludniło miasteczko. Wczasowicze siedzieli w kwaterach, kawiarniach, na zadaszonych tarasach lokali gastronomicznych. Duży namiot Sceny Kulturalnej cieszył się popularnością, o jaką trudno było w słoneczne dni. Ludzie zatrzymywali się pod nim, by na chwilę obeschnąć – rozglądali się, stwierdzali ze zdziwieniem, jakie to fajne wnętrze, po czym nieoczekiwanie dla samych siebie zaczynali przeglądać książki, a nawet je kupować, siadali przy małych stolikach, sączyli kawę i podczytywali zakupione trofea.

Nie wszyscy jednak mogli się oddawać beztroskiej lekturze. Lucyna z Elwirą szły w milczeniu na komisariat, kuląc się pod parasolem

znalezionym w domu świętej pamięci Jaromira.

– Gdyby mi ktoś powiedział tydzień temu, co dziś będę robić... nie uwierzyłabym – odezwała się Lucyna grobowym głosem.

– Nigdy nie wiesz, co będzie za tydzień – zauważyła Elwira.

– Z reguły wiem. Przynajmniej z grubsza. Będę siedzieć w pracy, odhaczać sprawy, które już załatwiłam, i przesuwając na koniec listy te najmniej przyjemne. Lista nigdy się nie kończy, bo w miejsce załatwionych wciąż przychodzą nowe... Oto moja praca. A nawet całe życie. – Westchnęła z nutką żalu.

– Diabeł tkwi w szczegółach – rzekła filozoficznie Elwira. – Tego, co teraz robimy, też „z grubsza” mogłaś się spodziewać: że nad morzem będzie padało, będziemy szły przez miasteczko pod parasolem i będziemy chciały, żeby było trochę inaczej, niż jest. O szczęściu i nieszczęściu przesądzają właśnie detale: owe „z grubsza” i „trochę inaczej”. Mogłaś myśleć, że na wyjeździe nad Bałtyk będziesz marzyła o słońcu i poznaniu kogoś fajnego. Tymczasem... no, słońce aż do teraz było, a denat... hm, niewykluczone że był fajnym gościem. Widzisz? – zwróciła się do Luśki. – Detale!

– Daj spokój. Nie chcę wiedzieć, jaki był. Najchętniej w ogóle bym go nie... poznała.

Na wspomnienie okoliczności „poznania” jej ciałem targnęły dreszcze.

– Było wziąć sweterek – wypomniała Elwira, źle odczytując dygot Luśki.

– Co tam sweterek w obliczu śmierci – rzekła ponuro Lucyna i pociągnęła nosem. – Popatrz: jesteś – pstryknęła palcami – i nagle cię nie ma. Umierasz nieefektownie, nad jakąś robotą, nie masz żadnego wpływu na to, co się dzieje.

– Jeśli to prawda, co mówią ci po śmierci klinicznej, to jeszcze lecąc w kierunku światła, możesz sobie ewentualnie rzucić okiem na swój nędzny koniec – pocieszyła Elwira.

Ale myśli Lucyny biegły innym torem.

– Gdybym ja padła w pracy nad biurkiem, też pewnie nikt by nie zauważył – pożałowała się. – Marność nad marnościami. I wszystko marność – zacytowała. Znowu przypomniało się jej to, o myśleniu nad czym miały ją uwolnić piękne wakacje: że jest malutkim trybikiem w maszynie, sprawnym, ale nie do końca szczęśliwym. I pojedynczym.

Przez chwilę szły w ciszy, każda zatopiona w swoich rozważaniach.

– To tu – przerwała milczenie Lucyna, wskazując na niski budynek, przed którym parkowały trzy policyjne samochody. – Dowód wzięłaś, tak?

– Wzięłam – mruknęła Elwira, podniosła głowę i zdmuchnęła z twarzy wilgotne od deszczu włosy.

Naraz zatrzymała się gwałtownie.

– Ej, no co robisz?! – zdenerwowała się Lucyna, której woda z przechylnego parasola chlupnęła wprost za kołnierz. Zezłoszczona pociągnęła przyjaciółkę za ramię.

Elwira jednak wrosła w ziemię jak uparty koń. Albo słup soli.

– Patrz – wychrypiała dziwnym, nieswoim głosem.

Lucyna powędrowała wzrokiem we wskazanym kierunku. Dwadzieścia metrów przed nimi, tuż przy wejściu do komendy, stał nieruchomo ich nieboszczyk. Od stóp do głów ubrany na czarno, w rękę trzymał wielki czarny parasol. Choć mocno wiało, jego płaszcz i włosy pozostawały niewzruszone.

Pod Lucyną ugięły się nogi.

– Jezu Chryste... – szepnęła. – Ty też to widzisz?

Elwira poczuła w gardle taką suchość, że nie zdołałaby wykrztusić ani słowa.

Nie odrywając oczu od zjawy, Lucyna poszukała ręki przyjaciółki i mocno ją chwyciła. Na nienaturalnie bladej twarzy nieboszczyka z daleka

widać było charakterystyczne grube kreski brwi i ciemne, prawie czarne oczy. Co gorsza – te oczy patrzyły prosto na nie. Lucyna chciała się cofnąć, uciec, lecz strach kompletnie ją sparaliżował.

Zdarzają się czasem złe sny, w których coś przeraża nas do niemożliwości – i tak bardzo chciałoby się wtedy coś zrobić – uciec pędem, wrzeszczeć z całych sił – ale lęk sprawia, że z gardła wydobywa się tylko nieporadny gulgot, a nogi wrastają w ziemię jak pnie drzew.

Niestety, to nie był sen.

Zjawa, wciąż patrząc na nie przejmującym wzrokiem, powoli, znacząco pokręciła głową: raz, drugi i trzeci.

Lucyna poczuła, że jeśli czegoś nie zrobi, zaraz zemdleje. Albo też umrze. Z całych sił wczepiła się w dłoń Elwiry i spróbowała poszukać ratunku w swej racjonalnej przyjaciółce.

– Ożył? To znaczy, nie ożył, tylko wcale nie umarł??? – spytała szeptem, bo tylko taki głos była w stanie z siebie wydać. – Pokazuje nam, że to nie tak? Że jest inaczej, niż myślimy? Może jesteśmy w ukrytej kamerze??? –

Panika sprawiła, że Lucyna gadała jak najęta, jakby w ten sposób dało się zapanować nad lękiem.

Elwira jednak nie miała złudzeń. Odchrząknęła, próbując odzyskać głos.

– Nie ożył – wydukała cicho. – To niemożliwe. Przecież sprawdziłyśmy. O co tu chodzi?

Zmarły nie poruszył się nawet o jotę.

– Ja ze zmarłymi nie zamierzam zadzierać – oświadczyła pośpiesznie Lucyna. – Oni mają lepszy ogląd sytuacji, może wie coś, czego my nie wiemy. A teraz najwyraźniej nam pokazuje, że nie chce, żebyśmy poszły na policję. Chodź. Zmywamy się stąd. – Pociągnęła zeszywniałą Elwirę za ramię.

Tymczasem zjawą pokiwała głową, jakby się im kłaniała, i postąpiła krok do przodu.

– No chodźże! – wrzasnęła Lucyna, szarpnęła Elwirę z całej siły i odwróciła ją w stronę, z której przyszły.

Dopiero wtedy przyjaciółka jakby odzyskała władzę w nogach. Rzuciła parasol, który wiatr zaraz porwał i przetoczył przez kałuże – one zaś puściły się biegiem, nie oglądając się za siebie.

Zatrzymały się na głównej ulicy. Deszcz lał jak z cebra, nigdzie nie było żywej duszy.

– Co teraz? – wydyszała Lucyna.

– Między ludzi. Tam! – Elwira wskazała jakiś bar.

W środku było gęsto od klientów i oparów smażonych potraw. Przepchnęły się do barku i, z braku wolnych krzeseł, stanęły, opierając łokcie na kontuarze.

– Dwie wódki – powiedziała Elwira, gdy tylko udało jej się złowić zainteresowany wzrok barmana. – Albo nie, cztery.

– Może wiśniówkę? – zaproponował barman pogodnie, niczego nieświadomy.

– Dużo wiśniówki. W dużych kieliszkach – zachrypiała Elwira.

Lucyna sięgnęła po plik papierowych serwetek i otarła twarz. Elwira nerwowo czekała na alkohol – a gdy go dostała, wypić łąpczywie całą szklaneczkę.

– Co to, do cholery, było? – rzuciła wreszcie.

– Nie co, tylko kto – sprostowała posepnie Lucyna, trzęsąc się z zimna i strachu.

– Pij, Lucy – nakazała Elwira. – To na wzmocnienie. I rozjaśnienie umysłu. I żeby się nie przeziębic.

Lucyna upiła spory łyk. Alkohol błyskawicznie rozchodził się po ciele, dając ciepło i namiastkę spokoju.

– Słuchaj – zaczęła, obracając szklaneczkę w dłoniach. – A może my się pomyliłyśmy, co? Od rana byliśmy pod wpływem silnych emocji. Mogła nam się przytrafić halucynacja. Nawet zbiorowa. To znaczy podwójna: tobie i mnie.

Elwira ze smutkiem pokręciła głową.

– Oszukiwanie siebie to kiepska droga – wygłosiła. – Poznałabym tę twarz wszędzie.

Lucyna ciężko westchnęła i dopiła wiśniówkę.

– Niestety, ja też. To co robimy?

– Nie wiem. Na razie zamówię nam kolejną wiśniówkę.

– Miałaś nie pić.

– Ale to było przed nieboszczykiem. Żywym nieboszczykiem.

Lucyna aż podskoczyła na dźwięk słowa „żywy” użytego w tym kontekście. Rzeczywiście, wszystkie ustalenia przestają obowiązywać w tak nadzwyczajnej sytuacji.

Elwira postawiła przed nią kieliszek z burgundowym płynem. Luscia pociągnęła duży łyk. Zaczynała rozumieć, za co Elwira tak lubiła alkohol: poczuła rozluźnienie, troski lekko się oddaliły, za to umysł wskoczył na wyższe obroty.

– Skoro nie możemy tej sprawy zgłosić, pozostaje nam tylko jedno.

– No? – zapytała napiętym głosem Elwira, która ewidentnie potrzebowała więcej wypić, by poluzować nerwy.

– Więc otóż myślę – powiedziała Lucyna z miną, która stawiała pod znakiem zapytania tę deklarację – że trzeba tego człowieka pogrzebać.

– Pogrzebać?! – Elwira omal nie zakrztusiła się wiśniówką. – Jak to pogrzebać?!

– Jak najszybciej. – W Lucynę wstąpiły nowe siły. – Pogrzebać, po chrześcijańsku. Grzebanie zmarłych to nasz pobożny obowiązek.

– Teoretycznie tak... – Elwira nie miała mocnego kontrargumentu. Generalnie rozumiała konieczność zrobienia czegoś z nieboszczykiem, ale za chwilę. Dłuższą chwilę. I nie w ten sposób.

Tymczasem Lucyna złapała wiatr w żagle.

– Pogrzeb, zdecydowanie. Trzeba wszystko zaplanować. Najpierw zmarły – musi mieć zamknięte oczy i usta. Koniecznie. Ty się tym zajmiesz, dobrze? – Bardziej stwierdziła, niż zapytała Lucyna. – Dalej: ubranie. Coś na pewno znajdziemy w tych szafach, teraz już możemy do nich zaglądać, bo panu Jaromirowi te doczesne przedmioty nie są do niczego potrzebne. Trumna. No tu mamy problem, bo raczej nie kupimy, to mała miejscowość, mogą nie mieć. Trudno, weźmiemy coś z domu, jakiś koc albo kapę. Mirt i gałązki barwinka do przybrania znajdę w lesie. Babcia mnie nauczyła rozpoznawać rośliny. A, bobym zapomniała – kiedy się wynosi ciało, to trzeba stuknąć trumną o próg, trzy razy, żeby zmarły mógł się pożegnać z domem. Tyle tylko, że my nie będziemy mieć trumny, to czym stuknąć? I będziemy wychodziły z szopy, a nie z domu. To chyba nie obowiązuje wtedy? Bo jak – ma się nasz nieboszczyk z szopą żegnać? Jakoś nie licuje z powagą pogrzebu.

Elwira z rosnącym niepokojem patrzyła na przyjaciółkę, która ewidentnie się nakręcała. „Odreagowuje stres działaniem” – pomyślała. I alkoholem. Trzeba ją przystopować, bo będzie z tego kolejne nieszczęście. „Nasz nieboszczyk”, cholera jasna.

Lucyna nie zrażała się brakiem odpowiedzi i ciągnęła swój monolog:

– I koniecznie trzeba pamiętać o pochowaniu ciała głową na wschód. Absolutnie na wschód. Zaraz, tam jest plaża, czyli morze, czyli północ. To znaczy, że w drugą stronę, o tam, w kierunku stacji, jest południe. Zachód

to jak do Gdańska, a wschód – jak na Hel. O, to w tym kierunku, gdzie szopa. Czyli tam zrobimy grób. Blisko będziemy miały. I całkiem przytulne miejsce, w kąciuku. Nie wieje, trochę słońca, trochę cienia. Teraz tylko pytanie, kiedy ten pogrzeb urządzić? Powinien być trzeciego dnia po śmierci, no ale nie wiemy, kiedy pan Jaromir umarł. Trudno, siła wyższa. A co myślisz o czuwaniu? Wiesz, noc, z katafalkiem, gromnicami i śpiewaniem żałobnych pieśni. Namaszczenia nie będzie, bo księdza też nie sprowadzimy?

– Nie. – Elwirze udało się wbić w monolog Lucyny.

– Chyba nie. Bo co do spowiedzi to obowiązuje tajemnica. To znaczy mogłabym pójść i opowiedzieć, że my tu same z nieboszczykiem i mamy problem. Wtedy to by zostało w konfesjonale. No ale gdybym poprosiła księdza, żeby namaścił, to już by mógł powiedzieć – tu Lucyna ściszyła głos – policji. Czyli nie. To zrobimy tak, że znajdę odpowiedni fragment Biblii i przeczytam nad trumną. To znaczy nad kocem. Zakładam, że Biblia gdzieś jest, bo widziałam w przedpokoju krzyż na ścianie, czyli dom wierzącego. Czy coś jeszcze? A! No stypa. Trzeba pożegnanie wyprawić.

– Stypa! – Elwirę nagle olśniło. – Oczywiście, że stypa. Doskonały pomysł. Zresztą już zaczęłyśmy oplakiwanie i żegnanie zmarłego. Dokończymy w bardziej kameralnych warunkach. O, patrz, nawet padać przestało.

Wiatr trochę zelżał. Drzewa spokojnie się kołysały, niebo oczyściło się z szarych obłoków. Słońce stało wysoko na niebie. Było południe. Elwira postanowiła tym razem zmienić trasę. Zamiast iść chodnikiem, powiodła Lucynę do przejścia przez tory, wybierając drogę przez las. Nie chciała, żeby się rzucały w oczy – dwie szklanki nalewki mocno nadwerężyły siły psychiczne i fizyczne Lucyny. Sama też potrzebowała się przejść, żeby jakoś wszystko sobie poukładać w głowie. Co za dzień! Nawet dla niej,



lubiącej, by wciąż się coś działo, było tego zdecydowanie za dużo. O jednego nieboszczyka za dużo. Że też akurat im musiało się to przytrafić. Prawda, wczoraj wieczorem, kiedy leżała w łóżku, pomyślała sobie, że już dawno nie była na takich poukładanych, monotonnych wakacjach. Ale przecież nie było w tym intencji żadnej zmiany! Cholerne sprawcze myślenie – może rzeczywiście działa, jak z niezachwianą pewnością przekonuje swoich klientów pacjentów? Dobra, nie ma co teraz rozpamiętywać, trzeba się wziąć w garść. Przecież z każdej sytuacji jest jakieś wyjście.

Elwira bardzo chciała w to wierzyć. Zaczęła intensywnie myśleć: zwykle gdy ktoś znika, to ktoś inny go szuka. Ale gdyby się zastanowić, to ten ich dom wyglądał na typowe lokum kawalera. Żadnych śladów bytności kobiety. Ani innej osoby. Może nie ma rodziny? Może nikt się nie zainteresuje nieobecnością odludka Jaromira? Dom stoi w oddaleniu od innych budynków, w dziczy. Jeśli to był świadomy wybór, a dlaczego miałby nie być taki, to znaczy, że pan Kurowski nie był duszą towarzystwa. Tak, to może się udać. Trzeba się trzymać tej myśli.

Elwira rozejrzała się dokoła. Gdzie one właściwie są? Szły przez las – ona pochłonięta myślami, Lucyna wciąż lekko ścięta alkoholem, nie rozglądając się po okolicy. Doszły do skrzyżowania leśnych dróg. Tu, w prawo, była jakaś solidniejsza trasa. I nawet tabliczka majaczyła na płocie. Pociągnęła przyjaciółkę w tamtą stronę. Po kilku minutach stanęła zdębiała, aż Lucyna na nią wpadła, omal jej nie przewracając. Ich oczom ukazał się dom z drewnianym obłożeniem, brązowym dachem, zgrabniutkim gankiem, równym płotem i starannie przystrzyżoną trawą. Śliczny kaszubski klocuszek. Na niebieskiej blasze z białym obramowaniem widniał napis: Morska 3.

Ich dom! Ten wynajęty!

– Luśka, ty widzisz?

Lucyna spojrzała na budynek. Najwyraźniej w jej mózgu zaskoczyły odpowiednie trybiki.

– No, nasss, nasz znaczy! Poznają, jak z fotografii.

– Ale jak to możliwe? W Juracie są dwie ulice Morskie? W dwóch różnych miejscach? Zaraz, zaraz! – Elwirę nagle olśniło. – A może, skoro tu jest prawdziwa Jurata, ulica Morska 3, to my mieszkamy... Co jest przed Juratą? Jastarnia! Patrz, za domkiem jest lekkie obniżenie terenu, potem kolejna wydmowata górką. A za nią ta dziwna krzywa, stara sosna.

– Taka podobna do tej przy naszym domu? – Lucynie ewidentnie wracał kontakt z rzeczywistością.

– Przy nie naszym. – Elwira silnie zaakcentowała przeczenie. – Kurde, byłyśmy tak blisko. Tak niewiele nas dzieliło od innego scenariusza. Cholerne detale!

Lucyna pokiwała głową na znak, że się całkowicie zgadza.

– Chodź, sprawdzimy tylko, czy jest obiecany klucz na parapecie.

Elwira nacisnęła klamkę. Furtka płynnie się otworzyła, nie wydając żadnego dźwięku. Ścieżką z równo ułożonych kamieni podeszły do ganku. Elwira wspięła się na place i odsunęła doniczkę z bujnymi czerwonymi pelargoniami. Za nią, w skórzanym brązowym etui, były klucze. Już tylko dla formalności przekreśliła klucz w drzwiach. Zamek ustąpił.

Elwira znowu westchnęła. Trochę z żalu, trochę ze złości, ale i z radości. Może od teraz wszystko się ułoży?

Na razie jednak musiały wrócić do tamtego domu. I do nieboszczyka.

– No i co teraz? – zapytała Lucyna, gdy stanęły przed tablicą z napisem Morska 1. Zdążyła oprzytomnieć, a wraz z trzeźwością umysłu powrócił lęk. – Może jednak nasz nieboszczyk żyje, co? – zapytała niepewnie.

– Luśka, ja nie wiem, co to było, tam przed komisariatem, ale umarli nie ożywają. Takie rzeczy to tylko w filmach o zombie. Jeśli się upierasz, to możemy sprawdzić.

Lucyna się wzdrygnęła. Absolutnie nie chciała kolejnego kontaktu z Jaromirem – ani żywym, ani umarłym, ale czuła, że musi sama, na własne oczy, zobaczyć, jak się sprawy mają.

Kiwnęła głową. Przeszły wzdłuż ściany budynku i skierowały się ku szopie. Elwira zdjęła przełożoną przez skobel kłódkę. Metalowe zawiasy ciężkich drewnianych drzwi zgrzytnęły. Elwira pociągnęła skrzydło do siebie, wpuszczając do środka trochę światła. Podeszła do regału, zdjęła z niego latarkę i włączyła ją. Skierowała silny snop światła w róg szopy, gdzie stał stół roboczy. Powoli opuściła latarkę, przejeżdżając oświetlającym wnętrzem paskiem ku podłodze. Ich oczom ukazał się znajomy kształt.

– Och! – wyrwało się Lucynie.

Elwira sama już nie wiedziała, czego by chciała bardziej: żeby Jaromir był tu, bez znaku życia, czy tam, pod komendą, zmartwychwstały.

Przeszła wzdłuż regałów. Stała teraz przy samym stole, tuż obok ciała. Nie miała już żadnych wątpliwości. Jaromir wciąż nie żył i wciąż tutaj leżał.

Lucyna też podeszła. Chciała mieć absolutną pewność, że to ten sam nieboszczyk, którego odnalazła rano.

Blask latarki, skierowany wprost na twarz denata, nie zostawiał żadnych złudzeń w tej materii.

– Jezuniu – wyszeptała Lucyna i wybiegła na dwór.

Elwira pokiwała głową i też skierowała się do wyjścia. Zamknęła za sobą drzwi. Tym razem zatrzasnęła kłódkę. Nie mają do niej klucza, choć pewnie jest gdzieś w domu. Tylko właściwie po co miałyby tu jeszcze raz

przychodzić? Ujęła Lucynę za łokieć i poprowadziła do domu. Obie usiadły przy stole kuchennym.

– I co teraz? – zapytała bezradnie Lucyna.

– Nie wiem – przyznała uczciwie Elwira. – Zaraz pomyślę, ale nim to się stanie, to jeszcze jeden malutki kieliszek. – Widząc powątpiewający wzrok Lucyny, szybko dodała: – Tylko jeden. Należy nam się. Poza tym wypijemy za zdrowie Jaromira. To znaczy za dobre życie tam. – Skierowała palec wskazujący w kierunku sufitu. – Gdzie ja to widziałam? – Zaczęła energicznie przeglądać wiszące nad blatem szafki. A potem sobie przypomniała i poszła do salonu, skąd po chwili doszło uszu Lucyny otwieranie szafek. – O, mam! – Triumfalnie wróciła do kuchni, trzymając w ręku przezroczystą butelkę z jakąś bursztynową cieczą. – W barku była. Nalewka sosnowa – przeczytała odręczny napis na papierowej etykiecie. – Elegancko, żaden tam spirytus. Tradycyjnie i zdrowotnie. Proszę! – Nalała od serca do szklanki i podała Lucynie. – Niech mu ziemia lekką będzie!

– To potem się mówi, na pogrzebie – zauważyła przytomnie Lucyna.

– Nie zaszkodzi zacząć wcześniej. Pij! – zachęciła Elwira, nalewając i sobie, choć zdecydowanie mniej.

Lucyna pociągnęła łyk. Trochę się skrzywiła, ale po chwili namysłu znowu zacisnęła usta na cienkim brzegu szklanki i odchyliwszy lekko głowę, pozwoliła spłynąć nalewce do gardła.

– Dziwne, ale nawet całkiem dobre. Takie leśne, choć wcale nie gorzkie. I miło rozgrzewa.

– Prawda? – ucieszyła się Elwira, która też spróbowała nalewki i uznała, że jest paskudna. Trunek przypominał płyn do kąpieli „Leśna szyszka”, lekko osłodzony i wzmocniony wódką. Skoro jednak Lucy smakuje, to świetnie.

– O, proszę. Na cześć pana Jaromira!

Lucyna ochoczo wychyliła kolejną szklaneczkę. A potem jeszcze dwie. Po półgodzinie miała już mętno-śpiący wzrok. Lekko osunęła się na krzesło i w zamyśleniu gładziła palcami frędzle rozłożonej na stole serwetki w kaszubski wzorek.

– Lusi, dużo wyzwania przed nami – powiedziała kojąco głosem Elwira. – Może odpoczniesz trochę? Zaprowadzę cię do pokoju, połączysz się, a ja tu zacznę się krzątać, co? Posprzątam, popakuję nas.

– No, może... – sapnęła zgodnie Lucyna.

Eliwira pomogła jej się podnieść i poprowadziła ją do sypialni na piętrze. Ułożyła przyjaciółkę w łóżku, przykryła kocem. Chwilę stała, patrząc, jak Lucyna zasypia. Wyszła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Pomyślała, że zacznie od pakowania w swoim pokoju. Potem przeleci cały dom w poszukiwaniu ich rzeczy, a na końcu przystąpi do ogólnych oględzin – może dostarczą im więcej informacji o właścicielu domku, do którego tak niefortunnie trafiły.

Weszła do miniaturowej sypialenki. Nagle i ona poczuła się bardzo zmęczona. Postanowiła na chwilę się położyć. Dosłownie na kwadrans.

Jakiś ciężar uciskał jej duszę, nie pozwalając głębiej zaczerpnąć powietrza. Kręciła się w łóżku, aż wreszcie zrezygnowana wstała.

Podeszła do okna. Było już ciemno. Mimowolnie skierowała wzrok ku szopie. Czyżby się jej wydawało, czy też drzwi były lekko uchylone? Z piętra niewiele było widać.

Włożyła bluzę dresową i zeszła na dół. Przekręciła klucz w zamku i przez ganek wyszła na zewnątrz. Obeszła dom i po kilku krokach była już przy szopie. Bierwiona złożone wcześniej przy ścianie teraz leżały w nieładzie, zupełnie jakby rozegrała się tu jakaś walka. Na miękkich nogach podeszła bliżej. Drewno ze środkowej części kopca było

rozgrzebane, aż do ziemi, a nawet bardziej. Jej oczom ukazał się dół, coś jakby grób. Trzęsąc się, zajrzała w czarną czeluść, ale bez latarki widziała tylko mrok. Nagle poczuła czyjąś rękę na swoim ramieniu.

– Puszczaj! – wrzasnęła na całą okolicę.

– Nie krzycz, to tylko ja – usłyszała.

Przed nią stał Jaromir.

– Uspokój się, to ja – powtórzył.

Tylko dlaczego głosem Lusi?

Elwira powoli przytomniała. Usiadła na łóżku. Kilka razy energicznie przetarła twarz rękami. Podniosła głowę. Przed nią stała Lucyna.

– Nie krzycz, to ja. Luśka. Już wstałam, nie mogłam jednak spać. Widzę, że ty możesz, ale masz koszmary.

– Jezu, śniło mi się, że poszłam sprawdzić, czy w szopie wszystko bez zmian, a tam był grób, na dodatek rozkopany. Myślałam, że to nieboszczyk mnie klepnął w ramię.

– Nie mów o nim tak bezosobowo.

– A jak mam mówić? Chcę zapomnieć, a nie do tego wracać.

– Też bym chciała. I też nie mogę. To jak w *Zbrodni i karze*. Sumienie nas ściga.

– Przecież my nikogo nie zamordowałyśmy, Luśka!

– Niby nie. Ale wystąpiłyśmy przeciwko porządkowi.

– Jakiemu niby?

– Prawnemu. Zwyczajowemu. Obywatelskiemu.

– Daj spokój. Sytuacja i tak jest trudna, nie komplikuj jej dodatkowo.

– Masz rację, przepraszam.

– Próbuję zracjonalizować sobie to, co się stało. Przecież nie ma w tym ani grama naszej winy. I im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej

jestem przekonana, że on umarł z przyczyn naturalnych. Nie widzieliśmy żadnych śladów przemocy.

Lucyna wzdrygnęła się na wspomnienie z szopy.

– Ale przecież to był całkiem młody facet. Miał około czterdziestu, no, może pięćdziesięciu lat. W tym wieku się tak łatwo nie umiera.

– Niby nie. Ale zobacz, był singlem. A badania mówią, że samotni mężczyźni żyją krócej. Pokonują ich zawały i nowotwory. Samotność i brak zaopiekowania im nie służą, ewidentnie.

– A kobietom? – zainteresowała się nagle Lucyna.

– Wręcz przeciwnie – uspokoiła ją Elwira.

– Badania tak mówią?

– Może niedokładnie badania, ale moja praktyka psychologiczna na pewno. Będziemy żyły długo, nie bój się.

– Ale ja bym woląa długo z facetem – wyznała szczerze Lucyna.

– Dobra. Tym też się zajmiemy. Ale nie wszystko naraz. Teraz się pakujemy, a potem poszukamy informacji o Jaromirze. Sprawdźmy, kim był, co robił. Czy ma jakąś rodzinę, krewnych, znajomych. Mówiąc brutalnie: czy ktoś się zainteresuje jego losem. Czy będzie go szukał, niepokoił się brakiem kontaktu. Zróbmy research. Przejrzyjmy szuflady, teczki, dokumenty. Odszukajmy dowód osobisty, dyplom ukończenia studiów, PIT-y, rachunek za prąd. Listy, kartki, pocztówki. Kartę biblioteczną. Sprawdźmy, czy ma gdzieś laptop. I komórkę.

– A może go wygooglujemy?

– Nie, absolutnie. Nie włączamy komórek. Na wszelki wypadek lepiej się nie logować. Od trzech dni nie ma nas w sieci i na razie niech tak będzie. Może się nam to przydać jako alibi.

Lucyna pokiwała głową.

– Grunt to mieć plan. I poznać prawdę. Przypuszczenia oplatają twój mózg jak trujący bluszcz. Z faktami da się racjonalnie postępować.

– No to chodźmy, trenerze – westchnęła Lusja. – Jest wpół do piątej. – Spojrzała na nadgarstek. – Musimy zdążyć do wieczora.

Spakowały się w kwadrans. Lucyna starannie włożyła swoje ubrania do walizki, Elwira zdecydowanie mniej przejmowała się estetyką – pozwijała ciuchy i upchnęła je do plastikowej skorupy na kółkach. Potem obie zrobiły rajd po pozostałych pomieszczeniach, zbierając swoje drobiazgi. O szóstej uznały, że w zakamarkach domu przy Morskiej jeden nie zostało nic z ich dobytku.

Wtedy zabrały się za przeszukiwanie rzeczy należących do martwego gospodarza.

– Nazywał się Jaromir Kurowski – odczytała Lucyna z trzymanego w dłoni dokumentu. – Imiona rodziców: Tadeusz, Bożena. Data urodzenia: czternasty kwiecień tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku. Adres zameldowania: Morska jeden, Jastarnia. Wzrost: sto siedemdziesiąt cztery, oczy: piwne. Jedna karta płatnicza. Debetowa, nie kredytowa. Dwieście złotych w banknotach, trochę bilonu. Bilet miesięczny kolejowy relacji Jastarnia–Władysławowo. Prawo jazdy, legitymacja koła wędkarskiego, karta stałego klienta salonu „Ernest”, szóste strzyżenie gratis – wyrecytowała Lucyna, prezentując przyjaciółce mały skórzany portfel.

– Widzisz? Świetnie ci idzie – pochwaliła Elwira, przeglądając zawartość pierwszej szuflady, którą dla wygody wyjęła sobie na stół. Wypatrzyła w niej dwa klucze z przywieszką „szopa”. Przez chwilę się namyślała, a potem jeden wsunęła do kieszeni. Wcześniej zatrzasnęła kłódkę na skoblu, ale może lepiej nie odcinać sobie dostępu już na zawsze. Lucyny na razie nie będzie obciążać tym pomysłem. – Z ciekawości: gdzie był portfel?

– W saszetce, na wieszaku pod kurtką, w ganku – zameldowała Lucy.



– Saszetka! – parsknęła z niedowierzaniem Elwira. – Nie słyszałam tego słowa od lat! Swoją drogą, nie uważasz, że „saszetka” pasuje raczej do starszego jegomościa, a nie do czterdziestośmiolatka? Czemu on nosił saszetkę???

– Sama wiesz przecież. Wielkomiejscy faceci, którzy przychodzą do ciebie na sesje coachingu, starzeją się w innym tempie. A raczej w ogóle się nie starzeją, tak zawzięcie to wypierają. Faceci na prowincji, a jeszcze samotni...

– ...dziadzieją? – podsunęła uprzejmie coach.

– Nie wyglądał na szczególnie zdiadziałego. O, popatrz. – Lucyna podetknęła Elwirze dowód Jaromira i stuknęła palcem w zdjęcie. – Na zdjęciu całkiem do rzeczy mężczyzna.

– Wiem, wiem: o zmarłych albo dobrze, albo wcale?

– Nie, tym razem nie o to chodzi, po prostu facet w porządku. I dom, i obejście. Zważ, że przecież nie spodziewał się gości, więc tak wyglądała jego codzienność, nie odświętność.

Znała te jej uniki. Niby nie chodzi o to, tylko zwyczajnie o tamto, nie jestem sentymentalna, przesądna czy przesadnie religijna, tylko ot tak sobie powiedziałam: wysunęłam sondę, którą w razie niezbyt pozytywnej reakcji rozmówcy szybko schowam albo przeinaczę. Luśka o płochliwości zajęcia rzadko była pewna własnego zdania. Krępowała się własnych przekonań i odruchów, tak że często w wypowiedziach zostawiała sobie specyficzną furtkę – w połowie zdania zawieszala głos, żeby sprawdzić, co druga strona na to; mówiła z ironią, jakby w cudzysłowach albo w nawiasach, aby w razie czego móc odwrócić kota ogonem. A im więcej o czymś gadała, tym bardziej chciała coś zatuszować. Jak ją zna – a przypuszczała, że dzięki ich przyjaźni oraz swej pogłębionej przenikliwości zna Luśkę najlepiej ze wszystkich – to teraz chodziło jej o to, by Jaromirowi przypadkiem nie

zachciało się ich z za grobu straszyć. Dlatego w trosce o jego wieczne, niczym niezmacone odpoczywanie Luśka będzie teraz wyrażać się o denacie wyłącznie z nabożnym szacunkiem, dyskretnie odmawiać za niego zdrowaśki – oraz pod żadnym pozorem nie zostanie sama w jego domu.

Cóż.

Elwira odłożyła ostatni plik kartek z szuflady.

– Nadal nie wiemy, gdzie pracował. A to ważne. Bo ktoś w końcu może się zainteresować, dlaczego Jareczek nie przychodzi do pracy.

Specjalnie ją trochę posmyrała tym „Jareczkiem”.

Luśka godnie przełknęła poufały zwrot, pewnie w duchu przeprasząc zań zmarłego.

– W szufladach nie ma umowy o pracę? – zagadnęła dla niepoznaki.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziała Elwira zgodnie z prawdą. – Jestem dopiero przy pierwszej, a tu z papierów są głównie instrukcje i gwarancje różnych domowych sprzętów. Może ja dokończę szperanie tutaj, a ty zajmiesz się pięterkiem?

– Eee... – Pokręciła głową Luśka. – Nie sądzę, żeby tam coś było. Dokumentów nie trzyma się w ciasnej sypialni, jeśli ma się do dyspozycji cały dół. Zresztą tam są tylko nocne szafki i bieliźniarki.

Aha. Czyli na górę też się boi sama pójść.

– No dobra – zgodziła się Elwira z rezygnacją. – To ty przeglądaj regał od lewej, ja od prawej. I gdzieś mniej więcej pośrodku się spotkamy.

Być może wzruszony szacunkiem duch Jaromira delikatnie pomagał Lucynie, bo to ona znów trafiła na kolejne liczące się znaleziska.

– Patrz. – Pokazała Elwirze pęk kluczy, wydobyty z miseczki na jednej z półek. – Jest przywieszka z napisem „zakład”. To pewno do pracy – dodała z detektywistyczną dumą.

– Ooo! – Elwira podeszła energicznie, zaintrygowana, jakby z kluczy planowała wyczytać, jakiż to zakład.

Niestety – klucze, jak to klucze, w żaden sposób nie były specyficzne. Nie można było odgadnąć, gdzie mieściły się drzwi, do których pasowały, oraz co produkował albo sprzedawał ich właściciel. Elwira musiała dać za wygraną i wrócić do swojej aktualnie sprawdzanej szuflady.

– W barku niewiele – informowała tymczasem Lucyna. – Nienapoczęta żołądkowa gorzka i ta nalewka, cośmy ją... eee... nieco uszczknęły.

„Nieco uszczknęte cztery szklanice” – pomyślała Elwira.

– O! Ale na półeczce na kieliszki są jakieś koperty! – ucieszyła się Lucy.  
– A w nich... – Zaszleściła chwilę. – Zdjęcia.

Elwira znów porzuciła szufladę z nudnymi paragonami i ciekawa zajrzała Lucynie przez ramię.

Zdjęcia były stare. Kolorowe, ale w ten specyficzny sposób sprzed kilkudziesięciu lat, kiedy barwy były w różny sposób zniekształcone. Najstarsze – ślubna para, jakiś chrzest, jakiś rodzinny zjazd – uciekały w pomarańczową bladość charakterystyczną dla klisz ORWO. Późniejsze – sądząc po fryzurach, strojach, tłach oraz właśnie po kolorach – wydawały się nadmiernie niebieskie. Jedynie kilka było nowszych – i był na nich głównie Jaromir na tle różnych ulic, domów, placów jakiegoś zachodnioeuropejskiego miasta.

– Sympatyczny gość – stwierdziła Lucyna.

– Dużo fotek siebie samego. Może był narcyzem? – wysunęła przypuszczenie Elwira.

– Eee, czemu zaraz narcyzem? – Zgodnie z przewidywaniami Lucy stanęła w obronie zmarłego. – Zwyczajnie pojechał sobie na jakąś wycieczkę i się uwieczniał.

– *Non omnis moriar* – mruknęła Elwira.

– Co tam mamroczesz?

– Nic. – Machnęła ręką Elwira. – Nieważne. Wracamy do pracy.

Dwie godziny później, gdy zajrzały już w większość kątków, schowków, półek, szafek i szuflad, Elwira przeciągnęła się i zarządziła przerwę. „A może nawet koniec” – dodała na zachętę.

Dochodziła dziewiąta. Niedługo się ściemni i pod osłoną nocy przeniosą się na Morską trzy.

– Podsumujmy, co mamy – zaproponowała Elwira.

Lusia przystąpiła do zdawania raportu.

– Dokumenty osobiste; niezbyt ciekawe paragony, instrukcje i gwarancje; karty: rowerową, wędkarską i pływacką. A, i do bankomatu. Zdjęcia. Klucze. Kilka pocztówek, które stały na kominku. Chyba nic osobistego. Sprzed kilku lat. „Pozdrowienia z Gór Stołowych zasyła Marek z rodziną”. Bilet wstępu do fokarium na Helu. Z doboru płyt, gazet, książek, zapasów kulinarnych, ilości alkoholu wyłania nam się obraz człowieka spokojnego, samotnego, żyjącego raczej na uboczu, bez wyraźnych pasji, nie licząc wędkowania i tych fok, które mogą świadczyć o tym, że lubi zwierzęta. Ręki kobiecej: brak – zaopiniowała zadowolona. Jej przywiązanie do Jaromira zaczynało Elwirę lekuchno niepokoić.

– „Zakład” – Elwira przeszła do konkretów. – Sądząc po bilecie miesięcznym, miejsce pracy znajduje się we Władysławowie. Słowo „zakład” sugeruje, że to własna działalność. A więc może nikt się zbyt szybko nie zainteresuje jego zniknięciem? Chyba że ma nad sobą szefa... Pozostaje jeszcze pytanie zasadnicze: co to za zakład? Jak bardzo był popularny, jak często odwiedzany? Jak możemy do tego dojść?

– Nie wiem. – Pokręciła głową zapytana. – W ustaleniach pomogłyby wydruki składek do ZUS-u, ubezpieczenia, pieczętka, papier firmowy... Ale nic takiego nie znalazłyśmy. Może je trzyma w robocie?

– Trzymał – powiedziała z naciskiem Elwira. Coś za dużo tych Luśkowych czynności pomyłkowych, psiakrew, cholera. Myślała, że na wczasach będzie leczyła przyjaciółkę z pracoholizmu i niedowartościowania, względnie ze smartfona. Któż mógłby przypuszczać, że Luśka popadnie w niezdrową fascynację nieboszczykiem?!

– Nigdzie nie było telefonu – odezwała się po chwili Luśka. – Był aż takim odludkiem, że nie miał?

– Miał, na pewno – stwierdziła Elwira. – Trafiłam na umowę z operatorem i plik rachunków.

– Więc gdzie on jest? Przecież komórkę zwykle trzyma się gdzieś na wierzchu. Nie przeoczyłybyśmy jej... – myślała Lucyna głośno.

– Może zostawił w pracy.

– Albo miał ją w kieszeni, kiedy... – urwała Lusia. I dobrze, że nic nie jadła. – Gdy... to się stało. Nie obszukiwałyśmy go przecież – rzekła i na samą myśl się wzdrygnęła.

– Albo ktoś ją zabrał – dodała dla czystego uzupełnienia hipotez Elwira. I zaraz tego pożałowała. Popłoch w oczach Luśki dowodził bowiem, że czarny żarcik był bardzo nie na miejscu. – Lu, żartuję – powiedziała więc szybko. – To absolutnie nie wyglądało na zabójstwo, przecież sama wiesz. Faceta nagle trafił szlag. Dostał zawału czy coś, u mężczyzn w tym wieku to nader prawdopodobne. Zresztą hipotetycznie: nawet gdyby – gdyby ktoś mu jednak w tym nagłym zejściu pomógł, to i tak nic nam nie grozi. Sama pomyśl: co by dało zabójcy morderstwo dwóch kobiet, które właśnie zręcznie wmanewrował w poprzednie zabójstwo?

Lu zastygła w bezruchu z wytrzeszczonymi oczami.

– Hipotetycznie! – powtórzyła więc z naciskiem Elwira. – Helou, Lucy, to nie są domniemania, tylko ćwiczenie umysłowe, rozumiesz? Szarada

dedukcyjna. Łamigłówka. Coś zamiast rozwiązywania bzdetnych sudoku na plaży!

– Nie wiem, czy nie wolałabym bzdetnych sudoku! – prychnęła ze złością Luśka. – Może pamiętasz: to miały być wakacje pełne relaksu! A nie ćwiczeń dedukcyjnych „Na tropie zabójcy”! Jeszcze z nami w roli... no, nie głównej, na szczęście. Ale w drugoplanowej!

Rany, i znów się rozkręcała. Trzeba to szybko ukrócić.

– Dobra, moja droga mistrzyni drugiego planu. To chyba się zbieramy?

Lucyna pokiwała głową.

Pociągnęły swoje walizki w kierunku drzwi wyjściowych.

Z ulgą zamknęły je za sobą.

Gdy zbliżyły się do furtki, Lucyna ujrzała pod płotem jakiś biały przedmiot.

– Po co właściwie postawiłaś tu krzesło? – spytała Elwirę.

– Jakie krzesło?

– Przestań mnie straszyć! – zirytowała się Lucyna. – Nie widzisz, że i tak mam już zszargane nerwy? Plastikowe, ogrodowe. Jedno z tego kompletu od stołu.

Niestety twarz Elwiry wyrażała tylko szczerą i zaskoczenie.

– Nie przestawiałam żadnego krzesła – zapewniła solennie.

Obu im zrobiło się nieswojo. Na szczęście Elwira już się opanowała i była gotowa do racjonalizowania.

– Daj spokój, Lu. Potwornie wiało, pamiętasz? A to tylko lekkie krzesło. Może wiatr je porwał od stołu aż pod płot.

– I nie przewrócił, tylko ustawił, jakby nigdy nic?

– Rachunek prawdopodobieństwa pewnie zna takie przypadki – powiedziała Elwira tak dobitnie, jakby chciała utwierdzić także siebie.

„Albo ktoś prowadzi z nami dziwną, straszną grę” – pomyślała Lucyna.

I włosy stanęły jej dęba.

# Rozdział 8

## Dzień 4.

– A teraz zapraszam cię do mojej sali tortur – powiedział Jaromir i zaśmiał się złowieszczo, niczym jakiś czarny charakter w baśni. Następnie ułożył Elwirę w specjalnej maszynie do zadawania cierpień. Maszyna zacisnęła się na niej niczym gigantyczne imadło i zaczęła swą nieznośną pracę: mozolne, powolne, ale wytrwałe zgniatanie, mięsień po mięśniu, kosteczka po kosteczce. Mechanizm pchał, napierał, ścisnął i dusił. Jeszcze parę chwil – i Elwira będzie całkiem sprasowana. Oraz martwa.

– Aaaaaawgh! – wydała z siebie zduszony skowyt i spróbowała się szarpnąć.

No proszę! Zawsze warto podejmować walkę. Prasa zadrzała, zatrzymała napór – a nawet jakby leciutko odpuściła. Elwira otworzyła jedno oko, by skontrolować miejsce najbardziej dotkliwe – i ujrzała... zad Luśki przyodziany w miętową flanelę w serduszka.

– Lucha, cholera jasna! – wrzasnęła, aż zad, a z nim cała Luśka zadrżeli.  
– Odsuńże się!!!

Po czym dała sobie upust, wymierzając w zadek solidnego klapsa. Zaraz potem poczuła mieszaninę uczuć znaną wszystkim rodzicom. Ten moment, kiedy myślą, że dziecku stało się coś strasznego – po spektakularnym upadku ze schodów, rąbnięciu głową w kant stołu lub chwilowym zaginięciu, gdy po jednej okropnej chwili wstrzymanego oddechu



i najczarniejszych myśli okazuje się, że dziecku nic nie jest, ma się ochotę jednocześnie zdrowo mu przylać i gorąco wyściskać.

– Ałłaaa! – pisnęła z wyrzutem Luśka. – Co robisz? Ja się nie mam gdzie posunąć, bo spadnę!

– Jednak musisz. Nie mogłaś spać w swoim łóżku? Przecież i tak mamy wspólny pokój. Przez twój napór mam koszmary. Śniło mi się, że Jaromir zgniata mnie w imadle.

Luśka ze zrozumieniem pokiwała głową.

– To jasne. Przepracowujesz w snach to, co wypierasz na jawie.

– Mianowicie?

– Że się boisz tak samo jak ja.

Z wachlarza możliwych reakcji Elwira wybrała unik: zamiast odpowiedzieć, ziewnęła szeroko i spróbowała się przeciągnąć. Niestety, warunki nie bardzo na to pozwalały. Skrzywiła się niezadowolona i uklękła na łóżku, zbierając włosy w kucyk.

– Blask zza zasłony sugeruje, że już świta – orzekła. – A dalsze spanie na tych czterdziestu centymetrach nie ma sensu. Pójdę pobiegać.

– Pobiegać? Nie możesz po prostu pójść na przechadzkę, zwykłym krokiem? Wtedy bym ci potowarzyszyła – marudziła Luśka.

Elwira pokręciła głową.

– Nie. Muszę się rozruszać. Przewietrzyć. Zresztą tobie też radzę. W zdrowym ciele zdrowy duch!

– Nie mówmy o duchach. – Lucyna się wzdrygnęła. – A możemy zacząć od małej kawy?

– Kawa będzie po powrocie, w nagrodę. Żebyś miała do czego biec. No! Zbieramy się, rach-ciach – zakomenderowała.

Gdyby ktoś tego dnia o szóstej piętnaście obserwował zejście numer trzynaście na wysokości Juraty, zobaczyłby, jak z pasa wydm wybiegają

dwie sylwetki. Zatrzymują się kilka metrów przed linią fal, wykonują serię skłonów, wymachów i wypadów, po czym świńskim truchtem kierują się w prawo, w stronę Helu.

Myliłby się jednak, spodziewając się ambitnego parokilometrowego dystansu. Sylwetki dobiegają bowiem jedynie do najbliższego zejścia, idą doń, już nawet nie udając truchtu, i wracają ścieżką za laskiem na Morską trzy.

Tyle zobaczyłby wnikliwy obserwator. Tylko że o szóstej piętnaście plaża przy zejściu numer trzynaście, nie licząc dwóch biegaczek, była puściusia.

– Ty wiesz? Nie spodziewałam się, że kiedyś to powiem, ale niegłupie to bieganie – stwierdziła Luśka, siedząc na przytulnej werandzie i mieszając kawę. – Czuję się taka dumna, że coś zrobiłam dla ciała, dla siebie, dla zdrowia... Niemal czuję jod, który wchłonęłam! Krew, która lepiej krąży! Kalorie, które spaliłam!

– Jak możesz czuć coś, co spaliłaś? – spytała sceptycznie Elwira.

– Po luzach w pasie. – Lucyna z dumą odchyliła gumkę szortów. – Były opięte, a teraz: o!

– Po prostu gumka ci puściła – orzekła wrednie Elwira. – Ale nie ustawaj, a po paru tygodniach faktycznie coś się może ruszyć. – Poklepała ją po plecach.

Lucyna pokazała jej język. Niech sobie gada, ona wie swoje. Przecież czuje swoje ciało.

– Co robimy z tak pięknie rozpoczętym dniem? – zapytała i zaraz poczuła niestosowność tej optymistycznej deklaracji. Pogoda wróciła do równowagi: było bezchmurnie, słonecznie i idyllicznie wakacyjnie, ale

przecież za górką, za lasem, leżał nieżywy Jaromir. Niepokój, przegnany odrobiną ruchu, powrócił.

Elwira w zamyśleniu mieszała w misce z musli.

– Przeszukajmy jeszcze raz szopę.

– A po co? – zdumiała się nieprzyjemnie Lucyna.

– Bo w niej mogą się kryć odpowiedzi na różne nasze pytania.

– Nasze...? – zdziwiła się Lucyna. – Nie wiem, czy ja mam więcej pytań.

Może dajmy mu już spokój? Wieczne odpoczywanie?

– Odpoczywanie mu już dałyśmy. Teraz musimy zadbać o siebie i swój spokój. Oraz bezpieczeństwo. Im więcej się dowiemy, tym spokojniej będziemy spać.

– W przysłowiu było dokładnie odwrotnie – zauważyła ponuro Luśka.

– Nie wierz przysłowiom. Wierz przyjaciółce – poradziła Elwira, a Lucyna ciężko westchnęła.

\*\*\*

– Zamknięte – oświadczyła z widoczną ulgą Lucyna. – Musiałaś wczoraj odruchowo zatrzaskać kłódkę. Może i dobrze. A włamywać to się na pewno nie będziemy, bo to już z pewnością jest przestępstwo.

– No, zatzasnęłam odruchowo – przyznała Elwira. – I równie odruchowo zabrałam to. – Machnęła przyjaciółce przed nosem kluczem zabranym wczoraj z Jaromirowej szuflady. – Więc to nie będzie włamanie.

Lucyna pokręciła głową z rezygnacją.

W szopie było ciemnawo jak poprzednio. Luska, ubrana w sztormiak, długie spodnie i zakryte buty (by do minimum ograniczyć kontakty z pajakami), operowała latarką. Elwira, w nonszalancko podkasanych dzinsach i japonkach, usiłowała wyciszyć umysł i wyostrzyć zmysły, tak jak to robią prawdziwi detektywi.

- Pachnie jedzeniem – szepnęła zniecierpliwiona Lucyna.
- Za mało zjadłaś i masz omamy węchowe.
- Nie, nie. Znam ten zapach. Pachnie jak w spiżarni mojej babci.
- Co babcia trzymała w spiżarni? – spytała podejrzliwie Elwira.
- Różne rzeczy. Weki. Przetwory. Pęta kiełbasy.
- Poświeć tu, na stół – poleciła Elwira.

Niestety, na stole nie było nic, czego by nie zauważyły za pierwszym razem. Deska, przewrócony kubek, zaschnięte fusy z kawy, jakaś ścierka.

- Teraz pod stół. Może gdzieś tu jest jego telefon?

Lucyna się zatrzęsała, ale posłusznie skierowała latarkę w dół. Jaromir leżał tam, gdzie wczoraj. Na podłodze dokoła było trochę wiórów, trochę śmieci. Podniosła więc snop światła wzwyż – a tam, i owszem, znajdowała się jedna odpowiedź.

– Ha! – Triumfalnie wskazała na belkę, na której wisiał rząd suchych kiełbas. – A nie mówiłam? To ten zapach! Suszył tu sobie kiełbaski!

– Brawo – pochwaliła Elwira. – To by wyjaśniało, dlaczego tak dobrze się trzyma.

- Co?

– Ciało. Jest tu sucho, przewiewnie. Zamiast gnić, zaczęło się zasuszać, jak ta kiełbasa. Mumifikować.

Śniadanie, choć zdrowe i skromne, podeszło Lucynie do gardła. Odwróciła się na pięcie i szybko ruszyła do wyjścia.

– Czekał, no! – zdenerwowała się Elwira. – Dawaj tę latarkę. Alć, cholera!

– Co tam? – spytała płochliwie Lucyna z bezpiecznej pozycji na zewnątrz.

- Uderzyłam się w palec. No wracaj i poświeć tu, do cholery!

Lucyna wzięła głęboki wdech i jeszcze raz przestąpiła próg szopy. Nigdy przedtem nie myślała, że w imię przyjaźni będzie musiała robić takie rzeczy.

– Jakaś reklamówka – stwierdziła Elwira. – Musiała skądś spaść, kiedy go... przewracaliśmy na plecy.

Brak latarki oznaczał, że Lucyna ponownie zrejterowała na zewnątrz. Elwirze nie pozostało nic innego, jak wziąć reklamówkę i także wyjść.

– Co my tu mamy? – Zajrzała ciekawie do środka.

I zamilkła. Toteż Lucyna również zapuściła żurawia do torby.

Ich oczom ukazały się śliczne buciki w rozmiarze jak dla Kopciuszka – trzydzieści sześć, może nawet trzydzieści pięć? Srebrzyste atlasowe baletki z misterną aplikacją z koralików i bordowe kozaczki z cienkiego zamszu.

– He, he. – Uśmiechnęła się wyrozumiale doktor Elwira, znawczyni ludzkich serc i słabostek. – Fetyszysta – sklasyfikowała. – Wąchał sobie damskie buciki.

– Faj! – zgorszyła się Lucyna.

– Dlaczego zaraz „faj”? Nie chciałabyś, żeby jakiś mężczyzna wielbił twoje stopy? – zagadnęła chytrze psycholożka.

– Stopy tak – rozmarzyła się trochę Lucyna. – Ale buty?!

– Jeśli miałby na twoim punkcie bzika, to mógłby wielbić wszystko, co się z tobą kojarzy, co ma twój smak, zapach, co nosiłaś, co lubisz – objaśniła Elwira.

– Myślisz, że Jaromir był tego typu uczuciowcem? – powątpiewała Lucyna. – W jego schludnym domu nic nie wskazuje na takie... ciche zboczenia.

– Czemu nie? Fetyszizm to dyskretne upodobanie. Sama widzisz, że trzymał te buciki nie w domu, tylko w szopie. Swoją drogą, ciekawe, komu je zwinął.

– I jak! – podchwyciła Lucyna. – Z jakiejś szatni?  
– Może kupił na Allegro. Używane, żeby wachać – podsunęła Elwira.  
– Albo ukradł na plaży jakiejś kobiecie, która poszła brodzić po falach. –  
Lucyna także podjęła grę w zgadywanie. – Chociaż nie, to nie są buty na  
piach.

– Toteż zdjęła.

– Kto?

– No ta brodząca.

– Ale dwie pary by miała naraz?

– Może ją okradł dwa razy.

– Biedulka! – pożałowała nieznajomej Lusia. – Nie nauczyła się na  
błędach, żeby nie zostawiać beztrosko na plaży niestrzeżonych butów...

– Raczej nie biedulka. Nie wyglądają mi one na buty biedulki. – Elwira  
odwróciła kozaczki zelówkami do góry, by sprawdzić markę – jednak tym,  
co przykuło ich wzrok, było nie logo firmy, a biegnący wzdłuż podbicia  
namazany długopisem napis: „J. Szablowska”.

Do olśnienia pozostał ostatni, mały krok. Wykonała go Lusia.

– Szewc!!! – zakrzyknęła z radością. – Nie fetyszysta, a szewc! –  
Podniecona wzięła buty z rąk Elwiry i zaczęła je oglądać ze wszystkich  
stron. – Obcasy zdarte, wzór z koralików nadpruty. Jaromir dostał je do  
naprawy, tylko z jakiegoś powodu trzymał je w domu, a nie w zakładzie.  
Może Szablowska to sąsiadka albo znajoma, w każdym razie tutejsza –  
i podrzuciła mu je tutaj, a nie do Władysławowa!

Była naprawdę zadowolona, że imię nieboszczyka zostało oczyszczone  
z zarzutów zboczenia.

– Trzyma się kupy – przyznała Elwira.

– Czyli już wiemy, czego szukamy! – ekscytowała się tymczasem Luśka.

– „Zakład” to zakład szewski. Bilet miesięczny wskazuje na

Władysławowo. Krótko mówiąc, zbieramy się! Jedziemy szukać tego zakładu!

– Nie poznaję koleżanki – mruknęła w zadziwieniu Elwira.

\*\*\*

We Władysławowie już na peronie dało się odczuć, że jest to kurort popularniejszy od Jastarni. Na deptaku zrobiło się jeszcze tłumniej. Ludzie łązili w tę i w tę, człapiąc klapkami i potrącając się nawzajem kijkami parawanów, wypchanymi torbami plażowymi, dmuchanymi materacami, flamingami i Bóg wie, czym jeszcze.

– Gdzie teraz, Sherlocku? – zagaiła Elwira spod runda swego imponującego kapelusza.

– Trzeba kogoś dopytać – odparła Lusja, której jeszcze w Jastarni Elwira nakazała nabyć podobny kapelusz i skryć się nieco w jego cieniu. – Kogoś, kto wygląda na tubylca. Czyli z jakiegoś sklepiku czy coś. Ot, na przykład tę panią. – Wskazała na budkę z goframi. Nie czekając na reakcję Elwiry, przepchnęła się przez tłum i podeszła do okienka z innej strony niż kolejka oczekujących.

– Przepraszam, nie wie pani, gdzie tu jest szewc? – spytała bez ogródek.

Kobieta starannie rozprowadziła na trzymanym gofrze dwie łyżki frużeliny, po czym podniosła wzrok na pytającą.

– Nie, ja z Bielska jestem. Tu tylko sezonowo.

Lucyna rozejrzała się w poszukiwaniu innego dobrze rokującego punktu informacji.

– Może któryś stragan z pamiątkami?

– Próbuj – zachęciła Elwira.

– Może pan wie, czy we Władysławowie jest zakład szewski? – spytała znów Lucyna, podchodząc do pierwszego lepszego straganu.

– Ja nie stąd, a z Ukrainy – wyznał sprzedawca śpiewnym akcentem. – Ale naprawiać butów się nie opłaca. Pani patrzy, jakie ja mam dobre ceny, lepiej kupić nowe – zachwalił, wskazując swój stół pełen gumowych sandałów w cenach od piętnastu do trzydziestu pięciu złotych.

– A... – Zacukała się na moment Lucyna. – Dziękuję, ale nie skorzystam. Mam takie wyjątkowe, które bardzo lubię... – I na poparcie swych nie do końca prawdziwych słów potrząsnęła reklamówką z butami J. Szablowskiej. Kapelusz trochę pomagał zgrywać damę.

– W domu wisielca nie mów o sznurach! – zarechotała z tyłu znajoma wredota.

– Co proszę? – Nie zrozumiała Lucyna. – Jakiego wisielca?

– No, szewc bez butów chodzi – wyjaśniła nieoceniona przyjaciółka. – Pytać o szewca sprzedawcę obuwia to jest dla mnie dzisiejsza scena dnia!

– Czepiasz się. – Lucyna wzruszyła ramionami. – Błądzić jest rzeczą ludzką.

– Po cholere w ogóle wzięłaś te buty Szablowskiej? – spytała Elwira.

Lucyna spojrzała refleksyjnie na reklamówkę.

– No... nie wiem – wyznała. – Jakiś taki odruch. Wybierałyśmy się do szewca, w domu były buty do naprawy, więc je wzięłam...

Elwira popatrzyła na nią z troską.

– Przypominam ci, że szewc leży martwy we własnej szopie.

– Ciii! – Lucyna rozejrzała się czujnie, czy nikt ich nie słyszy. – No to powiedzmy, że na dobrą wróżbę wzięłam, żeby nam się udało dotrzeć do celu.

Twarz Elwiry przybrała wyraz jeszcze większej troski. Właściwie już zaniepokojenia.

– Lucy – rzekła spokojnie, jak do wariata – z różnych względów chyba nie byłoby dobrze zostawiać tych butów w zakładzie. Im mniej elementów



zmienimy wokół tej... hm, sprawy, tym lepiej.

– Jasne, zabiorę je z powrotem – zgodziła się potulnie Lucyna. – A na razie znajdziemy zakład. – Rozejrzała się w poszukiwaniu wiarygodnego źródła informacji.

Apteka! W aptece chyba nie pracują ani Ukraińcy, ani pracownicy sezonowi?

– Do trzech razy sztuka! – zapowiedziała, odzyskując dziarskość i przestąpiła próg apteki „Pod Dębem”.

Po chwili wyszła bardzo z siebie dumna.

– W tamtą stronę, pierwsza w prawo, za sklepem „Krokodylek”. Potem mijamy obiady domowe „Ewelina” i kebab „Jak u Mamy” – i tam gdzieś powinien być „Zakład”.

– Czekał – poleciała nagle Elwira i sama weszła do apteki.

Po dwóch minutach wyszła z niej, dzierżąc w dłoniach spirytus kamforowy, jałowe waciki i dwie paczki lateksowych rękawic.

Lucyna spojrzała na nią pytająco.

– Tym razem dla odmiany nie zostawimy po sobie śladów – rzekła Elwira. – Wejdziemy tam w rękawiczkach. A spirytusem przetrzemy klucze. To chyba powinno wystarczyć, by zatrzeć nasze odciski palców?

– Dobra myśl – pochwaliła Lucyna. – A skąd wiesz, że akurat spirytus kamforowy się do tego nada?

– Nie wiem – przyznała Elwira. – Ale myślę. Kamfora jakoś kojarzy mi się ze znikaniem. Więc może pod jej wpływem znikną także ślady. A spirytus, wiadomo. Alkohol wszystko wyżre.

– Aha. – Pokiwała głową Lucyna. – To co? Idziemy? Czy czekamy, aż się ściemni albo coś?

– Idziemy – zdecydowała Elwira. – Nie sądzę, by ktokolwiek z przewalających się po ulicach albo stołujących się w kebabowni

wczasowiczów zwrócił na nas uwagę.

Wyjaśnienia aptekarki były bardzo klarowne. Zgodnie z zaleceniem minęły „Krokodylka”, „Ewelinę” i kebab – i już z daleka zobaczyły właściwy szyld. Zrobiło się jakoś tak... kulminacyjnie. Elwira wyjęła rękawiczki, Lucyna dyskretnie się rozejrzała. Nikt nie zwracał na nie uwagi. Nałożyły rękawiczki, następnie dokładnie wytarły pęk kluczy wacikiem nasączonym spirytusem i włożyły klucz w zamek. Gdyby to był film, w tym momencie na pewno grałaby szybka nerwowa muzyka, sugerująca napięcie i ekscytację. Ale i bez muzyki czuły napięcie i ekscytację.

– Wiesz? – odezwała się Lucyna. – Gdyby nie powód, dla którego robimy to wszystko, to byłabym skłonna powiedzieć, że nawet mi się podoba takie śledztwo. Czuję się jak bohaterka książki detektywistycznej. Albo jakbym grała w podchody. Albo w grę miejską.

– Coś w tym jest – przyznała Elwira po chwili namysłu. – Z pewnością to ciekawsze niż leżenie na plaży.

Dobrze naoliwiony zamek ustąpił i zakład stanął otworem.

Od wejścia uderzyły je zapach kleju i wszechogarniająca duchota. Na regałach zalegały buty – damskie, dziecięce i męskie; mniej i bardziej zniszczone; letnie, wiosenne i zimowe. Za ladą stała maszyna do przeszywania grubych szwów, za nią mały stolik z czajnikiem elektrycznym, napoczętą torebką herbaty, drugą z kawą, słoikiem z cukrem. Trochę cukru wysypało się na fornirowy blat stolika.

– Nie planował przejścia na tamten świat... – westchnęła Lucyna.

– Oj nie – odrzekła w zadumie Elwira i pociągnęła za uchwyt pierwszej z brzegu szuflady. Było tam pudełko z igłami oraz zapas fleków różnych rozmiarów i kształtów. Nigdzie ani śladu komórki, a tym bardziej żadnych

liścików z pogrózkami, zdechłej ryby czy czegokolwiek innego, co by mogło wskazywać na istnienie wrogów Jaromira.

– Co robimy? – Nagle zabrakło jej inwencji.

Lucyna w zamyśleniu stała nad otwartą drugą szufladą biurka-lady. W końcu wyjęła z niej jakiś zeszyt, poszukała w nim środka i wyrwała zeń podwójną kartkę w kratkę. Następnie sięgnęła do tej samej szuflady po długopis, rozłożyła kartkę i napisała na niej drukowanymi literami:

NIECZYNNE DO ODWOŁANIA.

– Nie, do odwołania to może nie, bo się klienci zaczną niepokoić i jeszcze komuś przyjdzie do głowy odwiedzić Jaromira w domu – uznała Elwira.

– No to co? – Luscia z długopisem w dłoni zastygła nad kartką.

– Może: „z powodu choroby”? Choroba to solidna wymówka, a do tego budzi respekt. I niechęć, bo można się zarazić. Albo trzeba będzie pomagać. Jedno i drugie niekorzystne.

Lucyna pokiwała głową. Trudno odmówić Elwirze doświadczenia życiowego.

Wzięła kolejną kartkę i tym razem napisała:

NIECZYNNE Z POWODU CHOROBY DO 31 LIPCA.

Po czym przykleiła ją klejem szewskim do okna.

# Rozdział 9

## Dzień 5.

Najbardziej oczywisty pomysł na spędzenie wakacyjnego dnia nad morzem, czyli pójście na plażę, nie przekonał ani Elwiry, ani Lucyny.

Elwira uznała, że w ich obecnej – napiętej emocjonalnie – sytuacji potrzebują intensywniejszego odreagowania. Czegoś, co zajmie je nie tylko fizycznie, lecz także psychicznie. Potrzeba im po prostu odskoczni.

Lucyna z aprobatą przyjęła te założenia. Szybko się jednak okazało, że odskakiwać można na różne sposoby.

– Proponuję Hel – powiedziała Lucyna. – Foczki są takie urocze. Oczka mają jak węgiełki! Wszystkie poradniki mówią, że kontakt ze zwierzętami jest korzystny w sytuacji stresu...

Elwira powoli pokiwała głową. Trudno się było nie zgodzić z tą teorią, nawet jeśli pobyt w fokarium uznawało się za atrakcję dobrą dla uczniów podstawówki.

– ...no i może ta wizyta w jakiś sposób przybliży nas do Jaromira – dokończyła Lucyna.

– Jak przybliży? – zdziwiła się Elwira, odrobinę zbyt gwałtownie. – Co te otłuszczone zwierzaki mogą ci powiedzieć o denacie? I gdybyś mnie zapytała, to ja się nie chcę przybliżać do nieboszczyka. Zdecydowanie wolę utrzymać dystans.

– Tak – ciągnęła niezrażona Lucyna – to może być dobry pomysł. Wycieczki śladem naszych znalezisk. We Władysławowie już byliśmy.

Przy okazji trochę pozwiedzamy. Przyjemne z pożytecznym.

– A doprecyzujesz, która część jest przyjemna, a która pożyteczna? – Elwira uśmiechnęła się złośliwie. – Wydawało mi się, że zamykamy sprawę, a nie grzebiemy w niej jak we flakach.

Porównanie ubodło Lucynę.

– Nie bądź taka dosadna. Skoro obie nie mamy dziś ochoty na plażowanie, to wycieczka jest dobrym zamiennikiem. A im dalej od tego miejsca, tym lepiej, sama powiedziałaś. Nierozsądnie byłoby się kręcić po okolicy, prawda?

– Prawda – powoli przytaknęła Elwira. Luscia niby trochę gapia, a bardzo sprawnie zapędziła ją w kozi róg. – No to się zbieraj – westchnęła. – Nie wiadomo, o której mamy pociąg.

Okazało się, że szybko. Kiedy przeszły przez sosnowy las i wędrowały wzdłuż torów, zauważyły na horyzoncie biało-czerwoną sylwetkę pociągu. Do peronu miały jeszcze jakieś dwieście metrów. Pokonały ten dystans biegiem.

– Nie żyję – wycharczała Lucyna, gdy już opadła na fotel.

– Uuu, kondycja marniutka – podsumowała Elwira. – Detektyw musi mieć nie tylko bystrą głowę, lecz także gibkie ciało.

– Zaczynam od głowy – odcięła się Luscia.

Elwira prychnęła.

– Nie bocz się, Lu. Mamy wakacje, popracujemy nad formą. Lepiej powiedz, co wyczytałaś w domu o fokarium.

Lucyna od razu się rozpogodziła.

– Wszystko zaczęło się od Balbina.

– Kogo, przepraszam?

– Balbina. Rannej fokki. Trafila pod opiekę ośrodka, to znaczy Stacji Morskiej Instytutu Oceanografii Uniwersytetu Gdańskiego. Tak zrodził się pomysł, by pomagać fokom. Leczyć, ochraniać i odtwarzać populację. Zanieczyszczenie środowiska, sieci rybackie, nierozważne zachowanie ludzi – to wszystko zabija fokki, które są ważną częścią ekosystemu – wyrecytowała Lucyna.

– No proszę – zdziwiła się Elwira. – A co takiego pożytecznego robią fokki?

– Odgrywają rolę pozytywnego drapieżnika – wyjaśniła usłużnie Lucyna.

– Znaczą się eliminują, kogo trzeba?

– Przede wszystkim ryby.

– Natura jest mądrzejsza od ludzi – westchnęła Elwira.

– Może tak być – zgodziła się Lucyna. – To co jeszcze chcesz wiedzieć o fokkach? Może opowiem ci historię o Depce i Cętce? Depka była malutką foczką wykarmioną przez ludzi. Wiesz, jak trudno jest odchować takiego foczego szczeniaczka? Mleko musi dostawać bez laktozy, bo nie umie jej trawić, potem trzeba mu robić zupę rybną. Właśnie, też bym dziś zjadła zupę rybną, tak przy okazji mi się przypomniało. No, tylko że ta zupa Depki była z glukozą i elektrolitami i foczkę trzeba było karmić sondą, do żołądka. Ale się udało. Podrosła i chlup, do morza. Śledzono jej losy. Była na wybrzeżu Danii, Szwecji i Niemiec. Na polskich plażach już się nie pojawiła. Piszą, że prawdopodobnie odpłynęła w poszukiwaniu partnera. – Końcówka wdzięcznej historii wprawiła Lucynę w malutki smutek, który Elwira natychmiast wyłapała.

– Uroczo! A ta druga fokka? Co o niej wiemy? – zapytała z najgorętszym entuzjazmem, na jaki było ją stać.

– Cętka. Foka pospolita. Co jest bardzo mylące, bo właśnie ten gatunek jest najrzadszy na naszym wybrzeżu. Wygląda śmiesznie – jest cała w cętki,

jak lampart. Albo ocelot. I dlatego dostała takie imię. Nie boi się ludzi, wychodzi na plażę.

– A oprócz tej Cętki są jakieś inne foki pospolite na naszym wybrzeżu?

– Tak. Odnotowano u nas kilku przedstawicieli tego gatunku.

– Widzisz. Wreszcie jakaś pozytywna informacja. A gdzie te foki? Też w fokarium?

– Nie, żyją dziko. Ostatnią widziano na Martwej Wiśle.

Przyjaciółki popatrzyły po sobie. Dobry nastrój, choćby i sztucznie wypracowany, pękł jak bańka mydlana. „Od przeznaczenia trudno uciec nawet racjonalnym ludziom” – pomyślała Elwira.

Pociąg zatrzymał się na stacji końcowej. Dojechały na Hel.

Fokarium mimo wszystko wprawiło je w lepszy nastrój. Nawet sceptycznie nastawiona Elwira, która w dzieciństwie nie zaliczyła ani rybek, ani chomika, o kocie czy psie nie wspominając, była pod wrażeniem błyszczących foczych oczu, gibkości ich ciał oraz samego fokarium prowadzonego troskliwą ręką fachowców. Przyjaciółki obejrzały karmienie fok i wystawę poświęconą historii tych ssaków na polskim wybrzeżu. Przeczytały wyciskające łyzy informacje na temat brutalnych polowań, jakie urządzano jeszcze w dwudziestym wieku.

– Ludzie to jednak zwierzęta. – Lucyna siąknęła nosem, oglądając zabite i oprawione foki.

– Zwierzęta są w porządku – poprawiła ją Elwira.

Do końca zwiedzania już się do siebie nie odzywały, w ciszy przeżywając informacje wyczytane na tablicach. Potem poszły do sklepu z pamiątkami. Lucyna kupiła sobie breloczek z małą pluszową foczką, a Elwira dwie konserwy rybne: „Przysmak morświna”, czyli szproty, i „Przysmak foki”, czyli śledzie.

– To będzie twoja pamiątka z wakacji? – zapytała podejrzliwie Lusia.

– Nie, no skąd. Zjemy sobie na kolację. Po co bym miała tachać puszki do domu?

– No to może coś innego sobie wybierz?

– E, tam. Nie jestem sentymentalna, przecież wiesz. Wyjazdy to przede wszystkim wspomnienia. I akurat te wakacje to ja zapamiętam na bank. Bez żadnych pamiątek. Bez zdjęć nawet, chociaż te to fajnie by było mieć. O, widzisz. Dziś nie wzięłam swojego aparatu. Przypomnij mi jutro, to sobie popstrykamy, bo na razie mamy tylko kilka.

– Na pewno? – Lucyna była sceptyczna. – Może lepiej niczego nie upamiętniać? To trochę jak produkowanie dowodów przeciw sobie.

– Wręcz przeciwnie! Zachowujemy się normalnie, jakby nic się nie stało. Bawimy się, opalamy, jemy, fotografujemy.

Lucyna popatrzyła powątpiewająco.

– W miarę możliwości. Przecież nie jesteśmy psychopatkami.

– W zeszłym roku to już pierwszego dnia miałyśmy wpis na Facebooku, pamiętasz? – zapytała Lucyna.

– No. Zrobiłam wpis, zanim chlor zmasakrował mi oczy – przytaknęła Elwira. – Muszę ci powiedzieć, że wakacje w kraju w ogóle są okej. Niepotrzebnie się tak ich obawiałyśmy. To znaczy – poprawiła się szybko – są pewne trudności, ale my się przecież skupiamy na pozytywach, nie? A zatem teraz zupa rybna. Na głównym deptaku widziałam przyjemnie wyglądającą knajpę w takiej starej szachulcowej chałupce. Chodźmy coś zjeść.

Jedzenie było wyśmienite. Zupa rybna gorąca, zawieszista, bardzo aromatyczna. Do niej solidne pajdy żytniego chleba z chrupiącą skórką. Na drugie danie wątróbka z cebulą, idealnie podsmażona, bez najmniejszej nuty goryczy. I gwiazda wieczoru, czyli gigantyczna szarlotka z bitą



śmietaną i lodami waniliowymi. „Cejloński cynamon” – zachwalał kelner. Gdziekolwiek by ten cynamonowiec uprawiali, rzeczywiście, deser był doskonały.

\*\*\*

Przyjaciółki wracały do domu w całkiem dobrych, wzięwszy pod uwagę sytuację, nastrojach. Napięcie ostatnich godzin trochę odpuściło. W gwarnej restauracji, wśród turystów, na chwilę zapomniały o wydarzeniach wczorajszego dnia. Do domu szły niespiesznym krokiem, w wąchując się w żywiczno-jodowy aromat wieczornego lasu. Księżyc oświetlał okolicę srebrnym blaskiem, w oddaleniu słychać było kojący szum morza.

– Miałaś niezły pomysł z tym Helem, przyznaję. – Uśmiechnęła się Elwira.

– No – przytaknęła Lucyna. – Słuchaj, chodź, pójdziemy koło naszego domu. To znaczy tego pierwszego.

– Jezu, po co? Co cię tam ciągnie?

– Mnie? Nic, tylko chciałam się upewnić, czy wszystko dobrze. To znaczy bez zmian.

Elwira zatrzymała się. Przez chwilę milczała. Z jednej strony wolałaby zapomnieć o wszystkim, z drugiej jednak wiedziała, że natręctwo Lusi do sprawdzania wszystkiego musi być uwzględnione, bo w innym przypadku zmieni się w obsesję.

– Dobra. Ostatni raz – westchnęła.

Ruszyły w kierunku wydmy. Po niedługim spacerze ujrzały domek przy Morskiej jeden.

– Chyba nic się nie zmieniło – powiedziała Elwira, przypatrując się szopie.

Lucyna nie odpowiedziała. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w miejsce przy płocie, gdzie wczoraj wieczorem żegnały plastikowe białe krzesło. Teraz zostały po nim tylko kępki wygniecionej trawy.

Elwira uchwyciła przerażony wzrok Lucyny.

– Lucyno. – Ton Elwiry był rzeczowy i srogi. – Jeśli jeszcze raz usłyszę dyrdymały o wędrującym krześle, to nie ręczę za siebie. Ile razy mam ci powtarzać, że pod płot najpewniej dmuchnął je wiatr, a spod płotu do stołu przestawiłam ja sama, tymi oto rękami, nim pojechaliśmy na Hel?! Byłaś tak zaaferowana wycieczką, że musiałaś nie zwrócić na to uwagi. Czy naprawdę uważasz, że zmarły, gdyby nagle przyszło mu do głowy jakoś się z nami komunikować, to za środek przekazu wybrałby plastikowe krzesło?!

– A nie wkręcasz mnie? Żebym tylko się uspokoiła? – spytała podejrzliwie Lucyna.

– Ty sama się wkręcasz. W tę spiralę absurdu – stwierdziła bezlitośnie Elwira.

– No dobrze, dobrze. – Lucyna się uspokajała. Ostatecznie przecież i ona od zjawisk nadprzyrodzonych zdecydowanie wolała racjonalne wytłumaczenie.

# Rozdział 10

## Dzień 6.

– Wiesz, to wszystko jest takie nierzeczywiste. – Elwira z gracją odstawiała filiżankę po kawie na drewniany stół, przy którym właśnie kończyły śniadanie.

– No – zgodziła się Lucyna, przełykając ostatni kęs trochę zeschniętej już kajzerki. – Też mam nadzieję, że się obudzę i wtedy się okaże, że to po prostu był sen.

– A, nie, nie o to mi chodziło. – Machnęła ręką Elwira. – Ja miałam na myśli pogodę: szósty dzień urlopu i wciąż słońce. Absolutnie niebywałe, przecież jesteśmy nad Bałtykiem.

Lucyna spojrzała na nią z nieskrywaną dezaprobatą.

– Jednego dnia padało. Wtedy, gdy chcieliśmy pójść na policję. Pamiętasz jeszcze, w jakim celu?

– No pewnie, że pamiętam – westchnęła Elwira. – Wczoraj zamknęliśmy tę sprawę. Nieboszczyk, świeć panie nad jego duszą – to ostatnie powiedziała powoli i dobitnie, z intonacją, jaką pamiętała z kościoła, kiedy jeszcze do niego chodziła, czyli jakieś ćwierć wieku temu – jest już w lepszym ze światów, zakład zabezpieczony. Teraz pora na urlop. Chyba sobie to wczoraj definitywnie ustaliłyśmy, co?

Lucyna przytaknęła po chwili wahania. Elwira po raz kolejny utwierdziła się w przekonaniu, że aby trafić do rozmówcy, należy znaleźć z nim wspólny język – najlepiej ten, którego on sam używa. Spokój, pokora,

zahaczenie o prawdy wieczne i stały porządek świata – to wszystko łagodnie właczało Lucynę w utarte koleiny i działało na nią kojąco.

– No, cóż... Mamy już lato, to najwyższa pora na słońce i upały. Zmiany astronomiczne zachodzą także w Polsce.

– Od kiedy? – wyraziła powątpiewanie Elwira. – W tym kraju to nic nie działa tak, jak należy. Zawsze wszystko na opak. A pogoda to już zwłaszcza. Dzisiejsze słońce wcale nie wyklucza jutrzejszej burzy. Trzeba korzystać.

– Czyli dziś idziemy na plażę? – Lucyna już całkiem weszła w tryb wakacyjny.

– Zdecydowanie. Ogarniamy talerze, sprawdzamy rozmieszczenie i liczebność krzeseł – tu delikatnie szturchnęła Lusię pod żebro i puściła do niej oko – a potem maszerujemy na plażę i cieszymy się południowymi warunkami na północnym wybrzeżu. Tak?

– Tak – zgodziła się Lucyna. – Tylko...

– No? – Elwira postanowiła, że będzie wyrozumiała i spokojna. Z pacjentami jej się to udaje, to i z przyjaciółką powinno się powieść.

– Jedzenie trzeba kupić – wyznała trochę zawstydzona Lucyna.

Jej przyjaciółka nigdy nie zaprzętała sobie głowy takimi przyziemnymi sprawami – jadła, co było, byle zdrowe, a jeśli akurat lodówka oferowała sam lód, to Elwira sięgała po pieczywo ryżowe, woreczek kaszy gryczanej, jabłko. Ewentualnie nic. Lucynie na samą myśl o głodówce robiło się słabo; zafundowanie sobie niejedzenia na pewno doprowadziłoby ją do stanu wyczerpania fizycznego i psychicznego. Regularne dostarczanie kalorii organizmowi – sprawa oczywista i fizjologicznie uzasadniona – w towarzystwie przyjaciółki wpędzała ją w zakłopotanie. Zdecydowanie się w tym różniły. Właściwie to prawie we wszystkim się różniły: od wyglądu, przez dzieciństwo, rodzinę, nawyki, wychowanie, po studia,

hobby, zainteresowania. Właściwie trudno było znaleźć coś, co je łączy. W przypadku Lucyny i Elwiry najsilniejszym spoiwem przyjaźni wydawały się przeciwności: odwrotnie naładowane cechy, silnie się przyciągające.

– No jasne. Trzeba jeść – zgodziła się gładko Elwira. – Tylko szkoda teraz czasu na zakupy. Spożywczak jest czynny do dwudziestej pierwszej, zdążymy się obkupić po powrocie z plaży. To nawet lepiej, upał zelżeje, chwilę sobie posjestujemy na naszej werandzie i wieczorem pójdziemy do sklepu.

– Ale co my będziemy jeść na obiad? Bo przecież będziemy dziś jeść obiad? – Lucyna spojrzała na Elwirę z miną dziecka, które nie jest pewne, czy pozytywnie przeszło weryfikację u Świętego Mikołaja.

Elwira wyczuła to napięcie.

– Pewnie. I wiesz co? Żadnego dziadowania, pichcenia w chałupie. Pójdziemy do jakiegoś miłego baru na *fish & chips*. Zaczniemy w końcu ten urlop. Wciągnijmy kotwicę, wypłynijmy na szerokie wody i żeglujmy.

Marynistyczne porównanie wprowadziło Lucynę w dobry nastrój. Wkładając kostium, skonstatowała, że jej skóra nabrała zdrowego koloru. Do brązowej opalenizny było jej wprawdzie daleko, ale na pewno nie była to już żenująca biel mieszczucha urzędasza.

Do tego ciemniejsza karnacja optycznie wyszczupla. Zwłaszcza karnacja w tak świetnie dobranym kostiumie, na jaki Lucyna wykosztowała się na ten wyjazd: duże, sztywne miseczki doskonale podtrzymywały biust. Drapowania na brzuchu udawały, że brzucha prawie nie ma. Wycięcia na dole wydłużały optycznie uda. Do tego odważny, modny wzór w rajskie ptaki i dzikie orchidee oraz oczopląs barw. W kwestii mody plażowej Lucyna jeszcze nigdy nie była tak śmiała.

Podczas gdy odważna plażowiczka rozważała przed dużym lustrem w przedpokoju, na który sposób zawiązać pareo, Elwira, ubrana w top, postrzępione szorty i japonki, szykowała manatki. Okulary, kapelusz, ręcznik, woda, gazeta, olejek...

A jaki zestaw plażowy oferują dla odmiany w tym domu...?

Rozejrzała się. Po doświadczeniach ostatnich dni, kiedy to wszystko zaczęło się od szukania parawanu przez Luchę, tym razem wołała przepatrzeć schowki sama.

Schowek był jeden, za to znakomicie zaopatrzone. Złożono w nim i maty na piasek, i koce, i nieszczęsny parawan, który dziś nie był wcale potrzebny.

„Parawan-karawan” – pomyślała Elwira, na własny użytek tryskając czarnym humorem.

Wzięła maty i zasunęła drzwiczki schowka.

– Gotowa? – krzyknęła do Lucyny.

– A tak! – odparła wesoło zapytana.

– Pięknie. To idziemy.

Drogi nad morze można było dość łatwo się domyślić. Kierunek był ten sam co z Morskiej jeden, a dość intensywnie wydeptana ścieżka za domem sugerowała niezbitcie, że wiedzie do jakiegoś popularnego celu.

Poszły nią bez wahania.

– Ciekawe zjawisko taka mierzeja – odezwała się Elwira w okolicach wydm. – Ile w ogóle ma szerokości? Co tam podaje twój przewodnik?

– Najwęższa jest u nasady, w okolicy Władysławowa, i ma tam tylko sto metrów. Na końcu, w okolicy Helu, to około trzech kilometrów. Przez co z lotu ptaka wygląda jak krowi ogon – wyrecytowała Lucyna.

– Krowi ogon! – prychnęła Elwira. – Miał ktoś specyficzną fantazję.

Lusia przez chwilę nad czymś rozmyślała.

– Ej, a pamiętasz, w jakiej to było książce? Grupa kulturalnych ludzi na wyspie, niby każdy budzący zaufanie, a jednak dzień po dniu ktoś ginie... Pozostali zaś dedukują, kto z nich jest zabójcą.

Elwira pogroziła palcem.

– Lu, nie wciągniesz mnie w takie paralele. Nasza sytuacja jest zgoła inna. Nasz nieboszczyk jest jeden. Nie zabity, tylko nagle zmarły. No i jesteśmy na półwyspie, nie na wyspie. A co najważniejsze – popatrzyła srogo na Lucynę – ta sprawa to już przeszłość. Niedawna, ale jednak przeszłość. Skup się na „teraz”. Na przykład na tym, że lada chwila będziesz się kąpać w morzu.

– O nie, znów?! – przelęknęła się Lucyna. – Nie ma mowy! Już raz się kąpałam i nic dobrego z tego nie wyszło. Prawie przypląciłam to przeziębieniem! – zbuntowała się.

– Każdy kolejny raz bardziej cię zahartuje – kusiała Elwira. – Zresztą po tylu ciepłych dniach woda na pewno się nagrzała.

– Bzdura. – Nie łyknęła ściemy Lusia. – Nasze morze to wielki, głęboki akwen, do tego, na swe nieszczęście, niefortunnie położony na północy. Nic się nie nagrzało, idę o zakład, że temperatura wody nie zmieniła się nawet o ćwierć stopnia. A ja nie jestem żadnym seryjnym mor... – zająknęła się. – ...Morsem. Tylko jednorazowym. I nie mam najmniejszej ochoty na to, by znów to zrobić – zakończyła bohatersko.

Lekuchno zwarzone humory uprzytomniły im, jak bardzo należy uważać na słowa. Oraz jak bardzo płochy był ich rzekomy spokój. Koniec końców, po dotarciu na plażę zamiast się kąpać, posmarowały się wzajemnie olejkiem, nałożyły na twarze kapelusze i polubownie położyły się na matach. Trochę milczały, trochę rozmawiały na możliwie najbliższe tematy, starannie omijając wszelkie rafa, które mogły się kojarzyć z tym.

Zaiste, na skołatane dusze nie ma nic lepszego niż szum fal. Lucyna i Elwira najpierw leżały na wznak, potem na brzuchach, następnie jedna po drugiej przejrzały gazetę, czytając sobie nawzajem co ciekawsze rzeczy, po godzinie poprawiły poziom nasmarowania skóry, parę razy napiły się wody – aż niepokój rozmył się gdzieś w szumie fal, bezkresnym horyzoncie, w błękitach nieba. Wakacje znów były takie, jak powinny być.

Okolo drugiej żołądek Lucyny zaczął jej wysyłać burkliwe sygnały, że pora na obiad.

– Kto jak kto, ale taka świadoma osoba jak ty wie, jak ważne są regularne posiłki, prawda? – rzuciła przymilnie do Elwiry.

– Regularne, częste i małe – uściśliła Elwira. – Niestety, dziś nie spełnimy tych warunków... – Pokręciła głową.

– Nie? – Głos Lusi był pełen zawodu.

– Nie. Bo porcje ryby z frytkami są zwykle ogromne! – Elwira wymierzyła w tłusciutkie biodro przyjaciółki przyjacielskiego kuksańca. – Zbieraj manatki, ja strzepnę ręczniki i idziemy. Tak?

– Tak. – Uśmiechnęła się Luśka.

Po drodze do baru wstąpiły na moment na Morską trzy zostawić torbę i maty. Lucyna miała trochę obiekcji na temat stroju (na obiad – w kostiumie i pareo?!), Elwira jednak upomniała ją, by nie zawracała sobie głowy głupotami.

– Nie idziemy na kolację w Bristolu, tylko do baru opodal plaży w miejscowości turystycznej – przekonywała. – Poza tym powiedz: ile jeszcze będziesz mieć okazji w tym roku, aby poszpanować tym papuzim kostiumem?

I ten argument ostatecznie zwyciężył.



Nie jest to reguła niepodważalna – lecz w znakomitej większości się sprawdza: najbardziej oblegany lokal najczęściej serwuje najlepsze dania. Zgodnie z tą regułą smażalnia ryb, do której poszły, wyglądała bardzo przekonująco: przy każdym z około dwudziestu dużych stolików ktoś siedział. Lucyna z Elwirą dłuższą chwilę stały niezdecydowane przy wejściu, usiłując przewidzieć, czy któryś stół niebawem się zwolni. Niestety, wszyscy goście zdawali się zatopieni w samym środku radosnej konsumpcji.

– Nie ma rady, trzeba się do kogoś dosiąść – zawyrokowała Elwira. – Szkoda życia na takie sterczenie i czekanie. O, na przykład tam, facet z babką jedzą tylko we dwoje, a stół mają długi, sześćoosobowy. To my się nieinwazyjnie przysiadzimy z drugiej strony i gra gitara! – Nie czekając na akceptację planu przez Lucynę, zaczęła się przepychać do upatrzonego stolika.

– Dzień dobry, smacznego! – Wyszczrzyła się serdecznie do jedzącej pary, zgrzytnęła odsuwającym krzesłem – i już po chwili siedziała na nim w wyluzowanej pozie, z zainteresowaniem studiując kartę dań.

Lucyna pogratulowała jej w duchu tego luzu. Ona sama najpierw wiałaby się w ugrzeczionych formułkach: „Czy nie przeszkadzałoby państwu, gdybym się tu przysiadła?”, potem w podziękowaniach (zakładając, że by się zgodzili. No ale na tak ugrzecznione pytanie chyba nie bardzo by im wypadało odmówić? Zresztą kto wie? Dziś wszyscy tacy asertywni...), a na koniec siedziałyby speszona, zachodząc w głowę, czy już ją zlustrowali od stóp do głów i zakwalifikowali jako grubawą i natrętą. A Elwira, proszę: nie pyta, tylko oznajmia. W ten sposób nie ryzykuje odmowy, a już ewentualne lustrowanie i „co sobie pomyśla” ma w ogóle głęboko gdzieś.

Luśka postanowiła zapamiętać takie rozegranie sprawy i przy najbliższej okazji wypróbować je w praktyce. Zarazem po raz nie wiadomo który

trochę pozazdrościła Elwirze bycia Elwirą.

Tymczasem ona, Lusia, posłała parze na wpuł przepaszający uśmiech, zajęła miejsce naprzeciwko przyjaciółki i także zajrzała w utłuszczone od częstego przegłądania menu.

W lokalu panowała przyjemna atmosfera. Z głośników leciało wesołe jamajskie reggae, chłopak przyjmujący zamówienia płaśał między stolikami tanecznym krokiem, a nade wszystko nozdrza łechtały arcyprzyjemne wonie skwierczących specjałów, przygotowywanych – w tej materii nos Lucyny nigdy jej nie zawiódł – z całą pewnością ze smacznej świeżej ryby.

Osiemnaście minut później tańczący kelner postawił przed nimi dwa wielkie talerze, po brzegi wypełnione dorszem, frytkami i surówką Coleslaw.

– Życie jest piękne – powiedziała z przekonaniem Lucyna.

– O tak – zgodziła się Elwira.

Chwilę jadły w milczeniu, rozkoszując się każdym kęsem. Lucyna oddawała się konsumpcji całą sobą. Jej uwagę bez reszty pochłaniała zawartość talerza: wachała, nakładała, żuła, w żadnym razie nie popijając w trakcie jedzenia, by nie zaburzyć pracy cennych soków trawiennych. Takie obyczaje wpoila jej babcia. Elwira odmiennie: najbardziej lubiła jeść niejako przy okazji: czytając, oglądając coś, regulując brwi. Teraz, z braku lektury, telewizji i pęsety, Elwira prowadziła dla rozrywki pobieżne badania socjologiczne. Patrząc na poszczególnych klientów lokalu, usiłowała sobie wyobrazić, kim są w życiu, a co najciekawsze – z jakimi problemami psychologicznymi mogą się borykać.

Naraz podskoczyła na krześle jakby dźgnięta szpilką.

– Ły-yy-yy! – zakwiczła idiotycznie.

Twarze wszystkich przy stoliku skierowały się pytająco w jej stronę.

Elwira przez chwilę próbowała zapanować nad własnymi odruchami.

– Ość mi weszła w przełyk – wyjaśniła w końcu.

– Och! – przejęła się pani. – Może wody?

– Trzeba przepchnąć chlebem – poradził pan tonem znawcy życia. – A najlepiej bułką. Zaraz pani przyniosę – zaofiarował się usłużnie, aż po twarzy pani przebiegł ledwo dostrzegalny grymas.

– Nie trzeba. Może być woda – zacharczała Elwira.

– Bułka najlepsza – powtórzył jednak pan i pospieszył do kontuaru.

Pani, z lekko odętą miną, przelewała wodę z własnej szklanki do pustej szklanki Elwiry. Goście przy sąsiednich stolikach rzucali zaciekawione spojrzenia.

– No pij. Boli cię? Głęboko siedzi? Może da się wyjąć? – zasypywała ją pytaniami Lucyna.

Elwira robiła coraz to dziwniejsze grymasy, przerzucając spojrzenia z siedzącej naprzeciw niej Lucyny w jakiś punkt za przyjaciółką i z powrotem.

– O, proszę. Sucha bułka – oznajmił pan, teraz dla odmiany tonem zdobywcy. – Trzeba wziąć duży kęs, na sucho, i przepchnąć – upierał się dość upierdliwie. – No, bardzo proszę. – Urwał zachęcająco solidny kawał pszennego mięszu i usiłował włożyć go Elwirze do ust.

Ból spowodowany ością najwyraźniej stępił jej wojowniczość, bo Elwira potulnie otworzyła usta i dała się bez reszty zakłajstrować wielką bułą. Lucyna wciąż miała wrażenie, jakby przyjaciółka coś usiłowała jej przekazać. Tylko co...? Co się przekazuje, wybałuszając dziko oczy i gapiąc się to na nią, to gdzieś za nią?

A może wybałusza, bo nie może przełknąć tej buły?

– Ggły! – wybełkotała gniewnie Elwira.

– Bez popijania, bez popijania – przypominał pan. – I najlepiej nie gadać, żeby się nie wbiła mocniej.

Pani cmoknęła zniecierpliwiona. Także Elwira wyglądała na coraz bardziej zirytowaną.

Lucyna gorączkowo próbowała odczytać jej grymasy. W końcu odwróciła głowę we wskazywanym, jak jej się wydawało, kierunku.

I zamarła.

Przy stoliku w głębi sali siedział nieruchomo ich nieboszczyk. Tym razem dla niepoznaki był ubrany w jasną koszulkę polo, a na oczy miał głęboko nasuniętą czapkę z daszkiem. Co więcej, z uwagą obserwował hecę z Elwirą – a nawet wydawał się jakby skrępowany tą sytuacją.

W jednej chwili Lucyna straciła cały apetyt.

Więc to wcale nie przeszłość.

– O co mu, do cholery, chodzi? Będzie nam się tak teraz cyklicznie objawiał, tu i ówdzie?

Elwira szła tak szybko, że Lucynie z trudnością udawało się za nią nadążyć.

– Niepogrzebany, może nie znajduje spokoju? – bąknęła.

– No to niech się zdecyduje!!! Gdyby nam dał pójść na policję, toby sobie teraz czekał w bezpiecznym miejscu na pochówek. Albo i już był pochowany.

– No to może mu się nie podobało, że mu grzebałyśmy w prywatnych rzeczach? Albo że byłyśmy w zakładzie i wywiesiłyśmy kartkę o chorobie? Albo że w ogóle zamieszkałyśmy w jego domu?

– Przecież nie zrobiłyśmy tego umyślnie! I jeśli zmarli faktycznie mają wejrzenie w życie ziemskie, to przecież on wie, że działałyśmy tylko w dobrych intencjach!

– Właśnie, intencje. – Lucyna pstryknęła palcami. – Może dać za niego na mszę?

– A może byłby łaskaw sprecyzować, czy to tego właśnie chce?

– Brrr, naprawdę chciałabyś, żeby coś ci precyzował? – Lucyna zatrzęsała się nieprzyjemnie.

– No, jeśli to by miało ukrócić jego pojawianie się... To może lepiej byłoby wiedzieć, załatwić i mieć to z głowy?

Lucyna nie wyobrażała sobie, żeby po bliskim kontakcie z kimś z zaświatów w ogóle mogła cokolwiek mieć „z głowy”.

– Boże, dlaczego nas to spotyka? – uzalila się płacząc.

Elwira odrobinę zwolniła kroku i w zamyśleniu ssła kosmyk włosów.

– Słuchaj, a może jednak ty masz rację, że ja wypieram jakiś lęk i przez to mam złe sny i omamy...? No bo popatrz: to znowu ja zrobiłam halo, że niby go widzę, a ty po prostu uległaś sile mojej sugestii... Długie przebywanie na słońcu wywołuje fatamorgany. A jeszcze na głodniaka... – myślała głośno.

Lucyna chłoneła jej słowa, szukając pociechy i otuchy.

Elwira wypluła kosmyk i wyprostowała się.

– Tak. Wiesz, Lucy, że tak faktycznie mogło być. Bardzo cię proszę, nie dajmy się zwariować. Pewnie gdyby facet, którego wzięłam za nieboszczyka, siedział w jaśniejszym miejscu i zdjąłby czapkę, okazałoby się, że nawet nie jest do tamtego specjalnie podobny. Przepraszam cię. Nie było sprawy.

# Rozdział 11

## Dzień 7.

*Serdeczne pozdrowienia z niezwykle słonecznego Półwyspu Helskiego przesyła Lucyna*

Źle to rozplanowała. Ponad połowa miejsca na tekst na pocztówce pozostawała pusta, a ona napisała już wszystko, co miała do napisania. „Niepotrzebnie tak ściubolę” – spojrzała krytycznie na dwa rzędy swoich drobnych jak druk literek. Gdyby stawiała je duże, okrągłe albo miała takie zamaszyste pismo jak Elwira, pocztówkę już można by uznać za wypisaną. A tak?

Nie, no przesada. Elwira przekonywała ją, że pocztówka będzie fajniejsza od SMS-a – ale przecież nie pocztówka z tak zdawkowym, wyświechtanym frazesem!

Szkoda, że przy odręcznym piśmie nie da się kliknąć „cofnij” – jak w komputerze – i wymazać tego, co by się chciało zmienić. Wtedy sprawa byłaby załatwiona. Lucyna mogłaby zacząć od nowa, na zupełnie czystej kartce.

„No ale się nie da” – westchnęła. Na tym właśnie polega i urok, i przekleństwo odręcznego pisania.

Przypomniała sobie widziane na studiach rękopisy dzieł różnych wielkich mistrzów: zawijaski, skreślenia, poprawki, dopiski na marginesach – grafolodzy i ich biografowie musieli mieć istną ucztę z odcyfrowywania, którą linijkę mistrz pisał z rozmysłem, a którą pospiesznie, zanim świeżo

wymyślone genialne sformułowanie uleci z jego głowy wprost w niebyt; który zawijas dowodził jego seksualnego temperamentu, a który zwiastował zbliżający się obłąd.

Jeszcze raz spojrzała na swoje dwie linijki. Dokumentnie nic w nich nie było. Ani obłądu, ani seksualnego szaleństwa. Żaden geniusz, wybitna jednostka – tylko trybik. Trybik jakiejś niepokojącej maszyny.

Pokręciła głową, jakby chciała odgonić przykrą myśl.

Wróćmy do tematu.

To co teraz?

Cholera, niepotrzebnie dała to o pogodzie już w pierwszym zdaniu. Gdyby tam się ograniczyła tylko do pozdrowień, to teraz, w długim pe-esie mogłaby się pozachwycać, na jaką to cudowną pogodę trafiły z Elwirą. A tak? Powtarzać się – bez sensu. I, co gorsza, bez polotu.

To może coś o nich samych? Jak się mają i jak fajnie spędzają czas?

Tylko co? Kwestię nieboszczyka i zjaw z przyczyn oczywistych trzeba starannie przemilczeć.

O pogodzie już było. I nawet przed chwilą myślała o tym, że to było. Doprawdy, jak można być tak otepiałą kretynką?!

Lucyna cmoknęła z niezadowoleniem i pociągnęła spory łyk zielonej herbaty.

Psiakrew, czy naprawdę nie potrafi napisać najbliższym niczego ciekawego nie o pogodzie?! Ta dumna praca wyzuła z niej całą kreatywność. Przecież kiedyś była taka dobra w pisaniu! Tworzyła nawet wiersze. A teraz jedyne, co potrafi sprawnie spłodzić, to bezduszne formułki: „Szanowna Pani/Szanowny Panie, w nawiązaniu do przesłanej do nas reklamacji o numerze 193/2019 uprzejmie informuję...”. „W razie jakichkolwiek pytań pozostaję do dyspozycji”. I to debilne „Pozdrawiam” z przecinkiem.

Przecież wie, że to błąd i bezmyślna kalka z angielskiego! A jednak pod wpływem wszystkich naokoło przyłapała się, że i ona tak pisze:

*Pozdrawiam,*

*Lucyna Szychowska*

*Dział Marketingu.*

Efekt tego taki, że teraz nie potrafi skreślić kilku miłych zdań do rodziców.

Zamyśliła się.

„Czy to normalne, że nawet na wakacjach o wszystko obwiniam swoją pracę? Dziś mija pierwszy tydzień urlopu, jeszcze tylko drugie tyle – i zaraz potem znów będzie trzeba wbić się w codzienny kierat, nudę, poczucie bezsensu”.

Znajoma gula podeszła jej do gardła.

Czasami czuła, że lawiruje na granicy rozpacz. Jednak gdy tylko wyczuwała, że przepaść z rozpaczą znów jest niebezpiecznie blisko, nie dawała temu uczuciu porządnie wybrzmieć, tylko szybko go zagłuszała przekonywaniem samej siebie, że jest przecież całkiem znośnie. Więcej: zupełnie w porządku; wręcz znacznie ponad normę. Ma pracę, własne (i banku) mieszkanie, jest samowystarczalna; ruszyła na podbój wielkiego miasta – i oto proszę: wciąż utrzymuje się na powierzchni, wciąż stoi z tarczą. Gdyby to odnieść do społeczeństw, które trawi wojna, choroby czy głód, to jej sytuacja byłaby wprost znakomita. Żyła bezpiecznie, przewidywalnie i stabilnie. Nic jej nie trawiło.

No, głód, czasem.

Oraz zjawa.

Wzdrygnęła się.

Nie. Nie ma mowy. Nie będzie teraz, w biały dzień rozmyślać o absurdalnych urojeniach ani o tamtym. Skupi się, napisze tę kartkę,



a zaraz potem pójdzie na pocztę i ją wyśle priorytetem. Rodzice nie zasłużyli na to, by się martwić brakiem kontaktu z córką.

Jeszcze raz siorbnęła zielonej herbaty (stanowczo za gorzkiej jak na jej gust) i dopisała:

*Dom, który wynajęliśmy tu na czas pobytu, w rzeczywistości okazał się jeszcze ładniejszy niż na zdjęciach. Byliśmy dotąd na dwóch wycieczkach: w Helu i we Władysławowie. Co dzień zażywamy też kąpiele słoneczne, a raz nawet wodnej! Szkoda tylko, że Bałtyk, mimo pięknej aury, nic a nic się nie nagrzewa...*

Co ją, kurde, podkusiło z tą aurą?! Jakież to pretensjonalne. Jak w wypracowaniu na poziomie podstawówki: pani każe unikać powtórzeń, więc raz się pisze „pogoda”, a drugi raz „aura”.

Znów się zacukała. Proszę, jaki drobiazg potrafi wybić ją z rytmu. I jeszcze to niewygodne skojarzenie ze szkołą: tak jakby Lucyna wcale nie była dorosła, dojrzała, samodzielna, tylko wciąż się oglądała na to, co jakaś tam symboliczna „pani” powie. Sytuacja zaczynała ją drażnić. Pomału też zaczynała rozumieć, dlaczego wielu wielkich twórców do tworzenia nieodzownie potrzebowało butelki czegoś mocniejszego.

Może to jest myśl?

Lucyna rozejrzała się za Elwirą. Oczywiście: jak zwykle w porze sjeisty Elwira drzemała stylowo na rozwieszonym w rogu ogrodu hamaku. Luscia wstąpiła więc na moment do domu, wzięła portfel, ich torbę plażową, do której wrzuciła kartkę i długopis – i poszła do spożywczaka. Chyba dobrze jej się wydawało, że przy kasie widziała napis „w sprzedaży znaczki pocztowe”?

Sklep spożywczy w mieście turystycznym w sezonie oferuje znacznie więcej niż żywność. To drogowskaz, punkt informacyjny i zborny, chemia gospodarcza, kosmetyki... To także kiosk, poczta, półmarket, ćwierćapteka

oraz oczywiście monopolowy. Lusia niby zamierzała kupić tylko znaczek – ale gdyby była ze sobą całkiem szczerą, mogła się domyśli, że chodzi także o piwo.

Bo niby czemu nie? Są wakacje, jest upał i poobiedni luz. Nic nie musi, nigdzie się nie wybiera. Przez chwilę pomyślała lojalnie, że kupi dwie puszki i wypiją je razem z Elwirą w ogrodzie. W ostatniej chwili zmieniła jednak zdanie: nie po to ciosała jej kolki na głowie, że za dużo pije, żeby ją teraz sprowadzać na złą drogę.

– Piwo, lody, znaczek priorytetowy i... papeterię – poprosiła nieoczekiwanie dla samej siebie, gdy dotarła do kasy. Jakoś tak odruchowo – bo arkusiki były bardzo ładne, w błękitny rzucik niezapominajek. A ona ze dwadzieścia lat nie pisała listu na papeterii.

Przed sklepem stała drewniana ławka i takież stół. „Skoro jest stół i nie ma kartki o zakazie konsumpcji alkoholu w obrębie sklepu – to chyba można...?” – zastanowiła się. Zdecydowawszy, że tak, usiadła, wyjęła z torby długopis, otworzyła papeterię i puszkę.

*Jastarnia, 21 czerwca 2018 r.*

– zaczęła zgodnie ze sztuką. Upiła łyk.

I dalej jakoś poszło.

*Kochani Rodzice!*

*Kiedy ostatnio pisałam do Was prawdziwy papierowy list, to było chyba na koloniach w Rabce, na które pojechałam z koleżanką ze szkoły. I choć od tamtej pory minęło siedemnaście lat, w pewnych kwestiach zaskakująco mało się zmieniło. Teraz też piszę do Was z wakacji, na których jestem z przyjaciółką; tak jak wtedy nie mam chłopaka, choć bardzo chciałabym mieć, oraz tak jak wtedy targają mną sprzeczne odczucia. Z jednej strony wszystko idzie świetnie: domek, który tutaj wynajęliśmy, jest bardzo ładny i dobrze usytuowany, plaża piękna, miasteczko urocze, towarzystwo Elwiry miłe – ja jednak nie do końca umiem się tym wszystkim cieszyć. A zarazem tak jak wtedy w Rabce na myśl o powrocie robi mi się aż słabo. Z tą różnicą, że wówczas bałam się matematycy, pani*

*Wołyńskiej, a dziś wzdramam się przed powrotem do pracy, której – powiedzmy to sobie jeden raz uczciwie – nienawidzę.*

*Wydaje mi się, że wszystko, co robię, jest miałkie i bez znaczenia. Że gdzieś zatracam swój potencjał, swoją wyrazistość, charakter, jednostkowość, a wręcz w pewnym sensie godność. Czuję się tak, jakbym zakopała swój talent i teraz nie mogła go odszukać – a nawet nie pamiętam, czym on dokładnie był. Może Wy mi podpowiecie? A może to niedojrzałe, niepoważne, żeby trzydziestotrzyletnia córka pytała rodziców, w czym jest dobra?*

*Cóż, zawsze lubiłam się Was radzić, pytać o zdanie, czuć Waszą aprobatę. Bez niej jest mi strasznie łyso – a zdaje mi się, że w moim aktualnym życiu niespecjalnie możecie być ze mnie dumni... Ja z siebie też nie jestem. No i, jak wynika z tego, co powyżej, wygląda na to, że jestem także niedojrzała. Niesamodzielna. I ogólnie rzecz biorąc – nieszczęśliwa.*

Słowo, wreszcie wyrażone wprost, a nawet dobitnie napisane, dotarło do niej z taką mocą, że aż poczuła na brzeżkach powiek krople łez.

– I w tym cała rzecz... – powiedziała do siebie cicho, pociągając nosem.  
– Muszę coś zrobić ze swoim życiem. I niestety, nikt nie może mi podpowiedzieć, co mianowicie oraz jak. Ani rodzice, mimo najlepszej woli, ani Elwira, choć tak bardzo wierzy w swój coaching. Bo tylko ja powinnam poczuć, co mnie prawdziwie uszczęśliwi – a potem to znaleźć.

Pokiwała smętnie głową. Zgarnęła ze stołu papeterię i długopis, złożyła dwa arkusiki ze swym smutnym listem i wrzuciła je w zamyśleniu do torby.

– Jedyna pociecha, że tym razem nic o pogodzie – mruknęła ironicznie.

Dopiero wtedy zobaczyła, że zupełnie zapomniała o lodach. Kolorowa torebka z roztopioną breją leżała obok niej na ławie.

Cholera, no! A może by tak popróbować tego sprawczego myślenia? Że, powiedzmy tutaj, w Jastarni, w ciągu tych kilku dni, które im tu pozostały, ona, Lucyna wymyśli w swoim życiu zmianę? A potem wróci i z miejsca zacznie ją realizować, nie tracąc dłużej życia na rzeczy, których w istocie nie chce robić?

Lucyna mocno zgmiotła puszkę i zdecydowanym ruchem rzuciła ją do oddalonego o dwa metry kosza.

O dziwo – wpadła tam!

Luśka ponowiła manewr z torebką lodów – i znów się udało.

Wzięła to za dobrą wróżbę.

– Cel – pal! – powiedziała do siebie z otuchą.

Jeszcze raz przeleciała wzrokiem list. Ponad wszelką wątpliwość nie nadawał się do wysłania rodzicom. Był za szczery, za smutny – i właściwie, wbrew zamiarom, napisała go nie dla nich, a na własny użytek, żeby sobie coś poukładać i uświadomić. Wyjęła z torby znaczek, naklejkę PRIORYTET – oraz napisaną wcześniej pocztówkę, przykleiła wszystko, gdzie trzeba i wrzuciła do wiszącej przy drzwiach spożywczaka skrzynki.

– Luśka, piłaś! – przywitała ją z nieskrywaną satysfakcją Elwira.

– Piłam. Żeby tworzyć.

– Ciekawy powód – przyznała psycholog. – Rozwiniesz?

– Nie – zaprzeczyła hardo Luśka. – Muszę siku.

Po chwili wróciła ze stropioną miną i znajomą reklamówką w ręku.

– Słuchaj? – zagadnęła. – Po co wzięłaś tu te buty Szablowskiej?

– Ja?! – Elwira zapałała oburzeniem, po czym spojrzała na torbę. – A. No ja. Faktycznie... Tak mi się jakoś ta torba kojarzyła z tobą, że gdy nas pakowałam, to ją niechcący zgarnęłam. Niepotrzebnie tyle ją nosiłaś, zrobiłaś mi mętlik.

Przez moment obie przyglądały się torbie w milczeniu.

– Chyba powinnyśmy ją odnieść... – rzekła w końcu Elwira. – Bo niby jak się wytłumaczymy z przedmiotu z tamtego domu w tym?

– Ooo nie. – Lucyna zdecydowanie pokręciła głową. – Moja noga już tam nie postanie. Nigdy mnie nie namówisz.

– Mnie też tam nie ciągnie, ale tak by było odpowiedzialnie.

– Byłoby – przyznała Lucyna. – Ale ja nie idę.

Elwira wzruszyła ramionami.

– No to możemy ją gdzieś wyrzucić.

Lucyna, która nigdy nie wyzbyła się sentymentalizmu, zaczęła się łamać.

– Szkoda... – pożałowała nieznanej Szabłowskiej. – Takie ładne buty.

Ciekawe, czy cała jest taka malutka.

– Szabłowska?

– No a kto?

– Bez różnicy. Przecież nie będziemy jej szukać, żeby zwrócić do rąk własnych!

– Jasne, że nie. Tylko po prostu ciekawe, dlaczego miał je w domu, a nie w zakładzie.

– No przecież rozmawialiśmy, że sąsiadka albo znajoma stąd.

Umysł Lucyny jednak wyraźnie błędził innym tropem.

– Może sublokatorka?

– Zwariowałaś? Skąd miałby mieć sublokatorkę?

– A pomyślałaś, po co mu dwie sypialnie? Może przegrodził, żeby właśnie sobie dorabiać, przyjmując letników? Tudzież sublokatorów?

Elwira skubnęła paznokieć, zyskując parę sekund na namysł.

– Sublokatorka na pewno nie – orzekła. – W tym domu brak kobiety, nawet sublokatorki, czuć było na kilometr. Letniczka chyba też bez sensu. To zbyt mało wiarygodne, że w trakcie krótkiego pobytu w sezonie miała przy sobie i buty letnie, i kozaki, i akurat do naprawy, a gospodarz przypadkiem był szewcem. Nie, to teza do bani. – Natomiast – przemówiła znacząco, kiedy Lucyna myślała, że to już koniec wywodu – pytanie o dwie sypialnie jest ciekawe.

– Eee, bez przesady. – Tym razem to Lucyna machnęła lekceważąco ręką. – To stary dom, pewnie po rodzicach. Odziedziczył i ma, bez wprowadzania poprawek w rozkład pomieszczeń.

– To jak: wyrzucamy torbę? – wróciła do tematu Elwira.

Lucyna ciężko westchnęła. Przyjaciółka niestety znała jej obywatelskie zapatrywania jak nikt.

– Niech ci będzie. Zaniesiemy tam. Ale bez wchodzenia do domu. Położymy ją na schodach ganku i natychmiast spadamy, to wszystko, na co mogę się zgodzić. Stoi?

– Stoi. – Uśmiechnęła się Elwira.

# Rozdział 12

## Dzień 8.

– No i mamy go! Jest i już nam nie ucieknie – pierwszy dzień lata. Niestety, jak to w życiu, nie można mieć wszystkiego. Nasza kochana Polska – od Tatr aż na południe, od Odry po Bug – jest spowita ciężkimi ołowianymi chmurami. Z tego pogodowego dramatu wyrwał się tylko Bałtyk. Tak, tak, dobrze słyszycie – Bałtyk. Oczywiście nie cały, ale ci, którzy zameldowali się na wypoczynek od Władysławowa na wschód, wygrali los na wakacyjnej loterii. Świeci im i grzeje. I tak będzie przez cały dzień!

Elwira z lubością wyjrzała przez okno. Facet w radiu miał rację. Słońce zmonopolizowało niebo. Zapowiadał się kolejny pogodny dzień. Właściwie to nie licząc tej jednej gwałtownej burzy, pogodę mają fantastyczną. Kto by pomyślał, że tak im się trafi. No, no, no. Zarazem żadna z nich nawet w najśmielszych marzeniach, a raczej w najgorszych koszmarach, nie pomyślałaby, że w pakiecie z urlopem dostaną nieboszczyka.

Elwira westchnęła. Ustaliły z Luśką, że zamykają tę sprawę. Wplątały się w nią idiotycznie, najidiotyczniej, jak tylko można było, aż nie do uwierzenia. Przecież Lucy jest taka obowiązkowa, dokładna, skrupulatna. Ma nieskazitelny porządek w PIT-ach, szafce w łazience i skoroszytach w pracy. Oraz w życiu i w głowie – a pomyliła się co do domku, który – Elwira z przyjemnością rozejrzała się dokoła – był znacząco inny od tego, jaki zamówiły i oglądały na zdjęciach. No, tu już na scenę wkracza Elwira i jej dar przekonywania. Właściwie to wmówiła Lucynie, że szczegóły są

nieznaczące, mógł być remont, a w ogóle to trzeba brać życie, jakim jest. Gdyby Elwiry tam nie było, Lusia skrupulatnie by wszystko posprawdzała pięć tysięcy razy, zatrąła sobie głowę niepewnościami i wątpliwościami i po prostu by się zmyła, nawet nie tykając nieboszczyka. Nie zrobiła tego wszystkiego, bo Elwira skutecznie jej zaczarowała rzeczywistość.

Elwira westchnęła po raz drugi. Głębiej i dłużej. Wiedziała, że ma predyspozycje do coachowania. Że umie w minutę rozgryźć człowieka – tylko sobie popatrzy, jak wejdzie do niej do gabinetu i kłapnie na fotel, i już wie o nim wszystko: nałogowiec, popijający i zdradzający żonę, kochanka z wyrzutami sumienia, znudzona pani domu szukająca sensu życia, obowiązkowy mąż, zajechany przez wszystkich i leczący się na serce, choć problem leży gdzie indziej, karierowicz, który całe życie postępuje wbrew swoim prawdziwym pragnieniom. Ludzi zdradza wszystko: ubranie, gesty, sposób podania ręki, to, jak się zachowują, kiedy ona jeszcze nic nie mówi, tylko patrzy, emocje, gdy opowiadają o dzieciństwie, miny, kiedy pyta o relacje z rodzicami. Elwira czuje się wtedy jak demiurg, który ma wiedzę absolutną. I władzę absolutną. Czasami to nawet sobie myśli, że może jest zbyt inwazyjna, może powinna zostawić im więcej miejsca na samodzielność? No ale jak to takie niemoty, sierotki, które trzeba stanowczo popychać? Albo krętacze, którym należy kubeł lodowatej wody na łeb wylać? Przecież właśnie dlatego porzuciła psychologię na rzecz coachingu. Może jednak na Luście nie powinna trenować. Lusie jest, jaka jest, i nie ma co jej tak ugniatać. Zresztą przecież z powodu tej odmienności tak się kiedyś zaprzyjaźniły. Elwirze przypomniało się ich pierwsze spotkanie. Zupełnie absurdalne. Elwira pędziła na staż do szpitala, przeciskając się między ludźmi w przejściu podziemnym przy Dworcu Centralnym. Wpadła na Luśkę, która jak niewidoma kręciła się w tunelu, nie mogąc się wydostać z plątaniny korytarzy. Przyjechała coś załatwić



w Warszawie, sama, bez rodziców. Tak wtedy powiedziała: „bez rodziców”, choć była już na studiach!, przepaszając Elwirę, która się wywaliła na mokrej posadzce i odbyła imponujący ślizg na tyłku aż pod ścianę. Normalnie Elwira by się wkurzyła i obsztorcowała taką ciamajdę, ale kiedy spojrzała na Lusię, to zobaczyła w jej twarzy... jakieś dobro. Czystą szczerłość. Lucyna wyglądała jak ktoś, komu można z miejsca zaufać. Właściwie to nie rozmawiały o tym pierwszym spotkaniu, więc Elwira nie wiedziała, co Lusia zobaczyła w niej, ale się zaprzyjaźniły na amen. Różniło je prawie wszystko i prawie wszystko przyciągało. Teraz jednak Elwira pomyślała, że może za bardzo próbuje poprawiać życie przyjaciółki. Może ona jednak chce być pracownikiem działu marketingu jeżdżącym w co drugi weekend do rodziców do Lublina, tłumaczącym się z braku zalegalizowanego sakralnie męża? Może akurat tu się Elwira myli?

– No patrz, dziś ty wstałaś wcześniej. Niebawale, to chyba pierwszy raz w życiu, co? – Lucyna, jeszcze w piżamie, stanęła obok Elwiry. – Ale piękny dzień!

– Pierwszy dzień lata. – Ziewnęła Elwira. – Sama nie wiem, co mnie podkusiło, żeby tak wcześnie opuszczać pościel, ale skoro już się obudziłam i tylko przewalałam po łóżku, to nie było sensu leżeć. A ty dziś coś nie w formie, co? Jedno piwo cię pokonało?

Lucyna lekko się zaczerwieniła.

– No jak jedno piwo? Co ty opowiadasz. Po prostu miałam potrzebę snu. W końcu są wakacje, a to nie jest obóz wojskowy.

– No, no, no, Lucy. Normalniejsz, widzę. Witaj w klubie. – Elwira uśmiechnęła się pogodnie.

– A ty za to przejmujesz moją dotychczasową rolę, zrywając się o świcie. Jeśli mi powiesz, że jeszcze śniadanie zrobiłaś...

– Weź. – Elwira przestraszyła się na serio. – To by oznaczało poważne zmiany w osobowości. Niczego nie zrobiłam, czekałam na ciebie.

Po czterdziestu pięciu minutach krzątania się w kuchni siedziały na werandzie przy zastawionym jedzeniem stoliku. Lucyna z przyjemnością wpatrywała się w obrazek rozciągający się przed ich oczami: kamienną ścieżkę do uroczej drewnianej furtki, soczyście zielony, schludnie przycięty trawnik. Wszystko tutaj było takie ładne, akuratne. Tydzień temu musiała mieć zaćmienie umysłu, ładując się na pięterko Morskiej jeden.

– U, będzie ciepło – powiedziała Elwira, patrząc na masło rozpuszczające się na kajzerce Luśki. – Nie ma nawet dziesiątej, a skwar już bucha z nieba.

– No. Nie do uwierzenia.

– Taaa. Zupełnie jak w Grecji w zeszłym roku. Widzisz, nie trzeba się pchać za granicę, żeby mieć pogodę.

– Pogodę i inne atrakcje w bonusie.

Elwira już miała ożywczo klepnąć Luśkę w kolano i przeprowadzić szybką akcję pionizującą, ale zamiast tego ugryzła się w język i wsadziła dłoń w kieszeń szortów.

– Luśka... ja wiem. Mnie też to trochę gryzie. Ale jakoś to sobie przepracowałam. Wytłumaczyłam. Zamknęłam. Pamiętaj, że nie ma w tym naszej winy. Żadnej.

– No. Wiem. Tylko...

– Tylko co?

– Normalnie gdy jedziesz na wakacje, to po prostu odpoczywasz. Odcinasz się, wylegujesz, kąpiesz, spacerujesz. Masz reset, a potem wypoczęta wracasz do codziennego życia.

– No trochę jednak wypoczywasz. I też wrócisz.

– Właśnie. Nie wiem, czy to z powodu tego upału, czy, no wiesz, ale... Różne myśli mi przychodzą do głowy. I powiem ci, tylko się nie śmieję – spojrzała na przyjaciółkę tym swoim spojrzeniem sprzed trzynastu lat w przejściu podziemnym w centrum Warszawy – że zadałam sobie pytanie, czy ja jestem szczęśliwa. Że gdy to moje życie już prawie upłynie, to czy ja na końcu pomyślę, że tak, to było to, o co mi chodziło. Wczoraj, kiedy pisałam list do rodziców...

– List do nich napisałaś?

– No. Ale w końcu wysłałam tylko kartkę.

Elwira drugi raz tego ranka spojrzała na Lucynę uważnie. „Czyli jednak diagnoza była słuszna, tylko terapia źle dobrana” – pomyślała.

– Wiesz co, Luśka? Chodźmy na spacer. Pójdziemy sobie brzegiem morza, a wrócimy tą trasą w lesie, żeby nas tak nie spiekło. Nie będziemy się wylegiwać, bo bezruch człowieka niszczy. Ciało flaczeje, niedobre myśli obłapiają. Ruch jest dobry na wszystko. No i pogadamy przy okazji.

\*\*\*

– Pycha!

– Proste jest najlepsze. No, może nie każde, ale to akurat tak. – Lucyna z błogością oblizwała brzeg szklanki, w której zostały resztki zsiadłego mleka. – Wakacyjne obiady mojego dzieciństwa. Kiedy był upał, babcia zawsze nam robiła ziemniaki z koperkiem i masłem, a do tego zsiadłe mleko. Wszystko z własnego gospodarstwa, ale te kupne też były niczego sobie.

– No. Od wieków czegoś takiego nie jadłam. Ciągłe tylko tofu, jarmuż, kiełki, ser owczy. Już mi czasem brakuje pomysłów. No i cena. Ile nas to wyniosło?

– Sześć pięćdziesiąt – obwieściła triumfalnie Lucyna. – Nie licząc gazu – dodała po chwili skrupulatnie.

– To jaki plan na drugą połowę dnia? – Elwira z lubością poklepała się po idealnie płaskim brzuchu.

– Czy ja wiem? – Luśka była zajęta oglądaniem skóry na ramionach. Posmarowała się przed wyjściem na spacer, ale najwyraźniej nie doceniła przeciwnika, bo skóra była mocno zaróżowiona, co zwiastowało trudną noc. – Ja już chyba nie mam ochoty wystawiać się na słońce.

Karmelowo opalona Elwira rozumiejąco pokiwała głową.

– No jasne, Lu. Nawet opieprzyć cię nie mogę, bo starannie wklepałaś w siebie te blokery promieni UV przed wyjściem. Chyba po prostu nie robią kremów dla takich wrażliwców jak ty. Szkoda, że wypiliśmy całe zsiadłe mleko, bo podobno pomaga na oparzenia. Okłady byś sobie zrobiła.

– Pantenol też pomaga. Wrzuciłam tubkę do walizki, nauczona doświadczeniem zeszłorocznych wakacji... Słuchaj, a co byś powiedziała na trochę ukulturalnienia?

– Nad Bałtykiem? – zdziwiła się Elwira.

– A tak. Widziałam plakaty reklamujące Scenę Kulturalną.

– E, to pewnie kabarety z jarmarcznym humorem. Albo promocja garnków z kosmicznej stali pod płaszczykiem jakiegoś wykładu. Albo inne badziewie.

– Nie doceniasz narodu. To spotkania z autorami. O książkach.

– I masz chęć? Jakoś nie zauważyłam u ciebie ostatnio fascynacji literaturą. Kiedyś, na początku naszej znajomości, to wciąż tachałaś jakieś książki i na stoliku nocnym zawsze miałaś kupkę, a potem to chyba zarzuciłaś. Teraz to tylko czasopisma i gazetki czytasz.

– Tak. I mi wstyd. Wczoraj, kiedy próbowałam coś dłuższego napisać, to się okazało, że zgłupiałam. Rozumiesz, zwykle trend jest taki, że z wiekiem

człowiek coraz mądrzejszy się robi, a ja nie potrafiłam z sensem i polotem sklecić kilku zdań. Aż mi się zrobiło łyso przed samą sobą. To przez to nieczytanie. Przelecę tylko jakieś artykułiki i już. Albo wpisy na fejsie. Więc z chęcią pójdę na takie spotkanie, posłucham sobie, jak wykształceni ludzie mówią, może nawet kupię ich książkę. Poza tym mają tam duże namioty, miły cień i kawę.

– Przekonałaś mnie.

\*\*\*

– ...no oczywiście, że to może być sposób na życie. I na przeżycie. Pisarstwo to nie tylko nasze hobby, to również nasza praca.

– Spóźniłyśmy się – szepnęła Lucyna, gdy stanęły przed dużym namiotem Sceny Kulturalnej. Hala była rzeczywiście imponująca. Przy prowadzącej nad morze wąskiej uliczce, w otoczeniu miniaturowych kramów i małych knajpek oraz równie niedużych kawiarenek, wyglądała jak wielkolud w krainie liliputów. Przed wejściem były regały z książkami, stoliki, krzesła i bar z kontuarem. – Wchodzimy? Może głupio tak przeszkadzać w trakcie.

– To nie opera, nie przesadzaj. Wchodzimy.

W środku panowały przyjemny chłód oraz półmrok. Obie te okoliczności Lucyna przyjęła z ulgą. Odpoczną trochę od męczącego skwaru i nie będą na celowniku spojrzeń przez to spóźnienie. Kilka osób obejrzało się w ich stronę, gdy przyjaciółki uchyliły ciężkie kotary przy wejściu, wpuszczając do środka na chwilę promień ostrego światła, ale szybko przemknęły przejściem między krzesłami i siadły mniej więcej w środku.

Lucyna rozejrzała się dokoła. Ciekawe, kto przychodzi na takie spotkania, wybierając powiew kultury zamiast poszumu fal. Czarny brezent namiotu dość skutecznie blokował dopływ światła dziennego, spowijając

miejsca dla publiczności mrokiem, trochę tylko rozjaśnionym delikatnym oświetleniem. Mocne światła za to były skierowane na scenę, gdzie siedziały dwie kobiety – autorki – i prowadzący spotkanie.

– A jak to się zaczęło? Jak się zostaje pisarką? Pisarkami właściwie? – zapytał facet z mikrofonem.

– Do wszystkich poważnych zmian w życiu potrzeba nagłego impulsu. Jakiejś iskielki, która podpali gotowy już od dawna stóg – stóg zbudowany z irytacji na dotychczasowe życie, niewypowiedzianych głośno chęci zmiany, skrywanych przed światem pragnień. Taki stan zahibernowania marzeń może trwać bardzo długo. W wielu przypadkach nawet przez całe życie. U mnie – dobrych kilka lat. A co było tą iskrą? Otóż jechałam do pracy i utknęłam w korku na moście. Byłam wściekła, bo to zupełnie niezawiniona przez mnie sytuacja. Ani zmienić trasy, ani się przesiąść – nic. A w pracy, w wydawnictwie, czeka szefowa, która za trzy minuty spóźnienia – jak w szkole – daje upomnienie, na czerwono, w tabelce. Miałam wtedy zwyczaj porannych telefonów do mamy, rozmów prowadzonych w aucie właśnie. Więc dzwonię i opowiadam poirytowana, jak jest. Oczywiście po to, żeby usłyszeć słowa pociechy. Na co mama odpowiada: „Już dawno ci mówiłam, pisz książki. Masz talent, wykształcenie, marzysz o tym. Ale ty nie, bo się cykasz i wolisz co rano przeżywać stres, a potem przez osiem godzin dziennie siedzieć przy biurku i poprawiać cudze teksty”. Zagotowało się we mnie. Oczekiwałam pogłaskania po głowie, pocieszenia, a tu tak prawdą między oczy. Dojeżdżam do pracy, kwadrans za późno, od progu oczywiście bura od szefowej, która widziała każdą spóźnioną minutę rano, ale godzin przesiedzianych po siedemnastej już nie. Siadam przy komputerze, obok współautorki, o tak, jak teraz tu siedzimy, bo wtedy pracowałyśmy biurko w biurko, oczekując przynajmniej od niej wsparcia. Opowiadam o porannej

rozmowie z mamą i słyszę: „I dobrze ci mama powiedziała. Wyobraź sobie, że ja wczoraj wieczorem miałam bardzo podobną wymianę zdań z mężem. Pisałam właśnie do ciebie mail, a on, zdziwiony, pyta: «W pracy się widujecie i jeszcze wieczorem do siebie piszecie?». Odpowiadam, że w pracy to pracujemy. I żeby sobie nie wyobrażał, że mamy czas na jakiegokolwiek pogaduszki. Cały dzień czytania i poprawiania, aż do zlasowania mózgu. To przynajmniej wieczorem piszemy, co chcemy i jak chcemy. Popatrzył na mnie, pokiwał głową i powiedział: «I tak już tyle lat. To może wreszcie czas na swoją książkę?». Bingo! No jasne! I co ty na to?”. Chyba nie wykrzesalam z siebie odpowiedniego entuzjazmu, bo współautorka, przyjaciółka i potwór w jednej osobie, powiedziała: „Wiesz, przymusu spełniania marzeń nie ma. Jeśli wolisz wspominać sobie na emeryturze korekty i zatemperowane ołówki, równo ułożone na biurku, to droga wolna. Każdy ma prawo schrzanić sobie życie”. A wieczorem już miałyśmy napisane pierwsze strony naszej debiutanckiej książki.

W sali rozległy się śmiechy i brawa.

– Fajna historia, co? – szepnęła do niej rozbawiona Elwira. – Łebskie te kobitki.

– No – przytaknęła Lucyna, przetrawiając każde usłyszane słowo. Dobrze, że tu przyszły. Może nie bez powodu coś ją tu ciągnęło?

– I co, okazało się, że marzenia się spełniają? – zapytał prowadzący.

– To, że tu siedzimy z państwem, pokazuje, że tak – odpowiedziała ta druga. – Zawsze, kiedy ktoś nas o to pyta, odpowiadamy, używając fraszki Leca: „Siła marzeń obraca koło zdarzeń”. Tłumacząc to na praktykę dnia powszedniego: jeśli się nie odważysz, to nic się nie wydarzy.

– Wasze bohaterki też takie są, prawda?

– Tak. To fajne babki, z krwi i kości. Marzą, próbują i się nie poddają. Upadają, podnoszą się, otrzepują kiecki i idą dalej.

– A to fikcja literacka czy przykłady z życia wzięte?

– Z życia, zawsze. – Teraz znowu mówiła ta pierwsza, od korka i mamy.  
– Życie bije literaturę na głowę, wymyśla zdecydowanie lepsze scenariusze. My, choć mamy naprawdę wytrenowane wyobraźnię, nie stworzyłybyśmy takich fabuł, uznając, że są zbyt nieprawdopodobne.

– No to zaczynam się obawiać. I już wiem, dlaczego wczoraj przy kolacji byliście takie milczące. Nie mogłem się nadziwić: niby pisarki, a cichutkie. Tylko zadają pytania, a same milczą. Teraz już mi się rozjaśniło...

Znowu śmiech.

– Całkiem niezłe. Obawiałam się nudy, a tu proszę. – Elwira nachyliła się do Lusi. – Możemy jeszcze posiedzieć.

Lucyna kiwnęła głową. Atmosfera bardzo jej odpowiadała. Czuła, że się relaksuje. I przetrawiała usłyszane ze sceny słowa.

– No dobrze. Tak sobie przyjemnie rozmawiamy, a może ktoś z publiczności chciałby się przyłączyć do dyskusji. Nieczęsto mają państwo taką okazję, proszę korzystać. – Prowadzący wstał z krzesła i zaczął się rozglądać po sali.

Zgromadzeni zareagowali zgodnie z psychologią – zaczęli nagle pilnie czegoś szukać w torbach, oglądać paznokcie, przypatrywać się konstrukcji dachu, wiązać sznurówki.

– No, proszę się nie bać. Pisarki miłe i jest okazja, żeby poznać warsztat u źródła.

– No to może ja. – Korpulentna słuchaczka, na oko czterdziestoletnia, podniosła rękę. Podeszła do niej dziewczyna z obsługi i podała jej mikrofon. – Chciałam zapytać, skoro panie mówiły, że często opisują swoich znajomych, czy zdarza się paniom taka pokusa, żeby kogoś złośliwie odmalować. Zrobić mu jakiegoś psikusa. No taki rodzaj zemsty.

– Ależ skąd.



– Oczywiście.

Oba teksty padły ze sceny niemal równocześnie.

– No dobra, przyznajemy, pokusa jest. – Uśmiechnęła się pisarka numer jeden.

– I, żeby być szczerymi z państwem, czasem jej ulegamy – odpowiedziała pisarka numer dwa.

– Ale jak bardzo? To znaczy, czy mogę prosić o przykład? – Słuchaczka była najwyraźniej zaintrygowana tematem mocy sprawczej słowa.

– Bezgranicznie podłe nie jesteśmy. Może gdybyśmy pisały kryminały...

W tym momencie przez salę przewędrował długi promień światła. Lucyna obejrzała się w stronę wejścia. Kotara zafalowała, co znaczyło, że ktoś dołączył do słuchających. „Całkiem dużo osób interesuje się literaturą – pomyślała. – Tak, zdecydowanie muszę nadrobić braki w czytelnictwie. Obejrzę sobie stoisko przed wejściem i wezmę coś tych autorek. Fajnie mówią, to pewnie i fajnie piszą”.

– ...dziękujemy bardzo. No to proszę o kolejne pytanie. – Prowadzący znów zaczął świdrować wzrokiem salę.

Odpowiedziała mu cisza.

– No, proszę państwa, bo wyciągnę dziennik i będzie jak w szkole.

Śmiech, ale żadna ręka nie powędrowała do góry.

– No dobrze, to pan spóźnialski. Za karę. Prosimy mikrofon dla pana.

Dziewczyna z obsługi powędrowała do nowo przybyłego, który już zdążył usiąść niedaleko wejścia, zatapiając się w ciemnym kątku.

– Ja... no... – dobiegł ledwo słyszalny szept.

– Mikrofon chyba wyłączony. Kasiu, sprawdź, proszę.

Dziewczyna wzięła sprzęt, coś kląsknęło i za chwilę zabrzmiało donośnie:

– Raz, raz, dwa, próba mikrofonu.

– O, sprzęt już działa. Zatem śmiało. O co chciałby pan zapytać nasze autorki? I jeszcze poproszę obsługę o skierowanie świateł na pana pytającego. My na scenie jesteśmy widoczni, więc rozmówca niech też rozbłyśnie w blasku żarówek.

Nadal jednak panowała ciemność.

– Maćku, światła prosimy.

Kasia, ta od mikrofonu, podeszła do prowadzącego i coś mu szepnęła do ucha.

– A, tam, gdzie król piechotę, no dobra.

Siedzący zarzeli.

– Całkiem się wciągnęłam – zachichotała Elwira. – Fajnie tu, na luzie.

– No to światła za momencik, a pytać już można.

– Ja właściwie... to nie planowałem tu przychodzić. Tak z ciekawości raczej. Jestem przejazdem, z daleka. W drodze, można powiedzieć.

– Znaczy turysta. Jak wszyscy tutaj – odpowiedział prowadzący.

– Nie... to inna rzeczywistość...

– Tajemniczy mężczyzna. Dobrze, nie ciągniemy za język, prosimy o pytanie.

– To ja chciałem zapytać o ten kryminał. Czy panie często się zajmują umarłymi?

Maciek musiał już wrócić z toalety, bo w tym momencie rozbłysło światło. Przyjaciółki, wiedzione ciekawością, odwróciły się w stronę oświetlonego mężczyzny. Lucynie wyrwał się z piersi krótki, zdławiony okrzyk. Elwira w osłupieniu patrzyła w stronę jasnej plamy. Pytanie, teraz już bez żadnej wątpliwości, zadawał Jaromir. Lekko pofalowane włosy, niesforna grzywka. Mocne kreski brwi i charakterystyczny zarys żuchwy. Ich nieboszczyk w świetle reflektora.

## Rozdział 13

### Dzień 9.

Ukraiński sprzedawca sandałów miał wiele racji. Naprawa obuwia w istocie musiała być mało opłacalnym zajęciem: w ciągu pięciu dni, odkąd Elwira zamknęła na klucz drzwi zakładu i dla pewności przetrzała zamek i klamkę spirytusem kamforowym, u szewca we Władysławowie nie pojawił się ani jeden klient.

Ruch zaczynał się jesienią. Kiedy temperatura spadała i ludzie wyciągali z piwnic, schowków i pawlaczy czółenka, mokasyny, półbuty, botki i sztyblety, na jaw wychodziły rozmaite ubytki: rozprucia, zacięte suwaki, zdarte fleki. Przez całą zimę natężenie ruchu było zadowalające – by wiosną znów wygasnąć. Do tego stopnia, że o zostawionych pod koniec zimy kozakach niektórzy przypominali sobie dopiero kolejnej jesieni.

Tak, zdecydowanie nie był to zbyt dochodowy biznes. Szewcowi jednak w zupełności wystarczał. Nie miał kredytów ani rodziny na utrzymaniu. Żył bez kosztownych hobby i ekstrawagancji, a dojazdy pociągiem oraz umiarkowana liczba klientów całkowicie zaspokajały jego potrzeby kontaktów z ludźmi. Gwoli prawdy przyznać wszak trzeba, że bez stałej współpracy z Teatrem Wybrzeże z Gdańska byłoby cienko.

Zaczęło się przypadkiem. Ktoś z rekwizytorni nie całkiem legalnie wypożyczył sobie część stroju Isabel z *Portretu damy* na jedną długą, upojną, karnawałową noc. Czy to jednak taniec był zbyt skoczny, czy kolacja tak suta – dość, że skórzany sznurowany gorset zawstydzająco pękł

na całej długości, a prawy botek postradał obcas i zyskał szpetną grubą ryse przy nosku. Trzeba było poszukać dyskretnego krawca, czy lepiej: szewca, który podjąłby się napraw. Tak trafiono na Jaromira, który nie tylko sam okazał się nader zręcznym, ponadprzeciętnie pieczołowitym rzemieślnikiem, lecz także jego maszyna znakomicie radziła sobie z przeszyciami najrozmaitszych teatralnych materiałów, zgoła nie wyłącznie obuwniczych.

Drugiego dnia kalendarzowego lata zza rogu ze sklepem „Krokodylek” wyłoniła się prawdziwa *pin-up girl* – tak nierealistycznie perfekcyjna, jakby na ulicę we Władysławowie zstąpiła wprost ze zmysłowego plakatu – jednego z tych, które przypięte pinezką nad łóżkiem (stąd przecież to *pin-up*) rozpalały męską wyobraźnię ubiegłego wieku. Odziana w rozkloszowaną czerwoną sukienkę w duże białe grochy, podtrzymywała pachą małą czerwoną kopertówkę. Z ukrytych pod wystylizowanymi kosmykami uszu zwisały kolczyki w kształcie wisienek, a oczy (oraz wiek pięćdziesiąt plus...) skrywały przed bystrym słońcem okulary w oprawkach w kształcie kocich oczu. Kocica drobiła kroczi, stukając obcasami lakierowanych klapków w rozmiarze trzydzieści pięć. Cała ta fantastyczna postać liczyła sobie metr czterdzieści, góra metr pięćdziesiąt wzrostu (ocenę zaburzały utapirowane w elegancki, wysoki czub włosy) oraz zmierzała wprost do szewca.

W witrynie czekała ją przykra niespodzianka.

– Jak to choroba, panie Jaromirku? – bąknęła z osobistym wyrzutem. – Byliśmy przecież umówieni!

Jaromir, z wiadomych przyczyn, nie odpowiedział.

Na wszelki wypadek szarpnęła klamkę – bez skutku.

– Diabli nadali tę chorobę! – Rozejrzała się, jakby w poszukiwaniu podpowiedzi. Kragły, obfity biust falował nerwowo. Postawiła torebkę na gzymsiku pod wystawą, wyjęła z niej muślinową chusteczkę i fachowo osuszyła nią spocone czoło – nie pocierając, a przykładając troskliwie, miejsce przy miejscu, tak aby nie rozmazać podkładu. – Doprawdy! – prychnęła zniesmaczona, jakby informacja o chorobie była niestosownym żartem. – I co ja teraz zrobię? – Powiodła wzrokiem dokoła, tak jak zwykła była to robić ze sceny, niby to szukając odpowiedzi u publiczności. Widzowie uwielbiali ją za ten żywy kontakt.

Niestety, w tym irytującym miejscu nie miał jej nawet kto podziwiać. Jej, jej pieczołowitej stylizacji oraz jej obuwniczego dramatu.

Opięte grochami piersi wydały z siebie głębokie westchnienie, by raz jeszcze dać wyraz zawodowi, który ją spotkał – po czym kłapeczki znów zastukały o wykostkowany chodnik, tym razem w przeciwną stronę – aż ich właścicielka znikła za rogiem.

Myliła się jednak, sądząc, że nie ma widowni. Otóż bowiem czyjeś oczy uważnie patrzyły na jej teatralne lamenty, a nawet – w pewnym sensie – ją podziwiałały.

– Ech, lalunia... Co ty wiesz o prawdziwych problemach...? – mruknął pod nosem widz. – Życie to nie przebieranki. Wcześniej czy później ty też się tego dowiesz.

Najwyraźniej za grosz nie potrafił docenić kunsztu diwy gdańskiej operetki.

Zmartwiło go natomiast, że odeszła z kwitkiem. Zakład nieczynny w środku dnia, w pełni sezonu? To psuło mu szyki...

Dla pewności sam podszedł bliżej.

„Nieczynne z powodu choroby do 31 lipca” – przeczytał.

Cholera. Niepotrzebnie zwlekał tak długo.

Chwilę patrzył tępo w witrynę, jakby się nad czymś zastanawiał.

W końcu podjął decyzję. Wyjął z kieszeni komórkę i z cieniem wahania wybrał numer.

– Abonent jest czasowo niedostępny. Po usłyszeniu sygnału nagraj wiadomość – zakomunikował automat.

Odchrząknął i odczekał do wybrzmienia sygnału.

– Jarek? – powiedział do słuchawki. – Znów masz wyłączony telefon. Jestem pod zakładem, szuka cię tu jakaś desperatka. Oddzwoń, gdy włączysz i odsłuchasz. Chciałbym się spotkać.

\*\*\*

Piętnaście kilometrów na wschód od Władysławowa Elwira z Lucyną z klapkami w rękach przemierzały plażę brzegiem morza. Wydarzenia ostatnich dni sprawiały, że ciągle nie mogły spokojnie usiedzieć w miejscu. Niechciane myśli wciąż mąciły umysł i zalewały je, zrazu jedną, potem dwiema, wreszcie całymi stadami fal niepokoju, frustracji i żalu.

Z dwojga złego wolały zalewanie prawdziwych fal, dlatego wyszły z domu i ruszyły plażą w stronę Kuźnicy.

Jak mogły się wplątać w taką historię???

Stopy złościły w mokrym piasku ślady, natychmiast zmywane przez fale. Szły najpierw gęsiego, w końcu Elwira weszła ciut głębiej do wody, by móc iść obok Luśki.

– Mogę iść z tej strony, mam krótsze gatki – wyjaśniła, choć obie wiedziały, że chodzi raczej o to, by zmarzłak Lucyna nie jęczała, że jej zimno. Na takiej właśnie głębokości – od jednego do pięciu, w porywach ośmiu centymetrów – Bałtyk był dla niej akceptowalny.

– O, jest! – Lucyna podniosła z wody kształtną białą muszelkę i wsunęła ją do kieszeni rybaczków.

– Nawet się jej nie przyjrzałaś... – zauważyła z przyganą Elwira.

– Na razie ważne, żeby mieć. Przyglądać się będę w domu – wyjaśniła pogodnie Lucyna.

– Atawistyczny instynkt łowczy – oceniła Elwira. – Teraz zdobywamy, a dopiero po powrocie z wyprawy będziemy przyglądać się łupom. Ja tak czasem kupuję w ciucholandach – wyznała.

– Można też powiedzieć, że szukam ukojenia w przyrodzie – odparła Lucyna. – Usiłuję skupiać się na prostych czynnościach, żeby przestać myśleć. Zająć się czymś, jakby to wcale nie były jakieś chore wakacje z duchami. Próbowалаm czytać jedną z tych książek, cośmy sobie wczoraj kupiły po spotkaniu, ale nie mogłam się na niej skoncentrować.

– To może trzeba raczej poszukać zajęcia dla myśli, nie dla ciała? – podsunęła Elwira. – Wiesz co? – Kopnęła okrągły kamyczek daleko w wodę. – Zagrajmy w jakąś grę. Taką, w którą się da grać, idąc. Na przykład... – zastanowiła się chwilę. – O, mam! Gra „O co nigdy nie zapytałaś przyjaciółki”.

– I co? Jak będziemy w to grać? – Lucyna lubiła reguły i ich przestrzeganie. Musiała wiedzieć, na co się pisze.

– No... właśnie tak. Postawimy sobie pytania, których nigdy wcześniej sobie nie zadałyśmy.

– Zacziesz? – zaproponowała Lucyna. Zdecydowanie bardziej wolała iść wytyczonym szlakiem, niż go wytyczać.

– Czemu nie. – Elwira mogła i wytyczać. – A więc powiedz mi, moja droga, za co właściwie ty mnie lubisz?

– Ooo... Hmm... – powiedziała Lucyna i umilkła. – Czekaaj, muszę pomyśleć. Na co dzień nie rozważam takich kwestii.

– Możesz myśleć głośno – odpowiedziała Elwira.

– No tak. A zatem... Nie jesteś moją pierwszą przyjaciółką.

– He, he. – Zaśmiała się Elwira. – Zabrzmiało jak wyznanie niedziewicy!

– Nie pierwsza nie w sensie ważności, tylko kolejności chronologicznej – uściśliła Lucyna. – Pierwszą przyjaciółkę miałam w podstawówce. Ale Kasia była trochę zdradliwa. Dość często zostawiała mnie na lodzie. A to usiadła z kimś innym w ławce, a to dobrała się na wuefie w parę z dziewczyną, która się ze mnie wyśmiewała. Wiesz, takie problemy na miarę podstawówki, ale wtedy to było jak przejście na stronę wroga. Cierpiałam – rzekła Lusia i wzruszyła się nad swoim dawnym losem. –

Drugą przyjaciółkę miałam w ogólniaku – podjęła po chwili. – Ta była dla odmiany bardzo fajna. Wierna i podobna do mnie temperamentem, poglądami, nawet trochę wyglądem. Ta przyjaźń miała szansę trwać dłużej, gdyby nie to, że Aśka dość szybko znalazła chłopaka, potem za niego wyszła... No a teraz mają czworo dzieci i nie bardzo miałyby pewnie czas na kultywowanie przyjaźni. Wiesz, jak to jest. Kiedy ludzi zaczyna coś dzielić – status społeczny albo posiadanie rodziny – to przyjaźń się nadszarpuje. Syty nie zrozumie głodnego, a żona i matka – przyjaciółki singielki – zakończyła Lucyna i zaraz podjęła nowy wątek. – Z trzecią kolego wałam się na studiach...

– Czy powolutku zbliżamy się do meritum? – Ton głosu Elwiry pobrzmiwał nutką specjalnej, zarezerwowanej dla Luśki łagodnej złośliwości.

– Ach, no tak! – przypomniała sobie Lucyna. – Za co cię lubię. Dasz wiarę, że nigdy się nad tym nie zastanawiałam?

– Dam – przytaknęła z uśmiechem Elwira.

– Za pewność siebie. Optymizm. Dziarskość. Urodę. Animusz.

– Żartujesz.

– Nie, dlaczego?

– Babska przyjaźń może się opierać na takich podwalinach?!



– A dlaczego nie? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Lusia. – Jesteś dla mnie inspiracją, dodajesz mi odwagi, sprawiasz, że mam zawsze pod ręką dobry wzór. Oraz psychologa, który dość nieznośnie dobrze mnie zna. A jeszcze do tego z tobą czuję się... no, pewniej. I nie jest z tobą nudno. I... myślę o sobie lepiej. Bo jeśli ktoś taki jak ty przyjaźni się z taką mną, to jest jasny sygnał, że i ja nie jestem taka najgorsza.

Elwira najpierw parę razy chrząknęła, potem dłuższą chwilę tarła nos.

– Chyba jestem wzruszona – powiedziała w końcu.

Ale że dłuższe poddawanie się wzruszeniom nie leżało w jej naturze, szybko podrzuciła Luście pytanie dodatkowe.

– A jak to, według ciebie, jest z babskimi przyjaźniami? Może być ich wiele?

– No pewnie! – odparła prostodusznie Luśka. – Tylko chyba jednak nie jednocześnie – stwierdziła.

– To jak z marzeniami. – Pokiwała głową Elwira. – W życiu też możesz wszystko, tylko nie w tej samej chwili. Na przykład kochasz podróże. Gdy jesteś młoda, dajmy na to na etapie studiów, masz dużo czasu, ale nie masz forsy. A potem masz forsy, ale nie masz czasu podróżować, bo jesteś niewolnikiem korporacji albo matką dzieciom.

– To znaczy, że wciąż jednak jestem młoda – zauważyła pogodnie Lusia.  
– Bo wciąż nie mam forsy.

„I ani słowa o niewolnictwie w korporacji – pomyślała Elwira. – Ciekawe, może jej głowa nareszcie szykuje jakieś zmiany?”

– No dobra, to chyba moja kolej? – upewniła się Luśka.

– Kolej na co?

– No na zadanie pytania.

– Czego ty się boisz? – palnęła Luśka.

Elwira nie spodziewała się takiego pytania.

– Czasem śni mi się taki sen – zaczęła. – Ktoś zakrada się do mnie i zdejmuje mi twarz – jak maskę. Nie wiem, jak wyglądam pod nią, ale wtedy akcja tego ohydneho snu przenosi się na scenę, z której ludzie mnie wygwizdują. Okazuje się, że wszystko, co umiem i co robię, nie jest dość dobre, nie spełnia oczekiwań. W realnym życiu ciągle chodzę na te kursy, zdobywam kolejne dyplomy... Może to wszystko jest podszyte jakąś niewiarą w siebie? Może się boję porażki? Albo że nie będę dostatecznie dobra w tym, co robię?

Lusia zmarszczyła brwi.

– Ty i niewiara w siebie?!

– Szewc bez butów chodzi – palnęła Elwira.

I humor obu znienacka się zwarzył.

– Jak zwykle w psychologii, przyczyn należy upatrywać w dzieciństwie.

– Elwira podjęła trud skierowania ich myśli z powrotem na tory gry w pytania. – Jako dziecko na wszystko musiałam sobie zasłużyć. Grzecznością, dobrymi ocenami. Miałam nie wydziwiać, być samodzielna i nie sprawiać problemów. No to jestem samodzielna – zakończyła ze smutkiem.

Lucyna pokiwała głową w zamyśleniu. Samą siebie postrzegała jako bojaźliwą na poziomie Prosiaczka, przyjaciela Puchatka. Ale może jednak takie realne strachy – jak robale – są lepsze od lęku, że nie jest się dość dobrym?

Miała ochotę przytulić Elwirę.

– Ja boję się wszystkiego. Pająków, duchów, samotności... – Słowa jakoś same z niej wyleciały, jak nieupilnowane. Miały podbudować Elwirę, że ona, Lusia i tak ma gorzej – niestety, zamiast tego znowu skierowały ich myśli ku poczynającemu sobie coraz śmielej nieboszczykowi.

– No dobra – odezwała się Elwira tonem, którym przemawiała podczas sesji. – Mów, bo jednak od tego nie uciekniemy. Boisz się nieboszczyka.

– Boję się – przyznała Lusia. – A ty nie?

– To pytanie w ramach gry czy poza nią?

– A co za różnica?

– W kolejności. Jeśli w ramach gry, to teraz moja kolej na pytanie, nie twoja.

– No więc poza.

– Mnie on głównie drażni. Wymyka się naturalnemu porządkowi. Powinien sobie grzecznie odpłynąć w zaświaty, tymczasem on nęka. I nawet go nie można pociągnąć do odpowiedzialności.

– Może powinniśmy dać na mszę za spokój jego duszy? Żeby ułatwić mu przejście tam – wysunęła ostrożnie Lucyna.

Na gruncie wiary też nie spotykały się zbyt często; nie była pewna, jak Elwira zareaguje na taką koncepcję. Gra, którą wymyśliła jej przyjaciółka, nieoczekiwanie uświadomiła jej, o jak wielu rzeczach nigdy ze sobą nie rozmawiały. Może to tak jest, gdy się człowiek zaczyna z kimś przyjaźnić jako dorosły – że pewne tematy go omijają? A może da się to nadrobić...?

– A można dać incognito? – spytała tymczasem Elwira.

– Bez podania naszych danych? Chyba można.

– Nie, bez podania j e g o danych – zniecierpliwiła się Elwira. – Przecież tu nikt nie wie, że on nie żyje! – dodała bezlitośnie rzeczowo.

– Nie wiem – przyznała Lusia.

– No widzisz. To możesz się najwyżej pomodlić indywidualnie.

Chwilę szły w milczeniu.

– Słuchaj, a może to jest po prostu sobowtór? Przypadkowy wczasowicz, nieco tylko podobny do Jaromira. Przecież my go nigdy nie widziałyśmy za życia... Może tylko sobie wmówiłyśmy, że wyglądałby właśnie tak?

– No może. Tylko dlaczego sobowtór denata miałby nas prześladować? Mimochodem rozejrzały się dokoła, czy aby nie są znowu prześladowane.

Nie były.

Były za to już chyba w Kuźnicy.

– A może jego rodzice jeszcze żyją? I mogłybyśmy ich znaleźć?

– I co im powiemy? – spytała celnie Elwira.

Milczenie Lucyny dowodziło, że nie był to przemyślany pomysł.

– Wiesz co? – odezwała się Elwira. – Skręćmy do miasteczka i kupmy sobie coś do picia. Albo i do jedzenia – dodała w imię przyjaźni. – Posiedzimy, odpoczniemy i potem zdecydujemy, czy idziemy jeszcze do Chałup, czy wracamy. A po drodze możemy dalej grać w naszą grę. Na przykład twoje opowieści o zaliczonych przyjaciółkach – puściła oko do Luśki – skłoniły mnie do pytania natury ogólnej: jak myślisz, czy z przyjaźni się wyrasta?

– Chyba tak – przyznała Luśka. – Sądząc po moich byłych przyjaciółkach, chyba tak.

– Ciekawe, czy my z siebie kiedyś wyrośniemy – rzuciła niewesoło Elwira.

Lucyna posłała jej spojrzenie wiernego psa – pełne lojalności i wyrzutu, że w ogóle mogła tak pomyśleć.

– Nie – odparła zdecydowana.

Elwirze pochlebiła ta pewność. Zachęcona wcześniejszymi komplementami, chciała jednak kropki nad i.

– A skąd ta pewność? – spytała więc prowokacyjnie.

Lucyna spojrzała na nią tym samym jasnym, szczerym, niezhańbionym kłamstwem obliczem, za które tak ją polubiła w dniu, kiedy na siebie wpadły.

– Bo łączy nas straszna tajemnica.

# Rozdział 14

## Dzień 10.

*Gdy mi ciebie zabraaaknieee... gdy zabraknie mi cieeeebiee...  
jak w godzinie ostaaatniej śladu słońca na nieeeebiee...*

– wyśpiewywała w głośno nastawionym radiu Ludmiła Jakubczak. Lucyna z przyjemnością krzątała się po kuchni, sprząając po śniadaniu. Lubiła słuchać radia. Tym razem znalazła stację retro ze starymi przebojami. Muzyka była na tyle fajna, że Lucynie zeszło się na porządkach dłużej, niż potrzeba: zamiast jak zwykle zostawić umyte naczynia na ociekaczu, tym razem wycierała każdy sztuciec i talerz do sucha płócienną ściereczką i w tanecznych pozach. Nucąc i kołysząc biodrami w rytm muzyki, odkładała kolejne przedmioty do szafek i szuflad.

Dziwne: piosenkę znała od lat, a nazwisko wykonawczyni słyszała teraz po raz pierwszy. W radiu nadawano właśnie audycję wspominkową. Goście w studiu rozpamiętywali, jaką owa Ludmiła była obiecującą artystką, jak utalentowaną nastolatkę odkrył jej późniejszy mąż Jerzy Abratowski – i jak zaledwie trzy lata później dwudziestodwulatka zginęła w wypadku samochodowym. Kierował nie kto inny, jak mąż właśnie, a na tylnej kanapie jechała z nimi jeszcze Irena Santor. Wracali, jak na ironię, z nagrania programu *Muzyka lekka, łatwa i przyjemna*.

– Urodziła się w Japonii, dokąd przed wojną wyemigrowali jej rodzice – opowiadał jakiś facet. – Ojczyznę przodków po raz pierwszy zobaczyła

dopiero w latach pięćdziesiątych. Polska Ludowa bardzo jej się spodobała. W Studium Piosenkarskim poznała kompozytora Jerzego Abratowskiego...

– Santor po odejściu z „Mazowsza” zaczynała właśnie karierę solową – snuła inny wątek tej opowieści jakaś kobieta. – Piosenką *Walc Embarras* wygrała festiwal w Sopocie, na którym Jakubczak zajęła trzecie miejsce.

Z głośników, w charakterze ilustracji muzycznej popłynął zmysłowy *Embarras*, zaśpiewany pięknym głosem Santor.

„Niektórzy to mają szczęście – pomyślała Lucyna. – Taka Santor, na przykład. Nie dość, że talent i nieprzemijająca forma, to jeszcze szczególny typ urody, pełen dystynkcji, tego samego sortu co arystokratka Tyszkiewicz. Nawet nazwisko ma piękne – krótkie, zamknięte dobitnymi spółgłoskami «San-tor», nieuchronnie zapadające w pamięć... perfekcyjne dla artystki! A może to pseudonim, jak Jantar...?»

– Obwiniali Abratowskiego o tę śmierć. Niesłusznie – wyrokował tymczasem na antenie inny facet. – Jego auto uderzyło prawą stroną w nieoświetlony wóz rolniczy stojący na poboczu. U Abratowskiego skończyło się na siniakach, Santor, która w momencie uderzenia spała na tylnym siedzeniu, wyszła bez szwanku, a Jakubczak doznała poważnego uszkodzenia głowy – złamania podstawy czaszki – i zmarła w drodze do szpitala.

Lucyna pokiwała smutno głową. „Niezbadane są wyroki...”

– Fani wnet uknuli bzdurną teorię, że Abratowski doprowadził do wypadku celowo, bo miał z Santor romans – ujawniła na antenie kobieta. –

Na pogrzebie tłum wyzywał go od morderców. Również Irena Santor miała nieprzyjemności z tego powodu. Pewna psychofanka Ludmiły groziła jej nawet śmiercią.

„To już wtedy byli psychofani? – zdumiała się Lucyna. – No proszę, a dopiero jej zazdrościłam... Jak to niewiele trzeba, żeby ludzie, na

podstawie najbardziej wydumanych przesłanek, znaleźli sobie winnego... – zadumała się. – Jak porażająco łatwo oskarżają, ferują wyroki, niszczą spokój i życie. Może Elwira miała jednak rację z tym trzymaniem się jak najdalej od tamtej sprawy? Zgłaszania jej komukolwiek, przyznawania się do jakiegokolwiek styczności z denatem...”.

– Jerzy Abratowski – kontynuował głos na antenie – nie mogąc znieść atmosfery po tej tragedii, wyemigrował do Stanów. Do Polski nie wrócił już nigdy. Sławie Przybylskiej, która go usilnie do tego powrotu namawiała, odparł z rozbrajającą szczerością: „Po co? Żeby umrzeć na grobie Lusi...?”.

„Lusi”! Lucyna nieoczekiwanie się wzruszyła. Jakoś tak odruchowo zaczęła wyobrażać sobie siebie zmarłą tragicznie i młodo, swój grób oraz pogrążonego w rozpacz, bliżej nieokreślonego męża, który nie mogąc znieść pustki po jej śmierci, wyjeżdża gdzieś, hen za ocean, gdzie jednak nigdy nie zaznaje ukojenia.

– Jerzego niestety także spotkała tragedia – usłyszała z odbiornika, zupełnie wykrakała zły los Bogu ducha winnemu świętej pamięci Abratowskiemu. – W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku został przypadkowo zastrzelony podczas napadu na bank w Los Angeles.

Co za historia...!

Lucyna pociągnęła nosem i odłożyła do szuflady ostatni, na błysk wypolerowany nóż.

A więc absurdalne śmierci przytrafiają się nie tylko im. To znaczy, w ich przypadku szczęśliwie to nie one wystąpiły w głównych rolach, lecz otarły się o nią w niechciany i niezamierzony sposób. Biedny pan Jerzy! Jakże dziwnie los rozegrał jego życie.

Audycja zakończyła się cudowną, kołyszącą piosenką *Szeptem*, wyśpiewaną przez nieboszczkę Jakubczak, a w jej miejsce w radiu zaraz pojawił się zmasowany atak reklam. Lucyna zdecydowanym ruchem



wyłączyła odbiornik. Raz – że przeskok nastroju był aż niestosowny. Dwa – nie cierpiała reklam. Były krzykliwe, wyraźnie głośniejsze od całej reszty miłego szmeru radia, poprzedzone denerwującym dzinglem i zdecydowanie za częste. Detoks od telefonu robił jej naprawdę dobrze; nic nie stało na przeszkodzie, żeby zafundować sobie jeszcze detoks od reklam.

W domu zrobiło się cicho. Elwira poszła popływać – tak właśnie się wyraziła, nie: zanurzyć i zaraz wyjść poleżeć na kocu czy pobrodzić przy brzegu. „Popływać, Lucy – powiedziała dobitnie. – Koniec folgowania sobie, marzę o tym, by znowu poczuć swoje mięśnie”. Marzenia te stały w całkowitej sprzeczności z Lusynymi. Mięśnie Lusi wołały raczej o leżak i jagodziankę; próbowała zresztą przestrzec tego morsa w ludzkiej skórze, że po śniadaniu to nader niezdrowo. „Ależ co ja tam zjadłam” – Elwira skwitowała to lekceważącym machnięciem ręką, i to niestety była prawda: mikroowsianka na chudym mleku nie mogła prawdziwie przeszkodzić jej w pływaniu.

Lusia miała jednak mocną wymówkę. Tego ranka zaczęły się dla niej „te dni”. Słynące z obfitości Lusine okresy sprawiały, że przez pięć dni czuła się osłabiona i obolała. Elwira wprawdzie coś tam bąknęła na temat kojącego wpływu zimnej wody, ale chyba tylko dla porządku. Lusia nie miała ochoty nigdzie chodzić. Nie chciała sobie upaprać kostiumu. Ani biegać co chwilę na stronę. Przyjaciółka to rozumiała i dała jej spokój.

Tak, wymówka była doskonała. Szkoda tylko, że bolesna.

Lucyna wytarła do sucha zlew i rozwiesiła szmatkę na uchwycie piekarnika. Po namyśle wsadziła jeszcze palec do doniczki z bazylią, której używały przedwczoraj do sałatki. Sucho – oceniła – więc z szafki nad zlewem wyjęła szklanę, naląła do niej trochę wody i podlała ziółko.

„Równie dobrze mogłam podstawić pod kran doniczkę – pomyślała. – Chociaż co za różnica”.

Przetarła szklanke, odstawiła ją na miejsce, po czym wreszcie przeszła do salonu i klapnęła wygodnie na kanapie.

Cisza brzęczała w uszach.

Lucyna zamyśliła się nad kolejnymi ludzkimi losami. Jak to jest umrzeć w kwiecie wieku, będąc kochaną, podziwianą, u progu, a może nawet u szczytu sławy, w najmniejszym stopniu niczego się nie spodziewając? A może właśnie tak jest najlepiej? Z nagłą? Do ostatka żyjąc pełnią życia...?

Nie, nie. To nie w jej stylu. Ona sama chciałaby odejść metodycznie, dobrze przygotowana, z posprzątanym mieszkaniem, wypisanym testamentem i rozliczonym PIT-em. Jeśli, oczywiście, ktoś pytałby ją o zdanie.

„Co za głupie myśli!” – skarciła się zaraz. I westchnęła.

No głupie, lecz cóż? Czasami usilnie myślimy o czymś, żeby nie myśleć o czymś innym – jakby jednymi myślami można było zasłonić coś innego, jak teatralną dekoracją. Może jednak powinna była iść na plażę? Poleżałaby sobie na kocu, w szortach, zamiast siedzieć tu sama...

„...I co chwilę latałabym na wydmy” – dopowiedziała sobie wnet w myślach kpiąco. Nie, dobrze zrobiła, że została.

W ciszy, która jeszcze przed chwilą była aż świdrująca, naraz dało się słyszeć dziwny, powtarzający się szmerek.

Wstrzymała oddech. Szmer ucichł. Nasłuchiwała jeszcze parę sekund – nic. I nagle znów. Cichutkie gwizdanie.

Poczuła dokładnie, jak to jest, gdy włosy się jeżą ze strachu.

Gwizdanie ucichło. Lucyna spróbowała przełknąć ślinę, ale miała zbyt sucho w gardle.

Zaraz rozległo się znów, tuż przy uchu. Przy obu uszach, wręcz w niej samej. Lucynę oblał zimny pot – i nim lęk zdołał zabrać jej całą

przytomność myślenia, doznała olśnienia.

Gwizdał jej nos. Z każdym wdechem; tak czasami miała, gdy powietrze w przegrodach trafiało na jakiś opór.

„Jestem kretynką – skrzywiła z niesmakiem. – Kretynką i tchórzem – dodała samokrytycznie. – Ale muszę coś zrobić, żeby nie zwariować”.

Rozejrzała się wokół i jej wzrok znów padł na drzwi do przytulnej kuchni.

O, na przykład herbatkę sobie robi. Z róży. Herbata jest dobra na wszystko.

Dźwignęła się z kanapy, przeszła z powrotem do kuchni i naląła do czajnika wody.

„Przyjaźń i bliskość niewątpliwie są wspaniałe – pomyślała. – Jeżeli jednak ktoś nawykł do życia w pojedynkę, to czasem potrzebuje zostać na parę minut sam w całkowitej swobodzie i niezważaniu na niczyją obecność”.

„Jeśli tylko nie jest boidudkiem, który boi się własnego cienia” – dogoniła ją szydercza myśl.

Ot, na przykład teraz – postanowiła jednak nie dać się zbić z tropu – zaparzy herbatę, osłodzi ją, ile będzie chciała, a nawet zje do niej całe pudełko ciasteczek bez wymownych spojrzeń przyjaciółki. A tak! Może mieć zachcianki. Cukier tylko dobrze jej zrobi na to słabowanie.

Woda w czajniku już szumiała, a w dużym białym kubku czekała na wrzątek torebka suszu z dzikiej róży i spory kopczyk sacharozy. Lucyna sięgnęła po ciastka, które na wczorajszych zakupach wrzuciła kompulsywnie do koszyka, i zaczęła odwijać kartonowe pudełko z ciasno opiętego celofanu, kiedy rozległo się pukanie.

Dźwięk był na tyle niespodziewany, że na moment drgnęła – zaraz jednak uśmiechnęła się do siebie.

„He, he, mors wytrzymał w wodzie krócej, niż mu się zdawało!” – pomyślała z nutką złośliwości i wyjęła z szafki drugi kubek. Elwirze bez wątpienia przyda się rozgrzewający napar.

Tymczasem stukot się powtórzył.

Lucyna teatralnie przewróciła oczami.

– Doprawdy, potwornie śmieszne, Elwirko! – mruknęła, wrzuciła drugą torebkę herbaty do drugiego kubka i skierowała się do drzwi. W gruncie rzeczy to jednak fajnie, że Elwira już wróciła. Uśmiechnęła się szeroko i zamaszystym gestem otworzyła drzwi.

I zmartwiała.

W drzwiach stał ze smutną miną nieboszczyk.

„Jest mu smutno, bo musi mnie zabić” – zdążyła pomyśleć Lucyna i osunęła się na ziemię.

\*\*\*

Niebyt był miękki i w gruncie rzeczy dość wygodny. Wiał w nim lekki zefirek, a ciemność zdawała się bezpieczna i otulająca niczym koc. „Ciekawe tylko, dlaczego lecę w pozycji na wznak? – zastanowiła się. – Bardziej naturalnie byłoby chyba grzbietem do góry, jak ptaki? Może z lataniem jest jak z pływaniem: że można i na brzuchu, i na plecach...? – snuła dalsze domysły dusza Lucyny. – Tak czy owak, chyba warto byłoby coś w tych ciemnościach widzieć” – zdecydowała i otworzyła oczy. Rzecz jasna, oczy duszy.

I zaraz gorzko tego pożałowała.

Koszmar trwał. Nieboszczyk o smutnym obliczu miał się w najlepsze i wachlował ją jakąś gazetą.

„Ciekawość to pierwszy stopień do piekła – przypomniało jej się przysłowie. – Trzeba było latać, nie wydziwiać, nie otwierać”.

Niestety, było już za późno.

– Jak się pani czuje? – przemówił z grobową miną nieboszczyk.

„I do tego jeszcze słyszę mowę umarłych – pomyślała Lucyna z rezygnacją, próbując jakoś z powrotem schować się w nieświadomości. – Przeżyłam w spokoju trzydzieści trzy lata życia, nie wiedząc, że jestem medium”.

– Proszę pani... – Z nieboszczyka był jednak niezły natręt. – Czy zechce mi pani wyjaśnić, co się tutaj dzieje?

– Ja?! – zachnęła się w końcu Lucyna. – Ja panu mam wyjaśniać?!? Jak mam właściwie do pana mówić? – stropiła się. – AaaAAA!!! – wrzasnęła nagle, bo wyciągnął bladą rękę, próbując ją dotknąć.

Nieboszczyk cofnął dłoń zmieszany.

– Pani się mnie boi? – spytał jakby z wyrzutem.

– Co w tym dziwnego? Nasze światy... Są oddzielne. I takie powinny pozostać... – Oszłomienie sprawiało, że nie od razu znajdowała odpowiednie słowa. Zwłaszcza że starała się tak je dobierać, by gościa z zaświatów nie urazić ani nie rozjuszyć.

Nieboszczyk westchnął bezradnie.

– Dawno nie mówiłem w tym języku – wyznał – ale czy to możliwe, aby do tego stopnia nic nie rozumieć? Czy może pani mówić jaśniej?

No tak. Wszechwiedząca babcia Lucyny mawiała przecież (skąd ona to wiedziała???), że kontakty z zaświatami takie właśnie są. Oni pod żadnym pozorem nie mogą nam się wygadać, jak tam jest, my – najwyraźniej też niewiele możemy im przekazać...

Lucyna przełknęła ślinę.

– Przecież pan wie, że my nie mamy z tym nic wspólnego! – odezwała się płacząco. – Po co pan w ogóle przychodzi?

– Bo nie mogłem zostać dłużej tam, gdzie byłem dotąd – odparł smutno, choć to nadal niczego nie wyjaśniało.

– Więc stamtąd też mogą wygonić? – zdziwiła się szczerze i współczująco. Empatia może jeszcze nie brała w niej góry nad strachem, rosła jednak, powoli i konsekwentnie, pomału wracając na swą zwykle zajmowaną, znaczną połąć Lusinego serca.

W tym sercu znienacka pojawiło się coś jeszcze. Dotąd Lucyna czy to w literaturze, czy to w filmie pogardzała dziwacznymi dyrdymałami o romansach z wampirami i innymi widziadłami. Teraz wszak, im dłużej przebywała w jednym pomieszczeniu z tym banitą z zaświatów, tym więcej czuła niezdrowej ekscytacji czarnymi, całkiem przytomnymi jak na truposza oczami. Pomieszczeniem, właśnie! Oto bowiem niebyt po bliższych oględzinach okazał się jednak salonem domu przy Morskiej trzy, ona sama zaś leżała na tej samej kanapie, na której wcześniej siedziała, teraz dodatkowo otulona kocem i z podłożonymi pod nogi poduszkami. Dlatego gdy nieboszczyk ponownie wyciągnął ku niej dłoń – ostrożnie, czekając, czy nieboga znów nie zacznie krzyczeć – Lusia nie wrzasnęła, tylko dała mu się pogłaskać po czole, włosach i skroniach.

Dłoń była ciepła.

– Proszę wybaczyć – szepnął nieboszczyk – ale czuję, że pani jest rozwiązaniem tej zagadki. Opowie mi pani od początku, jak było?

„A więc nie dość, że nie żyje i nie wiadomo, po jaką cholerę wrócono go stamtąd, to jeszcze w dodatku cierpi na demencję” – pożałowała go Lusia.

I opowiedziała wszystko od początku.

\*\*\*

Była już zmęczona, ale za nic nie chciała odpuścić. Nie mogła, przecież tu chodzi o jej życie. Jeśli się podda, to już po niej. Zniknie na zawsze, nie

będzie jej. W takich chwilach w człowieku uruchamiają się niezwykle mechanizmy. W obliczu prawdziwego zagrożenia organizm włącza turbodoładowanie, by wszystkimi – ludzkimi i nadludzkimi – siłami przytrzymać się życia. Ona też nie chciała przechodzić na tamtą stronę. Żadnych tuneli, choćby i ze światełkiem na końcu. To światło tu, na ziemi, dziś tak pięknie świecące, było właśnie tym, które chciała jeszcze długo oglądać. Nie, nie da mu się. Zepnie się w sobie i wygra tę walkę.

„Uspokój się, dasz radę – powtarzała sobie w myślach. – Oddychaj spokojnie, nie szarp się. Przeciwnik jest potężny, ale ty przecież jesteś zdrowa, wciąż młoda, sprawna. Uda ci się”.

To byłaby ironia: wyjechać na urlop – wypoczynkowy – i wrócić z niego w plastikowym worku. Albo nie wrócić wcale. To, że ktoś by znalazł ciało, wcale nie jest takie oczywiste. I wtedy po prostu by się rozplynęła w mroku dziejów: była i nie ma. Co by po niej pozostało?

Rany, w cholerę z takimi mrocznymi myślami! W cholerę z taką durną śmiercią!

Była zdrtwiała. Zmęczone ciało odmawiało współpracy. Mięśnie – napięte i bolące – nie chciały się już kurczyć i rozkurczać. Zmusiła je do tego. Metodyczne ruchy, raz-dwa, wbrew wyczerpaniu i bólowi, spokojny oddech. Jeszcze trochę, jeszcze trochę...

Jest! Poczła go – grunt pod nogami! Może stanąć! Wycieńczona, dygocząca, z trudem pokonywała ostatni kawałek dzielący ją od lądu i życia.

Wreszcie – bezwładnie padła na ziemię.

Poczła pod sobą gorące drobinki piasku. Przesunęła po nich dłonią. Przywarły do mokrej skóry.

Leżała, próbując uspokoić oddech.

Żyła, udało się jej.

Co ją, do cholery, podkusiło, żeby się wypuszczać tak daleko? Może rzeczywiście ma skłonność do ryzykownych zachowań? Może potrzebuje adrenaliny, która by nakręcała jej chęć do życia?

Kto normalny wypływa tak daleko w morze? Bez asekuracji, bez żadnego towarzystwa – czy to w wodzie, czy na brzegu.

Elwira.

Pogratulować rozsądku!

Już prawie uspokoiła oddech.

Poleży, pooddycha, da odetchnąć ciału i głowie.

Zmuszone do niecodziennego wysiłku mięśnie jeszcze się trzęsły, jak galaretką zbyt rozcieńczona wodą. O, właśnie, dobrze, że wzięła tę małą butelkę wody. Woda jest dobra na wszystko.

Usiadła. Rozejrzała się dokoła. Niebo nadal było błękitne, słońce żółte, a las zielony. Piach grzał, wiatr lekko wiał. Cudowny świat. Warto dla niego żyć.

Sięgnęła po niebieski plastik. Wypiła całą butelkę wody. Życiodajny płyn dodał jej sił. Wstała. Otrzeпаła się. Wzięła jeszcze kilka głębokich wdechów.

Wróci do domku, do Luśki. Posiedzą sobie razem, pogadają. Po południu, gdy Luśka poczuje się lepiej, pójda na jakiś przyjemny, spokojny spacer. Tak, spokój też bywa dobry. Już czas, żeby odrobinę go zakosztowały.

Rany, co za urlop! Ile tajemnic: odkryć śmierć obcego i otrzeć się o własną. I kto powiedział, że wakacje w kraju to nuda?

Doszła do ogrodzenia ich domku. Poczwała ulgę na widok przytulnego klocuszka z brązowym dachem. Nacisnęła klamkę, furtka cicho się otworzyła. Elwira przeszła ścieżką przez trawnik, wypatrując Lusi. Przyjaciółki nie było ani na leżaku na trawniku, ani przy stoliku na ganku.



Może rzeczywiście źle się czuje i położyła się w sypialni? Dobrze, że Elwira już wróciła. Są sobie potrzebne. Jak to przyjaciółki.

Weszła do środka. O, jak miło. Dawniej wiedziano, jak budować domy – żeby były jak termos: latem zapewniające chłód, zimą – ciepło. Oprócz przyjemnego ożywczego powiewu Elwira poczuła coś jeszcze. Jakiś zapach. Miły. Leśno-cedrowy? Z paczulą? Piżmem? Ewidentnie męski.

Skierowała się do salonu.

Lucyna siedziała na kanapie, tyłem do niej.

„Można by ją okraść i nawet by się nie zorientowała” – pomyślała Elwira. Nagle naszała ją ochota, żeby nastraszyć przyjaciółkę. Taki psikus na odreagowanie stresu. Podeszła na palcach do kanapy i delikatnie puknęła Lucynę w ramię.

– A, to ty! – Lusią się odwróciła, ale wcale nie tak gwałtownie, jakby Elwira się spodziewała. – Co się tak skradasz jak duch?

– No ja. A spodziewałaś się kogoś innego? – Elwira, choć nie do końca zadowolona z efektu psikusa, to szczerze ucieszona widokiem przyjaciółki, klapnęła obok niej na kanapie. – U ciebie już dobrze? Nie uwierzysz, co przeżyłam. Postanowiłam popływać...

I w tym momencie do saloniku wszedł nieboszczyk. Z tacą i dwiema parującymi filiżankami.

Elwira oniemiała. Nie krzyknęła tylko dlatego, że z reguły nie krzyczała. A teraz dodatkowo nie ufała swoim zmysłom. Może to omamy wynikające z potężnego stresu i zmęczenia? Może organizm w ten sposób przerabia traumę?

O dziwo Lusią – ta zawsze płochliwa, bojąca się, piszcząca Lusią – też nie krzyczała. A patrzyła w ten sam punkt co Elwira.

– Lusią, czy ty widzisz, to co ja? – szepnęła Elwira i nerwowo odgarnęła włosy z czoła.

– Znaczy się?

Czyli jednak. Omamy. Ale trzeba jeszcze dopytać.

– Znaczy się... no... nieboszczyka.

– A, nie. Nie.

Uff. Szok minie, zmysły się uspokoją. Może przytrafiło się jej niedotlenienie? W końcu trochę wody się opila, parę razy zalała ją fala.

– Nie, to nie jest nieboszczyk. To Leszek.

Elwira pożałowała, że to jednak nie omamy. Wtedy sprawa byłaby prostsza.

– Lusia, przestań. Co się tu dzieje? – Tym razem Elwira pewniejszym wzrokiem spojrzała na faceta, którego ewidentnie znała: własnoręcznie, na jawie, stwierdziła, że nie żyje, a potem we śnie, też własnoręcznie, go pochowała. Teraz zaś stał w saloniku ich wakacyjnego domku z tacą, jak angielska pokojówka.

Nieboszczyk spojrzał na nią niepewnie, ale po chwili się uśmiechnął. Trzeba było przyznać, że uśmiech miał bardzo ładny. Zjednujący, szczery, a nawet seksowny. Jak na nieżywego, to całkiem nieźle. Zresztą cały prezentował się zadziwiająco atrakcyjnie. Miał na sobie granatowe bawełniane szorty, czerwoną koszulkę polo i beżowe mokasyny. Był trochę blady, to znaczy bledszy niż ostatnim razem, kiedy go widziały, ale patolog pewnie umiałby to wytłumaczyć procesami organicznymi.

– No, to Leszek jest. Mówiłam ci już.

– No mówiłaś, ale to jakiś żart. Mam przecież oczy i widzę, że to... no...

I wtedy nieboszczyk przemówił:

– To może panie sobie tutaj posiedzą, wszystko wyjaśnią, a ja dorobię trzecią herbatę. Dobrze?

Głos miał zdecydowany i aksamitny zarazem. Taki, który zniewala i sprawia, że chce się być jeszcze bardziej zniewolonym. Tak, to był

niezwykle pociągający nieboszczyk.

– Luśka, co się tu dzieje?! Mów! – zażądała stanowczo Elwira, gdy ponownie zostały same w saloniku.

– Powiedziałam ci. To Leszek. Brat Jaromira. Tego, co... no wiesz, naszego nieboszczyka.

– Jak brat? Przecież to ten sam. Podobieństwo jest uderzające. Nawet rodzeństwo nie jest tak podobne do siebie.

– Jest. Bliźnięta są. Zwłaszcza te jednojajowe.

Bliźnięta! Elwirze aż zapało dech w piersiach. Rany, to by mogło mieć sens. Ludzie, którzy się wzięli z jednego jajeczka, rzeczywiście są jak sklonowani. Tyle że to w dalszym ciągu niewiele tłumaczy.

– Ale jak? Skąd on tu? I co z tamtym, to znaczy z nieboszczykiem? Bo to nie jest nasz nieboszczyk, na pewno?

– Na pewno. Nasz jest... No, tam, gdzie był.

Elwirę przeszedł dreszcz. Myśl o zwłokach w szopie, skutecznie wypierana przez ostatnie dni, teraz wróciła z impetem.

– A ten drugi? Znaczy żywy?

Lucyna popatrzyła na nią jak wyrozumiała matka na nierozumiejące dziecko.

– Przyjechał do nieboszczyka. To znaczy do żywego brata. Do Jaromira. Nie mógł go znaleźć i tak trafił tutaj. Do mnie. To znaczy do nas – poprawiała się.

Żywy brat nieżywego brata ponownie zjawił się w salonie. Tym razem z jedną filiżanką, którą postawił na stoliku obok dwóch uprzednio przygotowanych.

– Jezu, rany! Przepraszam, ale ja wciąż nic nie rozumiem. Nie chcę być niemą, zwłaszcza wobec kogoś, kto jest w żałobie, ale co tu się, do cholery, dzieje?!

Lusia i Leszek wymienili spojrzenia. Pierwsza odezwała się Lusia.

– Siądź, Leszku, porozmawiamy.

„Są już na ty, no proszę” – pomyślała Elwira. Sięgnęła po filiżankę. Wzięła łyk mocnej, aromatycznej, sownicie osłodzonej herbaty. Ciepły płyn podziałał na nią ożywczo. Poczowała, że wstępują w nią nowe siły.

– No dobrze. To kto zacznie? – Przejęła pałeczkę, zupełnie jakby była na sesji u siebie w gabinecie. – Może ty, Lucy?

Lucyna odstawiła swoją filiżankę. Kiwnęła głową.

– Więc to było tak. Zostałam w domu, bo miałam ok... określone dolegliwości. – Lekko zażenowana spojrzała na Leszka. – No po prostu nie czułam się najlepiej. Elwira poszła na plażę. O, właśnie, a co tam się stało, bo coś zaczęłaś...

– Potem, Lucy, potem ci powiem. Nic takiego. A teraz bez dygresji.

– Dobra. To Elwira była na plaży, a ja tutaj, w domku. Robiłam sobie herbatę, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. Myślałam, że to ty, Elwira. I że się wygłupiasz, to znaczy chcesz mnie nastraszyć.

– Ja? Cóż, to możliwe. – Elwira przypomniała sobie skradanie się ku kanapie.

– Tak właśnie pomyślałam. Kiedy pukanie się powtórzyło, zostawiłam tę herbatę i poszłam do drzwi, żeby ci powiedzieć, że masz się nie wygłupiać i że wcale się nie boję. Otworzyłam i zobaczyłam... Leszka. Skąd mogłam wiedzieć, że was jest dwóch? – Spojrzała przepaszająco na ich gościa i delikatnie się uśmiechnęła.

Żywy bliźniak odwzajemnił uśmiech.

– I? – zniecierpliwiała się Elwira. To spoglądanie na siebie trwało odrobinę za długo.

– I zemdlałam – zakończyła konkretem Lucyna. – Każdy by zemdlał, gdyby otworzył nieboszczykowi drzwi – dodała usprawiedliwiająco. – No,

może poza tobą – przyznała jeszcze. – A potem się ocknęłam, już na kanapie.

„Znaczy przeniósł ją” – pomyślała Elwira. Wyobraziła sobie przelewającą się przez dłonie apetyczną Lusię w mocnych ramionach Leszka. Przyczyna tych uśmiechów zaczynała być jasna.

– Leszek mnie przykrył kocem, uniósł nogi, wszystko jak trzeba.

– Mam zrobione szkolenie z podstawowej pomocy – wtrącił subtelnie Leszek.

– Kiedy już całkiem doszłam do siebie, a Leszek wciąż tu był, uznałam, że nie ma co dłużej chować głowy w piasek i trzeba sobie wszystko wyjaśnić. To znaczy powiedzieć o tym, czego nie zrobiliśmy, i o tym, co zrobiliśmy. Żeby dusza zaznała spokoju i nas nie nękała. Bo wtedy jeszcze – Lusia się spłoniła – byłam przekonana, że przyszedł do nas nasz nieboszczyk.

Leszek pokiwał głową.

– Opowiedziałam wszystko: o tym, jak zaplanowałyśmy wakacje, jak szukałyśmy domku i znalazłyśmy ten uroczy. I że trochę się zagadałyśmy w pociągu, przez co pomyliłyśmy Juratę z Jastarnią. I numer jeden z trzy. No i jeszcze o szukaniu leżaków, otwarciu szopy i znalezieniu nie... Jaromira. Wyjaśniłam też, dlaczego nie poszłyśmy na policję.

Leszek ponownie pokiwał głową, co trochę zdziwiło Elwirę. Ten punkt opowieści miał najslabszą argumentację. Zwykli obywatele jednak zgłaszają znalezione zwłoki.

– A potem jeszcze opowiedziałam, jak widywałyśmy Jaromira w różnych miejscach. To znaczy, jak nam się wydawało, że go widzimy, a potem już wcale nie byłyśmy pewne, czy to był on. I wiesz co, Elwira? Okazuje się, że to jednak był on – obwieściła triumfalnie Lusia. – To znaczy nie Jaromir, ale Leszek. Wszędzie był: przy komisariacie. Na rybce w barze. Na

spotkaniu z autorkami w namiocie. Wszędzie tam był! A nam się wydawało, że to nieboszczyk. Ale numer, co?!

Tym razem to Elwira pokiwała głową. Rzeczywiście, numer był. Takie historie zdarzają się wyłącznie w szalonych komediach pomyłek. Właściwie u nich tylko pomyłki się zgadzają. Co do komedii, bywało różnie. Ta historia raczej przypominała opowieść z dreszczykiem. Thriller może nawet.

– To już rozumiem – powiedziała powoli. – Rzeczywiście, rozjaśniło mi się w głowie. W jednej trzeciej.

– W jednej trzeciej? – Nie zrozumiała Lusia.

– Tak. Bo wciąż nie wiemy, co się przytrafiło Jaromirowi. I skąd się tu wziął Leszek. To znaczy pan. – Zawiesiła badawczy wzrok na mężczyźnie. – Bardzo bym chciała usłyszeć teraz drugą brakującą część.

Leszek westchnął głęboko.

– Dom na Morskiej jeden był naszym domem rodzinnym. Tata zmarł, gdy byliśmy mali, mama wychowywała nas sama. My z Jarkiem zajmowaliśmy pokoiki na górze, mama władała dołem. Zwłaszcza że po śmierci taty... Cóż, ludzie różnie odreagowują stres. Mama zamknęła się w sobie i jadła. Jadła tak dużo, że niebawem wąskie, strome schody na piętro stały się dla niej przeszkodą nie do pokonania. Podobnie jak – Leszek znów westchnął smutno – kontakt z nami. Nie była typem ciepłej, serdecznej kobiety. Z naszego domu pamiętam głównie ciszę. My mieliśmy być cicho, u niej na dole było cicho. Nigdzie razem nie wychodziliśmy ani nie robiliśmy niczego specjalnie ciekawego. Owszem, dbała o to, byśmy mieli co jeść i w co się ubrać, nigdy jednak nie wnikała w to, co czujemy, czego się boimy, w nasze potrzeby emocjonalne.

– Katastrofa – skwitowała krótko Elwira.

– Tak – przyznał Leszek. – W domach naszych kolegów było inaczej. Weselej, głośniej. A u nas nie. Brak tych dobrych wzorców spowodował, że nie tylko nie potrafiliśmy się z bratem dogadać między sobą, lecz także mieliśmy problemy z zadzierzgnięciem jakichś przyjaźni zewnętrznych. Oraz z dziewczynami.

Elwira ze zrozumieniem pokiwała głową. Prosty, smutny schemat.

– Mama umarła, kiedy mieliśmy po dziewiętnaście lat. Mogłoby się wydawać, że po jej śmierci coś się zmieni, na przykład zbliżymy się do siebie z Jarkiem. Albo się poženimy. Albo dom stanie się bardziej otwarty. Niestety, i to nam nie wyszło. Chyba byliśmy bardzo drętwyimi chłopakami. Uważano nas za odludków i dziwaków. W dodatku musieliśmy szybko zacząć się sami utrzymywać. Jarek zdecydował się wtedy otworzyć zakład szewski, ja musiałem wymyślić coś innego. Rozumiecie, na Mierzei nie ma wielu stałych mieszkańców, nie utrzymalibyśmy się z tego we dwóch... toteż ja zaczęłam się na promach relacji Gdańsk–Sztokholm, potem także Świnoujście–Ystad, jako chłopak do wszystkiego. Oddalaliśmy się od siebie nie tylko przestrzennie, także uczuciowo. Nigdy nie byliśmy typowymi bliźniakami, takimi, co to jeden za drugim wskoczyłby w ogień albo jeden czuje, kiedy u drugiego źle się dzieje. Nic z tych rzeczy. No, może ostatnio? – Leszek się zastanowił. – Od paru tygodni czuję w swoim życiu przejmującą, lodowatą pustkę. Myślałem, że to dlatego, że ostatnio wszystko się u mnie zawaliło, ale może to również śmierć brata?

Lucyna patrzyła ze smutkiem, jak ten przystojny mężczyzna pochyla się nad stołem, jakby przygniatał go wielki ciężar. Jeśli jego cera wydawała im się dotąd blada, to teraz stała się wręcz niezdrowo poszarzała.

„Może jest śmiertelnie chory?” – pomyślała stroskana Lucyna.

– On wciąż tam leży, prawda? – spytał cicho Leszek, choć był prawie pewien odpowiedzi.

– Prawda – szepnęła Lusia i zrobiło jej się piekielnie wstyd. Jak mogły tak zostawić zmarłego człowieka w imię jakichś swoich głupich obaw i urojeń?! Zachowały się skandalicznie. Czuła, że pąsowieje.

Elwira pokiwała tylko głową, też z niespecjalnie dumną miną.

Leszek potarł dłońmi czoło jak ktoś bardzo, bardzo zmęczony.

– Będziemy musieli... To znaczy ja będę musiał. Się tym zająć – dokończył z wyraźnym trudem. – Za jednym zamachem zgłoszę na policję dwie sprawy – dodał jakby do siebie.

„Czyli nas oskarży – dopowiedziała sobie w myślach Elwira. – Co ma wisieć, nie utonie”.

Przez chwilę cała trójka siedziała w posepnym milczeniu, każde zatopione w swoich myślach. Elwira poczuła, że nie zniesie dłużej tego przytłoczenia.

– A co teraz robisz? Nadal pływasz na promach? – zapytała więc, jakby zarzucała ku tonącemu Leszkowi pętlę z liny. Podobnie robiła ze swymi pacjentami. Gdy ktoś na zbyt długo pogrążał się w zamyśleniu lub zbaczał w stronę jakichś nieistotnych dygresji, zadawała pytanie, by skierować uwagę z powrotem na główny tor, meritum – i w ten sposób pomóc rozmówcy wziąć się w garść.

Niestety, tym razem próba pomocy kompletnie zawiodła: pętla z liny zdawała się nie ratować tonącego, a zaciskać na jego szyi. Leszek wyglądał na jeszcze bardziej rozsypanego niż przed chwilą.

– Teraz? – powtórzył gorzko. – Teraz nie robię nic. Jestem kompletnym bankrutem.

I bez żadnego ostrzeżenia bezradnie się rozpłakał.

Widok szlochającego mężczyzny zupełnie zbił je z tropu. Lucyna sięgnęła na komodę po pudełko chusteczek, przestawiła je na stół i lekko pchnęła w stronę Leszka. Wyszarpnął z niego kilka arkusików, przyłożył je



do twarzy, po paru sekundach zdjął i zmiął je w kulkę. Nabrał głęboko powietrza i upił duży łyk herbaty.

– Przepraszam was, ale prawda wypowiedziana głośno działa zupełnie inaczej niż myśl. Dotąd nikomu o tym nie mówiłem. Nawet sobie, na głos. – Rozwinął kulkę i jeszcze raz przetarł nią nos i policzki. – Właściwie mogę wam wszystko opowiedzieć – rzekł już bardziej opanowanym głosem. – Dalsze utrzymywanie jakichkolwiek sekretów przestaje już mieć sens. Od dwunastu lat mieszkam w Szwecji. Mieszkałem... – poprawił się w zadumie. – Muszę się chyba przyzwyczać do czasu przeszłego... – dodał z żalem i na chwilę znów się zaciął. – Imałem się różnych prac, w końcu założyłem własną firmę. Tapicerską, meblarską. Szło mi nieźle, no, może powiedzmy sobie, nieźle jak na moje wymagania. Nie miałem rodziny, żadnych zobowiązań, utrzymywałem tylko siebie. Starczało na zwykłe życie; dwa razy w roku, na święta, widywałem się z Jarkiem. Rok temu do mojego zakładu przyszedł pewien facet. Polak, miał na imię Bernard. Pochwalił moją robotę, widać było, że zna się na rzeczy. Twierdził, że w Polsce prowadził podobny biznes. Potem przyszedł znów i znów; można powiedzieć, że zaczęliśmy się kumpłować. Od słowa do słowa, roztoczył przede mną wizję przekształcenia mojego małego zakładu w dużą spółkę, oczywiście z nim. Mieliśmy produkować wyposażenie promów – głównie fotele. On miał w rękach dwa atuty: rynek zbytu, przez znajomości z facetem produkującym promy, oraz pomysł na pozyskanie kapitału. W Szwecji, podobnie jak w Polsce, są specjalne fundusze na rozwój firm. Bernard miał zająć się napisaniem wniosków, tak aby dostać te granty, a ja, na swój wkład własny, musiałem wziąć kredyt. Ogromny. Na firmę, która nominalnie była jeszcze wtedy tylko moja... – Leszek pokręcił głową, jakby trudno mu było uwierzyć, że naprawdę to zrobił. – Wspólnik...

pseudowspólnik przekonywał mnie, że w pojedynkę mam szansę na większą dotację.

– To wszystko znowu pachnie katastrofą – zauważyła z przyganą Elwira.

– Ba... Mądry Polak po szkodzie – zacytował Leszek.

– Mądry mógł być i przed szkodą. Tylko przez trudne dzieciństwo i emocjonalne zaniedbanie dojmująco brakowało mu kompetencji miękkich

– orzekła specjalistka. – Czyli społecznych. Nosa. Wyczucia niebezpieczeństwa.

– To wszystko prawda. – Leszek przyjął diagnozę ze smutkiem. – Bank szwedzki nie przyznał mi kwoty potrzebnej na rozruch. Tymczasem mój wciąż niedoszły wspólnik przedstawił mi niebotyczny kontrakt z fabryką promów. Wyglądał wspaniale: korzystnie i obiecująco. Potrzebny był tylko kapitał, by móc szybko wystartować z produkcją... Wtedy Bernard wskazał mi pewną lukę w międzynarodowym systemie informacji kredytowej, która dawała mi możliwość wzięcia kredytu także w Polsce. Dużego, dość łatwego w przyznaniu, za to koszmarnie oprocentowanego.

– Z którego skorzystałeś – podsunęła złowieszczo Elwira.

– Skwapliwie – przytaknął smętnie Leszek.

– I wtedy... – Znawczyni życia Elwira właściwie już mogła sama dokończyć tę historię. Dokończył jednak Leszek:

– Czar prysł. Bernard także. A wraz z nim wszystkie pieniądze.

Lusia przez chwilę coś rozważała – wreszcie głośno podzieliła się wątpliwościami.

– Jedno mnie w tej opowieści nurtuje – powiedziała z wahaniem. – Jeśli wolno spytać: czemu właściwie połamomłeś się na te wizje wielkiej firmy i wielkich pieniędzy? Przecież sam mówiłeś, że tamten poziom życia zupełnie ci wystarczał.

Leszek popatrzył w dobre, życzliwe oczy Lucyny, jakby zastanawiając się, jak jej to najlepiej wyjaśnić.

– Poziom tak. Ale jakoś nie – rzekł w końcu. – Widzicie, przez te wszystkie lata byłem sam. Nie miałem dziewczyny, żony, dzieci, bliskich przyjaciół. Nawet jakichś ekstrawaganckich marzeń też nie miałem... Robiłem przyzwoicie to, co do mnie należało, ale nigdy nie dokonałem niczego wielkiego. I powoli traciłem wiarę, że kiedykolwiek się to uda, na jakimkolwiek polu. Chyba nawet nie uświadamiałem sobie, jak bardzo jestem sfrustrowany, póki nie zjawił się Bernard. Ta wizja rozwoju, którą przede mną roztoczył, nadawała trochę sensu mojej egzystencji. Możecie się śmiać, ale roiłem sobie, że zatrudnię pracowników, będę dla nich dobrym i sprawiedliwym szefem; że moja firma będzie po skandynawsku ekologiczna, rzetelna, część zysków będziemy przekazywać na cele dobroczynne, bo przecież moje potrzeby wcale się nie zmieniają... Że zostawię po sobie coś dobrego. Trwałą wartość. Nie dla bliskich, ale dla społeczeństwa, które mnie, emigranta, tak gościnnie przyjęło. Wiem, brzmi jak skrajne frajerstwo – zakończył samokrytycznie.

Przez grzeczność nie zaprzeczyły.

– A teraz jestem spalony na wszystkich frontach – podjął znowu. – W Szwecji mam już na głowie nie tylko komornika, lecz także list gończy za malwersacje finansowe, bo ten nieszczelny system informacji o kredytach okazał się jednak nie tak zły, jak utrzymywał Bernard, i już wiedzę o kredycie w Polsce. Vice versa też, oczywiście. Do tego doliczcie kary umowne od producenta promów za niewywiązanie się z umowy. –

Jestem skończony – podsumował. – Boję się używać telefonu, sprawdzać maili. Lada chwila policja mnie namierzy i na długie lata wsadzi do więzienia.

Lusia siedziała odrętwiała. Znów, jak rankiem, przy okazji audycji o zmarłej piosenkarce, pomyślała, jak porażająco łatwo można zniszczyć komuś lub sobie życie.

Elwira pragnęła zamknięcia wszystkich wątków tej historii.

– Przyjechałeś zatem do Polski – podsunęła więc pomocniczo.

– Przyplłynąłem – sprostował Leszek. – Równo tydzień temu. Wróciłem najpierw w odruchu ucieczki, już na promie uświadomiłem sobie jednak, że od moich problemów nie da się uciec. Powziąłem decyzję, że zaraz po przyjechaniu tutaj sam zgłoszę się na policję. Mimo wszystko w Polsce byłoby mi łatwiej to wszystko wyłuszczyć. I właśnie wtedy widziałyście mnie po raz pierwszy.

Lucynę olśniło.

– Och, Boże! No pewnie! To było tego dnia, kiedy znalazłyśmy twojego brata! Stałeś przed komisariatem i dawałeś nam znaki, byśmy sobie poszły!

– Nie dawałem wam żadnych znaków – zaprzeczył Leszek. – Biłem się z myślami, mamrotałem do siebie, prawdopodobnie wyglądałem jak wariat. Potem zobaczyłem was i po waszych zachowaniu, gapieniu się na mnie domyśliłem się, że jesteście znajomymi mojego brata. Więc pomachałem do was na powitanie.

– I zapamiętałeś nas? Że my to my? – spytała podejrzliwie Elwira.

– Och, trudno was nie zapamiętać! Jesteście... bardzo charakterystyczne.

– To znaczy? – Elwira lubiła konkrety.

– Piękne, żywiołowe... Tak w każdym razie wyglądałyście wtedy – jedyne spacerowiczki w ten paskudny deszczowy dzień. Jakby targały wami wielkie emocje.

– Targały nami wielkie emocje! – zgodziła się Lucyna. – Szok, strach, rozterka, co robić z naszym świeżo odkrytym... znaleziskiem... Wzięłyśmy

cię za... no cóż, za zjawę. A twoje kręcenie głową odebrałyśmy jako wskazówki, żebyśmy nie zgłaszały sprawy na policję!

– Potem widywałyśmy cię jeszcze parę razy.

– A ja was. Kręciłem się po okolicy. Żegnałem stare kąty.

– Dlaczego nie zatrzymałeś się u brata?

– Wstydzilem się – wyznał Leszek. – Wynająłem sobie pokój w pensjonacie w Kuźnicy i usiłowałem wymyślić dobre rozwiązanie. Niestety, nic nie wymyśliłem. Szwendałem się i godziłem ze swoim losem. W końcu uznałem, że muszę się spotkać z Jarkiem, choćby po to, żeby się z nim pożegnać, zanim mnie zamkną. Dom rodzinny wywołuje we mnie dreszcze, złe wspomnienia. Najpierw pojechałem więc do zakładu do Władysławowa. Wydawało mi się, że na neutralnym gruncie łatwiej nam będzie pogadać. Tam znalazłem kartkę o jego chorobie.

– To nasza sprawka... – wyznała Lusja ze skrucą.

Leszek popatrzył na nią nieodgadzionym wzrokiem, więc znów się zaczerwieniła.

– Zmartwiłem się, co to za choroba. Parę razy do niego dzwoniłem. Nie odbierał. W końcu wczoraj wieczorem poszedłem do niego do domu.

Na samo wspomnienie domu i jego mrocznej tajemnicy Lucyna mimowolnie zadrżała.

– Dom stał pusty, otwarty... To było niepokojące. W pralce znalazłem jakąś kolorową kobiecą chustę, a przecież wiedziałem, że Jarek nikogo nie miał...

– Moje pareo! – wykrzyknęła Elwira. – Nakrywałyśmy nim stół w ogrodzie, aż wiatr rozlał na nie kawę, więc wrzuciłam je do pralki. Kompletnie zapomniałam, że tam zostało.

– ...A w jednej z szuflad w kredensie dwie komórki w babskich nakładkach z błyskotkami – dokończył Leszek. – I to już mnie mocno

zaniepokoiło. Najpierw nigdy nie miał nikogo, a potem dwie kobiety naraz? I jeszcze te kobiety zostawiły u niego swoje telefony? Po co??

– O cholera... – Elwira z niedowierzaniem pokręciła głową. – Widzisz, Luśka? Nie jesteśmy tak dobre w zacieraniu śladów, jak się nam wydawało.

– Za to detoks się udał pierwsza klasa – zauważyła Luśka. – Aż dotąd się nie zorientowałam, że nie mam telefonu – stwierdziła zdumiona.

– Ja też nie – zgodziła się Elwira.

– Detoks...? – Nie zrozumiał Leszek.

– Nieważne. Mów, co dalej!

– Dalej już wiecie. Przespałem się w moim dawnym pokoju, dziwiąc się dalej – bo łóżko wyglądało na używane: powleczone pościel i tak dalej – a rano przyszedłem tutaj, by rozpytać najbliższych sąsiadów o brata.

– I dowiedziałeś się więcej, niżbyś chciał. – Elwira popatrzyła nań ze współczuciem. Facet był przegrany na całej linii.

Leszek bez słowa pokiwał głową.

Przez parę chwil milczeli, nie znajdując odpowiednich słów. W końcu Leszek potarł dłońmi czoło, westchnął i powoli dźwignął się z krzesła.

„Taak... – utwierdziła się w diagnozie Elwira. – Przegrany na całej linii. Jego mowa ciała dosłownie o tym krzyczy”.

– Cóż – odezwał się cicho. – Teraz, kiedy wszystko już wiem... Muszę tam do niego iść. Pójdziecie ze mną po swoje rzeczy?

Wymieniły spojrzenia, co było oczywistym odpowiednikiem bezgłośnej, błyskawicznej narady.

– Jasne – wyraziła uzgodnione stanowisko Elwira. – Chodźmy.

\*\*\*

Przejście z Morskiej trzy w Juracie na Morską jeden w Jastarni trwało wyjątkowo długo. Troje powiązanych ze sobą przedziwnym spłotem

wydarzeń osób powoli szło w milczeniu piaszczystą ścieżką przez las.

„Czy my się nie wplątujemy w coś jeszcze gorszego?” – myślała Elwira. Choć, jakby się zastanowić, niewiele dodatkowego złego mogłoby się im przydarzyć. Jaromir już nie żył. Leszek zamierzał zgłosić ten fakt na policję. Zatem wyrok na nie nieodwołalnie zapadł. Nie wywiną się od odpowiedzi, tłumaczeń, przesłuchań. I niechby się tylko na tym skończyło. Tak czy owak, przyjemne to nie będzie, więc wszystko – a zatem i ponowna wizyta w tym przeklętym domu – co oddała ten moment, jest dobre. „Logika i opanowanie” – podsumowała w myślach Elwira.

„Biedny Leszek” – myślała Lucyna. Można opowiadać różne złe rzeczy o rodzinie. O tym, że poza więzami krwi już niewiele ich łączy. Że się różnią, że się nie rozumieją. I to wszystko nawet może być prawdą, ale wyłącznie wtedy, kiedy życie się toczy zwyczajnym torem. Gdy przytrafia się coś dramatycznego – a śmierć wśród wydarzeń dramatycznych to zdecydowany lider, wyprzedzający zdecydowanie kolejny punkt z listy – te wszystkie sprawy nie mają już znaczenia. Wtedy zaczynają działać geny. W człowieku budzą się silne emocje, poczucie wspólnoty krwi, przynależności do jednego stada. Leszek musi teraz cierpieć. Nie dość, że wszystko mu się w życiu posypało, to jeszcze ostatnia deska ratunku, ten promyk nadziei pod postacią brata bliźniaka – zniknął.

Lucyna była jedynaczką i zawsze cierpiała z tego powodu. Własny pokój, niepodzielna uwaga rodziców, bycie w centrum zainteresowania – to wszystko było miłe, ale nie rekompensowało braku brata albo siostry. Ból wynikający z braku rodzeństwa był jednak z pewnością nieporównywalny z bólem po jego stracie. Biedny, bardzo biedny Leszek. Czuła do tego mężczyzny jakąś trudną do wytłumaczenia sympatię. No bo tak na rozum: bez dobrych wzorców rodzinnych, samotnik, nierozważny, ścigany przez policję – znaczy się chodząca katastrofa, lepiej omijać. U Lucyny rozum

jednak odpuścić; przed niego wepchnęły się emocje, które podszeptowały jej coś całkiem odwrotnego: zainteresuj się nim. Lucyna próbowała zdusić te podszepty, bo zawsze uważała, że w bliższe związki można wchodzić tylko z poważnymi, normalnymi mężczyznami. Ponieważ jednak takie próby zawsze do tej pory paliły na panewce, to właściwie czemu nie zachować się choć raz inaczej?

„Sądziłem, że już nic nie jest w stanie mnie zdziwić i poruszyć” – myślał Leszek. Ostatnie tygodnie to był istny rollercoaster emocji. Niedowierzenie, złość, lęk. Miotanie się i gorączkowe zastanawianie, co dalej. Pogodzenie się z oszustwem, porażką. Zaakceptowanie smutnej doli przyszłego życia: procesu, wyroku i więzienia. Albo spłacania długu aż do śmierci. I nagle w tę studnię nieszczęść bez dna wpada kolejny kamyczek – utrata brata. Wydawałoby się – gwóźdź do trumny. Ale... Spotkanie z Lucyną było jasną plamą na tle szarej, czarnej już właściwej rzeczywistości. Jest w tej dziewczynie jakiś spokój. Taka... prostota. Miękość. Naturalność. Ta druga to rzeczowość i konkret. Obie chyba uczciwe. Choć trochę postrzelone. Ale w tym całym zamieszaniu cieszył się, że z kolejnym trudnym punktem w życiorysie nie musi się mierzyć sam.

W milczeniu doszli na Morską jeden.

– No to jesteśmy – obwieściła Elwira, żeby przerwać ciszę. – To co robimy?

– Jaromir jest w... tam? – Leszek wyciągnął rękę w kierunku rogu działki, gdzie zza budynku wystawał fragment drewnianej ściany szopy.

– Tak – potwierdziła Elwira.

– Chodźmy. – Mężczyzna nacisnął klamkę furtki.

Szorstki zgrzyt przeciął powietrze. Cała trójka się wzdrygnęła. Noga za nogą, jak skazańcy, przesuwali się w kierunku szopy.



Nic się tu chyba nie zmieniło od ich ostatniej wizyty. Skobel był założony, drzwi zamknięte.

Leszek podszedł bliżej. Pociągnął metalowe ucho kłódki. Ani drgnęło.

– Mówiłyście, że brat nie zamykał niczego? – zdziwił się Leszek.

– Nie zamykał. Zapomniałam, że zatrzasnęłam tę kłódkę, kiedy byliśmy tu ostatni raz. – Napotkawszy zdziwione spojrzenie Leszka, wyjaśniła: – Żebyś nas nie nawiedzał. Znaczący, żeby on nas nie nawiedzał. I klucz mam w domu. Ale na pewno był gdzieś drugi, widziałam.

– Jaromir chyba niczego nie wyrzucał, wszystko zbierał. Przy okazji możesz przejrzeć pamiątki po nim – dodała Lusja.

Całą trójka sprawiała wrażenie zadowolonej z takiego obrotu sprawy. Każdy odwleczony kwadrans chronił przed przykrą przyszłością.

Drzwi wejściowe były otwarte. W środku panowała cisza. Dziewczyny wąskim korytarzem poszły w kierunku kuchni. Leszek za nimi. Na krzasiastym obrusie przykrywającym stół leżały ich komórki.

– Wyjąłem i już zapomniałem schować do szuflady – wyjaśnił Leszek.

– Cóż, mistrzyniami maskowania przestępstw nie jesteśmy – westchnęła Lucyna. – W zakładzie wszystko wyczyściliśmy, a o telefonach w domu zapomnieliśmy.

– Niedopatrzenie. Niewybaczalne – potwierdziła Elwira. – Co mi uświadamia, że nawet ja się mogę czasem pomylić.

– Każdy może. – Twarz Lucyny delikatnie pojaśniała. Ten uśmiech był przeznaczony dla Leszka.

– Dobra, szukamy. – Elwira bezceremonialnie przerwała tę prawie romantyczną chwilę.

W szufladach, w szafkach, na półce nad stołem, na listwie z haczykami za drzwiami – klucza do szopy nigdzie nie było.

– To może w barku w pokoju? – podsunęła Lucyna.

Elwira uznała, że faktycznie, chyba tam był ten komplet, i zmienili lokalizację.

Poszukiwania sprawniej szły dziewczynom. Po prostu otwierały kolejne schowki i po chwili kręciły głowami. Leszek dłużej się zatrzymywał przy każdej szufladzie. Brał do ręki różne przedmioty, dotykał je, podnosił, oglądał.

– Tyle wspomnień – powiedział cicho. – Tego noża do papieru używał nasz ojciec. – Wyciągnął w ich kierunku stalowe ostrze z kościaną rączką. – A tymi kartami ogrywaliśmy kolegów w szkole. – Przejechał palcem po zniszczonym tekturowym opakowaniu.

– Tak... – Rozumiejąco pokiwała głową Lucyna. – Nie spiesz się z przeglądaniem. Może to ostatnie chwile takiego spokoju.

Leszek zrobił zbolaną minę. Otworzył trzymany w ręku nieduży album w plastikowych okładkach. W pokoju było dość mroczno, więc podszedł do okna.

– Rany! – rozległo się po chwili spod firanki.

– Co? – odpowiedział mu zgodny duet z głębi pokoju.

– Nie ruszajcie się! – syknął ostrzegawczo. – Przy furtce ktoś stoi.

– Policja – wyrwało się Lusi zduszonym głosem.

– Kryj się! – zakomenderowała stanowczo Elwira.

– Nie... jakaś kobieta – informował na bieżąco Leszek. – Niewysoka, dość obfita, w kolorowej sukience i kapeluszu jak UFO. Ja chyba już gdzieś ją widziałem... Nie mogę się kryć, bo mnie zobaczyła. Macha do mnie.

W pokoju zapanowała nagła i nieprzyjemna cisza. Takiego scenariusza nie rozważyli. Kto mógł przyjść do brata odludka? I co mu teraz powiedzieć? Udawać, że nikogo nie ma, już się nie da. Najwyraźniej los postanowił obwieścić światu ich tajemnicę wcześniej, niż to planowali.

Tymczasem damska postać już minęła furtkę i lekko sunęła po ścieżce w kierunku drzwi wejściowych.

Po chwili rozległo się delikatne, ale energiczne pukanie.

– I co teraz? – szepnął Leszek bezradnie.

– Nic. Otwórz, powiedz, że Jaromira nie ma, jest w szpitalu i już. Przecież i tak niedługo zrelacjonujesz wszystko policji – poradziła Elwira. – Nie ma co tego przedłużać.

Leszek kiwnął głową i poszedł do przedpokoju.

Skrzypnęły drzwi.

– Panie Jaromirku! – rozległ się śpiewny głos. – Nareszcie! Bo już się martwiłam.

Lucyna i Elwira, zeszywniałe z napięcia, usztywniły się jeszcze bardziej.

– No... tak – odpowiedział głosowi Leszek. Mniej śpiewnie. I mniej pewnie.

– Przeczytałam tę kartkę na sklepie i zimny pot mnie oblał. Takie nieszczęście, myślę sobie. Choroba to zawsze pech. Zaczyna się niewinnie, jakiś katar, kaszelek, a potem, nim człowiek się obejrzy, to szpital, udar, rak czy co tam złego. Przecież pan nigdy nie choruje! Okaz zdrowia, można powiedzieć. Więc skoro już się pan urlopował, to znaczy, że sprawa jest poważna. Lęk o pana nie dawał mi spokoju!

– To miło – przytaknął Leszek.

– Oczywiście, że miło – zgodził się głos. – Znamy się już tak długo. Ile to będzie? Już jedenaście, nie dwanaście! Dwanaście lat tak pięknie zajmuje się pan naszą teatralną garderobą... A teraz pilnie potrzebuję tych butów, bo mamy występy w ramach plenerowego lata teatralnego.

Lucyna i Elwira spojrzały na siebie w nagłym olśnieniu – Szablowska!

– Ach, buty. No tak, oczywiście – zgodził się Leszek. Jego głos brzmiał już trochę pewniej.

– Oczywiście zrobione, panie Jaromirku?

– Prawie.

– Prawie?

– Nieoczekiwana trudność. Okazało się, że brakuje jednej części. To znaczy elementu...

– Wiedziałam! Tego atlasu na obcas?

– Właśnie! Atlasu – ucieszył się Leszek. – Nigdzie go nie mogę dostać.

– Pech, no pech prawdziwy. To może ja wezmę te buty i zawiozę do Gdyni? Bez urazy, oczywiście. Bardzo cenię pański warsztat, ale czas nagli, a pan jeszcze w tej chorobie – bo coś rzeczywiście nie najlepiej pan wygląda, wymizerowany taki, biedniutki – no to wyjątkowo pana zdradzę.

– Perlisty śmiech diwy doleciał aż do saloniku.

– Nie! – zaprotestował Leszek. Chyba nazbyt gwałtownie, bo śmiech ucichł, jak nożem uciął.

– Nie? A czemu nie?

– Bo... bo... ja już sam zawiożem. Wysłałem nawet. Do Kołobrzegu.

– A co jest w Kołobrzegu?

– Szewc. Doskonały. Stary fachowiec, przyjaciel naszego taty. Obiecał pomóc.

– Och! Ale pan jest kochany, panie Jaromirku. Mistrz po prostu. Tak dbać o klientów! – Szablowska zapięła ze wzruszenia. – A kiedy będą gotowe? – zapytała po chwili już całkiem normalnym i konkretnym głosem.

– W przyszłym tygodniu. I zakład też już będzie czynny. Zapraszam.

– To fantastycznie. Wprost cudownie! Dziękuję, mistrzu!

Lucyna i Elwira usłyszały jeszcze donośne „pa, pa” i po chwili drzwi stuknęły o futrynę, zamykając się za nieoczekiwaną klientką.

Lusia na palcach, w lekkim przykucu, przesunęła się w kierunku okna. Kolorowa plama materiału opinająca ponętą sylwetkę minęła już furtkę

i teraz przesuwiała się ścieżką w kierunku stacji. Gdy zniknęła za zakrętem, Lucyna podniosła się i oznajmiła:

– Poszła.

– Muszę przyznać, że całkiem zgrabnie z tego wybrnąłeś. – Elwira z uznaniem spojrzała na Leszka, który pojawił się w pokoju.

– Jejku, wy naprawdę byliście do siebie bardzo podobni, skoro Szablowska się nie skapnęła. – Lucyna nie kryła emocji. – Niezwykłe!

– Owszem – zgodził się Leszek. – W szkole nikt nas nie potrafił rozróżnić. Czasem nawet udawało nam się wkręcić mamę.

– I teraz doświadczenia procentują – podsumowała Elwira. – Jestem pod wrażeniem twojego opanowania. Zimna krew, nie ma co.

Leszek smutno pokiwał głową.

– Właściwie w porównaniu z tym wszystkim, co mi się ostatnio przytrafiło, to ta rozmowa była jak bułka z masłem. Zwyczajna pogawędka z klientką. Nietypową, przyznaję, ale nawet miłą. – Leszek na chwilę zamilkł, jakby się nad czymś namyślał. – Parę lat temu zrobiłbym wszystko, żeby się stąd, z tego miejsca, z tego życia wyrwać. A teraz, dla odmiany, oddałbym wszystko, żeby móc tu być. Żeby wykasować ten niedobry czas, wrócić do punktu wyjścia. Nawet szewcem mógłbym być, jak Jaro...

W pokoju zapadła cisza.

„A to akurat może dałoby się zrobić” – pomyślała Elwira.

\*\*\*

– No to teraz już nie ma na co czekać. – Leszek wyposażony przez dziewczyny w klucz i latarkę szykował się na ostatnie spotkanie z bratem.

– Może ewentualnie weź jeszcze jakąś maseczkę? – wysunęła ostrożnie Lucyna.

Mężczyzna posłał jej pytające spojrzenie.

– Nno... – Bardzo nie chciała go urazić. – Nie wiemy dokładnie, kiedy umarł. Klimat w szopie wprowadzie, jak orzekliśmy na podstawie kiełbasy, sprzyja mumifikacji, ale... Czas jest nieubłagany i... – Drażliwa kwestia nie mogła jej przejść przez gardło, toteż zawiesiła głos, licząc na jego domyślność.

– Mumifikacja na podstawie kiełbasy...? – powtórzył jednak Leszek bez zrozumienia. – Jakiej kiełbasy?

– Bo... poza Jaromirem wisi tam kiełbasa. Och, Boże, nie zrozum mnie źle, to znaczy Jaromir, jak mówiliśmy, nie wisi, tylko leży. A kiełbasa wisi. I schnie. Bo tam jest sucho i przewiewnie. Więc jest nadzieja, że... Z drugiej strony ostatnio były upały i...

Nie rozumiał tej dziewczyny – może za bardzo skupiał się na uroczej formie zamiast na treści tego, co mówiła? Jeszcze bardziej jednak nie rozumiał swoich uczuć. Znajdował się w pożałowania godnym położeniu. Na wszystkich jego frontach, prywatnym, zawodowym, ogólnozyciowym, rozciągało się ponure pasmo nieszczęść, którego końca nie było widać, można zaś było przypuszczać, że ów koniec będzie równie żałosny co cała reszta. Tymczasem on? On irracjonalnie wzruszał się jej nieporadnością! Była delikatna, wrażliwa i troskliwa. Nawet teraz, w tej chwili – była gotowa o niego dbać, jakby jakaś durna maseczka mogła cokolwiek zmienić.

Przez nagromadzenie stresu chyba nie był sobą. Czuł się otepiałym od proszków na bezsenność i na ból głowy, które łykał ostatnio całymi garściami. Chwilami żałował, że kompletnie nie ciągnie go do alkoholu – wiele by dał za totalne zapomnienie, znieczulenie, odlot. Może tak właśnie reaguje umysł w skrajnym stresie? Usiłuje choć na moment wyłączyć percepcję i świadomość całej reszty, skupiając się na jakiejś pozytywnej

drobinie wszechświata – stokrotce, smaku kawy...? Albo rozczuła się troską ledwo poznanej kobiety.

Ślicznej, dodajmy.

– Luśka ma rację. – Głos Elwiry wdarł się bezceremonialnie w te rozważania. – Weź coś do zawiązania nosa. Z całym szacunkiem do brata, ale ciało może już trącać. – Rozejrzała się wokół. – O, mam – powiedziała na widok wypłowiałej kuchennej ściereczki. – Chodź, to ci ją jakoś zainstaluję.

– Nie, nie. – Leszek uchylił się przed dłońmi Elwiry. – No dobra, daj, wezmę do kieszeni. Jakby co...

I wyszedł.

Elwira z Lucyną siedziały przy stole, nic nie mówiąc.

– Teraz patrzę innymi oczami na ten dom... – odezwała się w końcu Lucyna. – Ile tu smutku mieszkało...

– Aż dziw, że nic nie wyczułyśmy.

– No.

Elwira bębniła kształtnymi, długimi paznokciami w blat. Było to zarazem irytujące i pocieszające. Irytujące jak każdy dźwięk psujący ciszę, pocieszające – bo cisza akurat tu, w tym domu ciszy, w aktualnych okolicznościach, była ciężka i dręcząca.

– Może zrobimy sobie herbaty?

– Może wyjdziemy na zewnątrz?

– zapytały jednocześnie.

– Bierzemy po szklance wody i idziemy na schodki – zdecydowała Elwira. Wstała zza stołu, wyjęła z szafki dwie szklanki i nalała do nich kranówki. – Masz. – Podała jedną Lucynie.

Przeszły na dwór. Elwira usiadła na schodach do ganku i postawiła szklankę na stopniu obok, Lucyna wnet się przysiadła, obracając swoją

w dłoniach.

– Długo nie wraca – zauważyła.

– To intymna chwila. Może się żegna, może się modli.

Lucyna coś liczyła w myślach.

– Dziesiąty dzień od naszego przyjazdu. Najdłuższe dziesięć dni w moim życiu.

– W moim chyba też – przyznała Elwira i zakręciła sobie na palcu kosmyk włosów. – Szkoda faceta – odezwała się po chwili. – Obserwowałam go, jak nam opowiadał tę swoją historię. Całe jego ciało zaświadczało, że mówił prawdę. Miny, gesty, postawa. Złamany, załamany człowiek.

– Bardzo szkoda. Bardzo – zgodziła się Lusja aż nazbyt skwapliwie i do tego jakoś podejrzenie łzawo. – Mógłby być z niego wspaniały... znajomy. – Głos jej zadrżał, bo zawstydziała się własnych myśli. Ale z przyjaciółkami, a zwłaszcza z psychologizującymi przyjaciółkami tak już jest, że nawet niedopowiedziane zdania rozumieją, jak należy.

Elwira podrapała się w nos. „Tak, to naprawdę może się udać”.

Po kwadransie zza domu wyłonił się Leszek. Dziewczyny patrzyły nań ze współczuciem. Jeśli dotąd wydawało im się, że jest blady, smutny i przygnębiony, to teraz jeszcze bardziej poszarzał, przygarbił się i wyglądał jak na skraju załamania nerwowego.

Zrobiły mu miejsce na schodach. Dosiadł się i ukrył twarz w dłoniach. Widać było, że drży.

– Pierwszy raz w życiu żałuję, że nie palę – powiedział.

Elwira wstała energicznie.

– Dam ci nalewki sosnowej twojego brata. Myśmy się też nią ratowały, gdy... No, po odkryciu Jaromira. I po tych widzeniach zjawy. To jest ciebie.

– Nie. Nie piję. Nie lubię – odmówił Leszek.



– Nie szkodzi. My też nie lubimy – skłamała gładko Elwira. – Ale to dla kurażu.

Leszek pokręcił głową.

– Nie mogę. Nie chcę składać zeznań po alkoholu.

Lucyna nieoczekiwanie wybuchnęła płaczem.

– Przepraszam was, ale ja już nie mogę! Nie mogę wytrzymać tego wszystkiego! Tego napięcia, tej niesprawiedliwości...! Dotąd miałam do losu żal o to, w jakie bagno nas wpuścił na wymarzonych wakacjach! A czymże to jest wobec tego, jak urządził Leszka?! To jest cholernie, cholernie nie fair!

„«Czymże»...! – zachwyciła się w duchu Elwira. – Lucy jest jak z jakiejś książki. Nawet jak rozpacza, to tak literacko”.

Leszek nie zauważył nic z literackości sytuacji, nie mógł natomiast pozostać obojętnym wobec płaczącej tuż obok kobiety.

– Nie płacz, Lucyno – rzekł niezręcznie, wyraźnie nienawykły do uspokajania roztrzęsionych kobiet.

Lucyna nie uspokoiła się nic a nic. Spróbował więc niezdarnie objąć ją ramieniem.

Lucyna łkała dalej, ale schowała twarz gdzieś pod jego szyją, obficie zalewając mu koszulkę.

Elwira przez chwilę patrzyła na nich zafascynowana, przygryzając to wargę, to kosmyk. Więc to się nazywa niespodziewany zwrot akcji... Czuli całą sobą, że teraz jeszcze bardziej niż dotąd cały rozsądek, cała odpowiedzialność za mądre poprowadzenie tej historii oraz znalezienie wyjścia z wyjątkowo poplątanego galimatiasu spoczywają na jej barkach.

Jeszcze chwilę gryzła kosmyk, układając sobie coś w myślach. Lucy szlochała coraz ciszej, Leszek, zajęty głaskaniem jej po włosach, jakby na moment zapomniał o problemach.

Elwira odchrząknęła.

– Słuchajcie, gołąbeczki. Plan jest jasny. I chwała Szabłowskiej, że mnie do niego natchnęła. – Leszek! – zwróciła się z werwą, aż podskoczył jak wywołany do odpowiedzi uczeń. – Czy byłeś kiedykolwiek notowany przez policję: polską, szwedzką, jakąkolwiek? Czy mają twoje odciski palców, DNA?

– Nie – odpowiedział krótko.

– Dobrze – pochwaliła Elwira. – Zatem nie idziemy na żadną policję. Leszek zamieszka w domu przy Morskiej jeden. Podejmie pracę w zakładzie szewskim we Władysławowie. Od czasu do czasu pokaże się na zebraniach koła wędkarskiego. Krótko mówiąc, stanie się Jaromirem.

Lucyna podniosła głowę i wlepiła w przyjaciółkę pełen nadziei wzrok. Leszek także patrzył na Elwirę jak sroka w gnat.

– Elwiro – rzekł w końcu powoli – doceniam twoją wolę pomocy. Bardzo. Ale to jest absurdalny plan.

– A to dlaczego? – Elwira stanęła wygodnie na szeroko rozstawionych nogach, gotowa bronić swoich racji. Uwielbiała potyczki na argumenty.

– Nie mogę tak zrobić, po prostu. To byłoby nie w porządku wobec Jarka.

– Niby dlaczego?

– Tak czuję.

– Sentymenty na bok. Dyskutujmy racjonalnie.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Elwiro, to jest moje życie. Nie mogę tak po prostu stać się kimś innym. Z dnia na dzień, na zawsze.

– Nie kimś innym, tylko rodzonym bratem. To nie jest jakiś przypadkowy ktoś. Los dał ci niepowtarzalną okazję wybrnięcia z twoich kłopotów. Jesteście podobni jak dwie krople wody. Jego znajoma stała tuż

przed tobą i brała cię za niego. Nieskorzystanie z tej okazji to byłaby skrajna głupota. A głupota jest niewybaczalna. – Z rozmysłem uderzyła w czuły punkt.

Leszek się zaczerwienił, aż zrobiło mu się gorąco. Sam od tygodni wyrzucał sobie od głupców. Nie mógł znieść myśli o tym, jak był naiwny, tak dając się doprowadzić Bernardowi. I głupi, nie ma co kryć.

Tak czy inaczej, pomysł, do którego próbowała go przekonać Elwira, nie mieścił mu się w głowie.

– Nie umiem oszukiwać – powiedział. – Wcześniej czy później się w czymś pomylę.

– To się nauczysz. Dla takiej stawki jak własne życie chyba warto? Wiele argumentów za tym przemawia. – Tym razem Elwira znacząco wskazała mu wzrokiem Lucynę. W tym przemyślnym kuszeniu czuła się jak sam Mefistofeles.

Leszek przygryzł wargi. Lucyna milczała w wielkim napięciu.

– A co zrobimy z Jarkiem? To jest... z ciałem Jarka?

Elwira na ułamek sekundy się zawahała. Tej części planu nie miała zbyt dobrze dopracowanej. Szybko jednak się opanowała.

– Pogrzebiemy.

Leszek zaniemówił.

– Z czcią i szacunkiem, w waszym ogrodzie – dodała szybko.

– To się nie dzieje naprawdę – szepnął. – Lucyno, czy możesz mnie uszczypnąć?

Lusia ujęła jego dłoń w swoją i zacisnęła ze wszystkich sił.

Przełknął ślinę i pokręcił głową.

– To jest straszna intryga. I może nas za nią spotkać straszna kara.

– Tym bardziej przekonująco będziesz musiał grać swoją rolę – rzekła bezlitośnie Elwira.

Leszek westchnął i roztarł czoło.

– Boże. Nigdy nie przypuszczałem, że będę musiał podejmować takie decyzje.

– Nikt z nas nie przypuszczał, że znajdzie się w takiej sytuacji – zgodziła się Elwira. – Ale życie wymaga od nas, by się przystosowywać do nowych warunków. Na tym polega ewolucja. Ci, którzy tego nie potrafią, giną – dokończyła z profesjonalnym, chłodnym opanowaniem.

Lucyna jeszcze mocniej zacisnęła palce na dłoni Leszka. Nie chciała, żeby ktokolwiek z nich ginął, zdecydowanie. Wobec życia woląa mieć zupełnie inne plany...

– Pomożemy ci – powiedziała.

\*\*\*

Dochodziła północ.

Lucyna nie spała.

Elwira nie spała.

Leszek nie spał.

Trójka, którą połączyła straszliwa tajemnica, rozstała się, nie ustalając żadnych szczegółów przyszłej akcji. Lucyna i Leszek milcząco zaakceptowali pomysł Elwiry. Ta zaś uznała, że na jeden raz wystarczy im emocji. Jest późno, jutro czeka ich wyczerpujący dzień. Poza tym rzeczom należy się pozwolić zadziać w odpowiedniej kolejności. Najpierw pochówek, potem stypa, a dopiero później nowe życie.

Przyjaciółki wróciły na Morską trzy. Leszek został w domu rodzinnym, na Morskiej jeden.

– Śpisz? – Lucyna, po raz setny zmieniawszy lewy bok na prawy, spojrzała w kierunku przeciwległej ściany, gdzie stało łóżko Elwiry.

– Nie. Jeszcze. Choć już bym chciała – dobiegło spod koca.

– Czy my dobrze robimy?

– Luśka, to jest źle postawione pytanie.

– Dlaczego?

– Bo natury generalnej. I oceniające. A ja nie oceniam i nie generalizuję. Jednostkowo podsuwam rozwiązania.

– No ale przecież się zastanawiasz czasem nad moralną stroną...

– W tym przypadku raczej nad odpowiedzialnością karną. A te dwie rzeczy niekoniecznie muszą chadzać w parze.

– A tak po ludzku, to czy my dobrze robimy?

– Lusia. – Elwira usiadła na łóżku i głęboko, spektakularnie wręcz westchnęła. – Dobrze, przejdźmy przez ten tok rozumowania jeszcze raz, wspólnie. Pytanie pierwsze: Czy ktoś z nas jest winien obecnej sytuacji? Albo my, albo Leszek?

– No, nie... My się po prostu pomyliłyśmy w adresie. A Leszek... Leszek się pomylił co do współnika. Bo ja mu wierzę, naprawdę – zapewniła z nagłym entuzjazmem.

– Właśnie. Ja też mu wierzę. Czyli trafił się nam splot niekorzystnych okoliczności. Co można zrobić w takiej sytuacji?

– Załamać się – westchnęła żałośnie Lucyna.

– Tak, to zawsze. Ludzki odruch, ale do rozwiązania niczego nie wnosi. Można zatem zachować się standardowo, czyli poddać procedurom oficjalnym. Policja, sąd, wyrok, kara. Tyle że system prawny nie zawsze jest w stanie unieść złożoność ludzkich losów.

Lucyna spojrzała na przyjaciółkę. Właściwie czuła to samo, tylko nie umiała tego ubrać w takie ładne i klarowne słowa.

– Czyn wymaga oceny, z tym trudno dyskutować – ciągnęła Elwira. –

My nie jesteśmy winne śmierci Jaromira. Umarł, to nieuchronny los każdego człowieka. Leszek tym bardziej nie ma z tym nic wspólnego.

– Tak, oczywiście. No ale ten dług, plajta i uciezka... – Po chwilowym uniesieniu sumienia Lucyny znowu ogarnął mrok.

– I znowu. Zamierzonej winy Leszka w tym nie ma. Działał w dobrej wierze. Był uczciwym obywatelem. I nagle – trach – spotkał człowieka występnego, niedobrego, który zastawił na niego sidła. Nie miał szans w starciu z fachowcem.

– Ale dług, ktoś niewinny może na tym ucierpieć....

– E tam. Leszek pracował dla innych firm. I to w dodatku szwedzkich. A Szwecja, wiadomo – królestwo, złoża naturalne, saaby, volvo, pieniądze.

– IKEA – dodała Lusja.

– Też. Może dla nich również Leszek pracował. A czy ty widziałaś, żeby IKEA działa się krzywda? Nawet darmowe kawy i herbaty dają, znaczy stać ich. A reszta tych firm pewnie jeszcze bogatsza. I na pewno ubezpieczone. Więc nikt tu nie ucierpi. Ponieść straszną konsekwencję mógłby tylko Leszek. Malutki trybik zmiażdżony przez gigantyczną maszynę.

Lucyna aż się zatrzęsała.

– To by było straszne. Bo przecież Leszek jest taki... taki... bardzo go polubiłam.

Elwira nie musiała tego usłyszeć, bo widziała, że między tą dwójką zaiskrzyło.

– A czy to się uda? Ta cała intryga?

– Plan ma spore szanse na powodzenie, jeśli tylko ty i Leszek się nie rozsypiecie i nie wyłożycie. A do tego jest potrzebny rzeński umysł i wypoczęte ciało. Więc już śpij. Reszta jutro.

Elwira, typowy zadaniowiec, po wykonaniu planu potrzebowała tylko kilku minut, żeby zasnąć. Lucyna, patrząc na rytmicznie podnoszący się

i opadający koc, uznała, że próba dalszej rozmowy byłaby bezcelowa. Też spróbuje się przespać.

Sen jednak nie nadchodził. Zapadała się w lekki niebyt, by po niedługim czasie się ocknąć i trwożliwie sobie uświadomić swoje położenie. Te momenty odzyskiwanej świadomości były tym dotkliwsze, im słodsze były chwile w marzeniach: ona z Leszkiem na spacerze nad brzegiem morza; oni razem pijący popołudniową kawę, on wręczający jej bukiet własnoręcznie zebranych polnych kwiatów, oni razem przytuleni na kanapie, oglądający razem jakiś romans, a potem, na tej samej kanapie, przeżywający podobne uniesienia...

Nowy dzień już jaśniał, gdy Lucyna wyszeptała do siebie:

– Ja się w nim chyba naprawdę zakochałam...

# Rozdział 15

## Dzień 11.

– Oka nie zmrużyłem.

Rzeczywiście. Leszek wyglądał – jeśli to w ogóle możliwe – jeszcze bardziej blado i mizernie niż poprzedniego dnia. Oczy miał podkrążone, włosy zmierzwiłone, usta blade i wyschnięte.

Lucynie ścisnęło się serce.

– To zupełnie jak Lucy. Też się wierciła i wzdychała – powiedziała Elwira.

– Skąd możesz wiedzieć, przecież spałaś!

– Wiedza zawodowa.

– Elwira zajmuje się zaburzeniami snu? – zdziwił się Leszek.

– Nie, jest psycholożką. I coachem. Bardzo dobrym – obwieściła dumnie Lucyna.

– A, to stąd ta pewność – westchnął Leszek.

– Stąd – zgodziła się Elwira. – Wiedza mówi mi także, że potrzebujemy kawy.

Pół godziny i trzy filiżanki kawy później nie było już żadnych wymówek. Trzeba było przystąpić do pochówku.

– No to jaki jest plan? – zapytała lęklonie Lucyna. Trwoga wynikała przede wszystkim z jej ewentualnej obecności w tym projekcie.

– Zaczynamy od grobu. – Elwira zdecydowanie lubiła konkret.



– Już wykopałem. Nad ranem, jeszcze prawie pod osłoną nocy. Uznałem, że lepiej się nie afiszować, gdyby ktoś ewentualnie zaplątał się w tej okolicy.

– Bardzo słusznie – pochwaliła Elwira, myśląc, że to niecodzienne przedsięwzięcie ma szanse powodzenia, jeśli zachowają zimną krew.

– Grób jest niedaleko szopy, blisko ogrodzenia i tej starej sosny. Trochę mnie uwierało to miejsce, że takie z tyłu domu, mało reprezentacyjne, ale przecież takie właśnie musi być.

„Drugi punkt dla Leszka” – pomyślała Elwira, która we śnie właśnie tam pochowała nieboszczyka.

– Byłem też w szopie...

Lucyna nerwowo przełknęła ślinę. Bardzo, ale to bardzo nie chciała kolejny raz widzieć Jaromira. Zarazem nie można przecież zostawić Leszka samego.

– I jakie warunki tam panują? – zapytała Elwira. Chciała być delikatna, ale też konkretna.

– Warunki? – Leszek w pierwszej chwili nie zrozumiał. – A, to... więc... całkiem dobre, bym powiedział. Jaromir wygląda, no – głos mu się trochę załamał – jak mój brat. Jak dawniej. Obawiałem się, no, wiecie...

– Czyli warunki optymalne do strupieszczenia.

– Elwira, nie mów tak o zmarłym! – zachnęła się Lucyna.

– To termin medyczny. Szybka i znaczna utrata wody. Środowisko suche i przewiewne, wysoka temperatura. Podstawy medycyny sądowej mieliśmy na studiach – objaśniła fachowo Elwira. – Czyli co teraz robimy? – Nieustępliwie parła do przodu.

– No, chowamy – westchnął Leszek. – Pomożecie mi z ciałem?

Lucyna spięła się w sobie. Ostatnia powinność wobec zmarłego i chęć ulżenia Leszkowi wzięły górę nad lękiem.

Poszli do szopy.

Na czymś w rodzaju postumentu zbudowanego z drewnianych skrzynek leżało ciało Jaromira. To znaczy, że jest to ciało, domyśliły się z kształtu – czarny śpiwór wyglądał na wypełniony zawartością. U wezglowia stał wazon z kwiatami („Sam zbierał!” – Lucynie przypomniały się wieczorne majaki), a po obu stronach paliły się świece.

– Pomyślałem sobie... Chciałbym jakoś pożegnać Jaromira. Brata. – Leszek nerwowo zaciskał palce obu dłoni, splatając je ze sobą. – Przygotowałem ostatnie pożegnanie.

Wyjął z kieszeni złożoną na cztery kartkę w kratkę.

– Jaromirze! Jarku, Jaro! Mój bracie! – odczytał. – Jesteśmy tutaj dzisiaj z tobą w zupełnie nieoczekiwany sposób. Lucyny i Elwiry wcale nie znasz, a my... a my się pogubiliśmy, na długie lata. Nie wiem, jak do tego doszło, zwłaszcza że jesteśmy, to znaczy byliśmy, braćmi bliźniakami. Prawda, różniliśmy się. Z wyglądu identyczni, wewnątrz mieliśmy odmienne. Te różnice okazały się ważniejsze niż więzy krwi, przywiązanie. Niż miłość. Bardzo tego żałuję. Gdybym tylko mógł przewidzieć, że tak się sprawy potoczą, od razu bym wsiadł na prom i do ciebie przyjechał. Niestety, los chciał inaczej. Zjawiłem się tu za późno, i to wcale nie gnany uczuciem do ciebie, a własnymi problemami. Jaro, mój Jaro, nie dane nam było się pożegnać, po raz ostatni uściskać. Ta moja z tobą rozmowa to próba naprawienia tej sytuacji. Nie wiem, czy mnie słyszysz, mogę tylko mieć nadzieję. Chcę ci powiedzieć, mój bracie, moja druga połowo, że zawsze cię kochałem. Nie zawsze to okazywałem, ale kochałem zawsze. Na koniec życia będziemy osądzeni tylko z miłości, pisał Święty Jan od Krzyża. Teraz zrozumiałem sens tych słów. Za późno dla nas obu razem, ale obiecuję ci, że ja z tej mądrości wyciągnę wnioski. – W tym momencie Leszek podniósł głowę znad kartki i spojrzał na Lucynę.

A Lucyna pomyślała, że Leszek mógłby wygłosić taką pełną miłości przemowę na jej pogrzebie. Upřednio w szczęściu przeżywszy z nią wiele lat.

Leszek ułożył wcześniej zdjętą darń na świeżo ubitej ziemi. Popatrzył na swe dzieło z mieszaniną wielu skrajnych uczuć. Był wśród nich smutek, odrobina ukojenia, rozmaite obawy i niepewności, dużo psychicznego i fizycznego zmęczenia.

Trawnik za domem wyglądał niewinnie jak zawsze. Uzgodnili razem, że grób powinien być jak najmniej podobny do grobu – żadnych wypukłości, kopczyków, oczywiście żadnej tabliczki i krzyża.

– Co teraz? – Oparł łopatę o ścianę szopy. Otarł spocone czoło i powiódł wzrokiem po towarzyszkach.

– No... chyba stypa? – podsunęła Lusja.

– Słusznie! Trzeba coś zjeść. – Klasnęła w dłonie Elwira. – Robimy sami czy idziemy na miasto?

Leszek skrzywił się nieznacznie.

– Jeśli nie macie nic przeciwko, to wolałbym nigdzie nie chodzić.

– A masz tu coś do jedzenia?

– Hm... niewiele. Trochę wczorajszego chleba, dwie konserwy rybne...

– To może coś zamówimy?

– Na co macie ochotę? – spytał, poczuwając się do roli gospodarza.

– Na nic – odparła zgodnie z prawdą Lucyna. – Ale tradycja tak nakazuje. A i rozsądek podpowiada, że powinniśmy się posilić.

– Ja właściwie lubię konserwy rybne – oznajmiła Elwira i to przesądziło sprawę.

Siedzieli przy stole w ogrodzie, nakrytym jak w pierwszych dniach upranym przez Leszka pareo Elwiry, i jedli w milczeniu kanapki ze

szprotami i paprykarzem.

– To były najbardziej zdumiewające wakacje mego życia – przerwała ciszę Lusja.

Nikt nie podjął tematu, więc mozolnie pociągnęła go sama.

– Gdy byłam mała, ogromnie lubiłam książki przygodowe. Moje życie było bardzo zwyczajne, bezpieczne, może nawet wręcz nudnawe... a w tych książkach tyle się działo! Dzieci, zorganizowane w grupy detektywistyczne, trafiały na ślad przestępców, tropiły ich kryjówki i nieuczynne czyny, nieuchronnie wpadając przy tym w tarapaty, z których jednak potem wydostawały się dzięki swemu sprytowi, szczęściu i pomysłowości... To wszystko często działo się w czasie wakacji, na jakichś wyjazdach. Czasami aż się zastanawiałam, czy to ze mną jest coś nie tak, że na wyjazdach z rodzicami nie staję się członkinią takich grup i nie znajduję żadnych przestępców. Bacznie przyglądałam się wczasowiczom – na plaży, w muzeach czy w stołówkach domów wypoczynkowych, w których mieszkaliśmy – i nic! Każde podejrzanе zachowanie wcześniej czy później wyjaśniało się w jakiś błahy sposób. Nikt nikogo nie okradł, nie porwał... ani śladu rzezimieszków!

– Miałaś szczęście – podsumował Leszek.

Lucyna uśmiechnęła się w zadumie.

– Ale wtedy myślałam, że to niefart.

– Widzisz, jak trzeba pilnować marzeń? – Spojrzał na nią miękko. – Marzyłaś o wakacjach z przygodą, i bum! Wprawdzie po latach i od razu z grubej rury... ale masz, co chciałaś! – wysilił się na żart.

– Ciekawe! – ożywiła się Elwira. – Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale ja też lubiłam takie książki!

– A ty, Leszku? – Lucyna za wszelką cenę starała się utrzymać względnie pogodny nastrój stypy.

Leszek uśmiechnął się na jakieś dawne wspomnienie.

– *Rasmus, Pontus i pies Toker* – powiedział, wymawiając imiona z twardym, szwedzkim akcentem.

– Astrid Lindgren! Znam! – ucieszyła się Lucyna. Czasem bowiem nic tak nie cieszy jak znalezienie bratniej duszy poprzez odkrycie, że czyta ona i kocha te same książki co my. – A *Małomówny i rodzina*?

– No jasne! – potwierdziła Elwira.

– Ja nie znam. To musiało być jakieś dziewczynskie.

– Niech ci będzie. To może... *Wakacje z duchami!* He?

– Mowa! – Leszek się roześmiał.

– Klasyk! – skwitowała Lucyna.

– No i Niziurski, rzecz jasna.

– Bez dwóch zdań.

– A wasze późniejsze upodobania? – zagadnęła Elwira.

– Jak późniejsze? Dorosłe? – dopytał Leszek.

– Nie, no powiedzmy: liceum.

– A. To Sherlock Holmes – odparł.

– Agatha Christie – oświadczyła Lucyna.

– Chmielewska – dopowiedziała całkiem ubawiona Elwira.

– Niebywałe...! – Lucyna pokręciła głową w zadziwieniu.

– Słowem sami się prosiliśmy o kłopoty. Pardon, o przygodę – podsumowała Elwira.

– Pan Bóg nierychliwy... – zacytowała Lucyna.

Kiedy skończyły się i konserwy, i chleb, i bezpieczne książkowe tematy, Leszek spytał, czy miałyby coś przeciwko, gdyby poszedł się zdrzemnąć. Nie miały. Elwira zaoferowała się więc, że posprząta, a Lucyna poszła kupić coś na obiad.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak dobrze i mocno spał. Nic mu się nie śniło. Nie bolały go brzuch ani głowa, nie ściszało go w dołku z lęku o przyszłość, nie chciało mu się płakać. Może osiągnął już taki pułap bezsenności, że musiał ją w końcu odespać. Może przysłużyło mu się wykopanie grobu dla brata – było nie było, praca fizyczna na świeżym powietrzu. A może też prawdę mówią, że po pogrzebie i stypie człowiek w żałobie zyskuje nieco ukojenia.

Cokolwiek dało mu ów dobry, mocny sen, był zań bezbrzeżnie wdzięczny.

Gdy się obudził, słońce pomału chyliło się ku zachodowi. Z dołu dochodziły odgłosy radia i przyjemna obiadowa woń. To było miłe zaskoczenie. Bał się wcześniej, że dziewczyny sobie pójdą i w domu zalegnie cisza jak za najgorszych lat.

Przeciągnął się i podrapał po brodzie. Pod palcami wyczuł krótkie, nieprzyjemnie drapiące włoski. Zapuścił się jak dziad. Najwyższa pora, by się wykapać, ogolić i doprowadzić do porządku.

– Dzień dobry! – zawołał kwadrans później, schodząc ze schodów pachnący i odświeżony; ba: nawet nieco rumiany. – Czy jest jakiś polskie powitanie odpowiednie na popołudnie? – zastanowił się głośno. „Dobre popołudnie”...? – spróbował pytająco.

– Może po prostu „cześć”? – uprościła sprawę Elwira i wyjrzała z kuchni, przewiązana fartuchem.

– Gotujesz? – Leszek nabrał w nozdrza zapachu, usiłując rozpoznać, co to jest.

– Nieczęsto. Ale dziś tak – przytaknęła Elwira. – Pikling, pieczone ziemniaki, kapusta kiszona. Może być?

– Najważniejsze, że ze mną zostaliście – powiedział Leszek. – Bo i Lucyna gdzieś tu jest, prawda? – Rozejrzał się. – Ach, i tak, oczywiście,

bardzo może być!

– W ogrodzie – odpowiedziała Elwira.

– To może po nią pójde? Czy raczej ci pomóc?

– Pójdź, Lesiu – poleciła łaskawie oaza wyrozumiałości. – I ją sprowadź, bo już wykładam na talerze.

– Dobra – zgodził się gorliwie i skierował kroki do wyjścia.

– Cholera, wiesz co? – zawrócił go jeszcze głos Elwiry. – Chyba powinniśmy zacząć mówić do ciebie „Jarek”. Żeby jak najszybciej przywyknąć.

Lucyny nie było ani na schodkach, ani przy stole – Leszek udał się więc za dom.

Zobaczył ją już z daleka. Luscia klęczała przed grobem, głaszcząc i poklepując ziemię. Ta cudowna kobieta nie przestawała być dla niego zagadką.

Zbliżył się – i nim zdążył spytać, co robi, na własne oczy zobaczył odpowiedź.

Grób Jaromira był obficie obsadzony kwiatami – niskimi krzaczkami obsypanymi gęstym kwieciem o czerwonych, różowych i białych płatkach. Małe krągłe dłonie Lusi, zabezpieczone rękawicami ogrodniczymi, ugniatały ziemię wokół ostatniego rzędu roślin, obok zaś stała duża zielona konewka o popękanych brzegach i piętrzyły się puste doniczki z cienkiego plastiku.

– Chciałam go jakoś uczcić. Oznaczyć miejsce, gdzie leży... – wyjaśniła nieśmiało, gdy Leszek kucnął obok niej. – Taka rabata nie będzie budzić podejrzeń. Przecież nikt ci nie broni posadzenia sobie paru kwiatów w dowolnym miejscu w ogrodzie... Prawda? – Niepewnie podniosła nań wzrok.

– Jesteś wspaniała... – szepnął Leszek w rozczuleniu. Odgarnął jej z twarzy parę niesfornych kosmyków i pochylił się nad nią z czułością. Lusia odruchowo przymknęła oczy.

– Podano do stołu! A co to jest?! – rozległo się nad nimi zniecka, aż podskoczyli.

– Kwiatków trochę nabyłam, przy okazji zakupów... – Lucyna poczuła się wywołana przez przyjaciółkę do odpowiedzi. – To niecierpki. Żeby dusza nie cierpiała. – No i... bo dobrze rosną w cieniu te niecierpki – dodała szybko, napotkawszy srogi, nieprzejednany racjonalny wzrok Elwiry.

\*\*\*

Stypy, inaczej konsolacje (z łaciny – *consolatio*: pocieszenie) organizuje się po to, by w gronie bliskich osób opłakać odejście zmarłego. Powspominać go, zostawić w pamięci dobre obrazy, pocierać łzy, wspierając się wzajemnie, a potem wrócić do normalnego, dotychczasowego życia.

Leszek, Lucyna i Elwira starali się jak najlepiej – i jak najdłużej – wypełnić pierwszą część tego planu. Było śniadanie, odpoczynek po nim, praca, obiad i... Nieuchronnie dobrnęli do momentu, w którym należało właśnie wrócić do życia. I to okazało się znacznie trudniejsze niż przebrnięcie przez wydarzenia wcześniejszych dziesięciu dni.

– No to co właściwie teraz będzie? – Pierwsza nie wytrzymała napięcia Lucyna.

Siedzieli na ganku, od dłuższego czasu w milczeniu.

– Wszystko po kolei, Lu. Najpierw duże decyzje, które już zostały podjęte – Elwira spojrzała na Leszka – a potem te drobniejsze. Zupełnie jak budowa oskrzeli – rozgałęziają się od dużego pnia przez konary do najdrobniejszych gałązek.



Leszek, zapewne pobudzony tym pulmonologicznym porównaniem, kaszlnął nerwowo.

– Z tymi dużymi decyzjami jest najłatwiej. To, że wyjadę do Szwecji, postanowiłem błyskawicznie, ot tak. Potem nie było już tak łatwo. A na końcu się okazało, że się wyłożyłem. Prawie śmiertelne zapalenie płuc, można powiedzieć.

– Wcale nie mówię, że jest łatwo – zgodziła się Elwira, choć po minie było widać, że tak właśnie by chciała powiedzieć. – Ważne są natomiast dwie sprawy: trzymać się powziętych decyzji i nie popełniać tych samych błędów.

– Tych samych to na pewno nie. Tylko co dalej?

Znowu zapadła cisza.

– No dobrze, to zaczynamy drogą eliminacji. Czego na pewno nie możesz i co na pewno musisz. Na pewno nie możesz już być Leszkiem Kurowskim. Od dziś jesteś Jaromirem Kurowskim. Żeby cię nie korciło i kiedyś w przyszłości nie zgubiło, zniszcz wszystko, co może cię zdradzić: dowód osobisty, prawo jazdy, legitymację ubezpieczeniową. Wyrzuć telefon, laptop, komputer. Nie wchodź na pocztę, konto na fejsie czy Instagramie. Nie ma cię, zniknąłeś, rozpułnąłeś się. Dopóki tu jesteś, musisz perfekcyjnie udawać brata. Przypomnij sobie, czym się różniliście: blizny, szramy, defekty w stylu brak zęba, utykanie, tik, okulary? Odmienny sposób mówienia, gestykulacji?

Leszek patrzył na Elwirę lekko oszołomiony.

– Nie, chyba nic takiego. Nie pamiętam różnic. Naprawdę byliśmy prawie identyczni.

– No, tak pierwotnie, że w ten sposób to ujmę. Naturalne warunki wyjściowe mieliście może bardzo zbieżne, ale jednak dołożone detale was różniły. Jaromir – bez urazy – sprawiał wrażenie trochę zapuszczonego. Za

długie włosy, dość niechlujny wygląd. Donżuanem nie był. Ty wyglądasz dużo lepiej.

Lucyna z przekonaniem pokiwała głową.

– Chyba tak. Jaro był raczej introwertyczny, wycofany. Zakład i dom to zdaje się było całe jego życie.

– I bardzo dobrze. Bo w ten sposób odpada nam borykanie się z różnymi jego znajomymi, którzy mogliby się kapnąć, że coś jest nie tak. Rodzice nie żyją, rodzeństwo to tylko ty, przyjaciół chyba nie ma, choć może ci od wędkowania?

– Wciąż lubił chodzić na ryby? – zdziwił się Leszek. – Skąd wiesz?

– Kalendarz od jakichś kumpli z koła wędkarskiego znalazłyśmy. Potem ci pokażemy. No ale łowić to chyba umiesz? To zdaje się każdy facet potrafi, tak jak kobieta przyszyć guzik. Taka umiejętność niesiona z genami. Co do wyglądu, to na razie przerzucić się na jego garderobę i mniej o siebie dbaj.

Lucynie zrzędała mina.

– Dobra, czyli załatwione. Sprawa najważniejsza: czy Jaromir mógł mieć jakąś dziewczynę?

– Pojęcia nie mam – wyznał bezradnie Leszek. – Tak dawno się nie widzieliśmy.

– Oby nie – ciągnęła Elwira – bo z tym by było trochę zachodu. Musiałbyś się pospotać...

Teraz Lucyna zbladła. Obraz Leszka przejmującego po bracie schedę w postaci dziewczyny bardzo jej nie pasował. Bardzo.

– ...a potem elegancko rzucić – dokończyła Elwira.

„To brzmi dużo lepiej, choć nie warto ryzykować. Ta hipotetyczna dziewczyna brata mogłaby przecież być całkiem fajna. A bliźniacy mogą mieć podobny gust. Nie ma co kusić losu” – pomyślała Lucyna.

- To są absolutne podstawy. Dalej już trochę trudniej: praca i dom.
- Na szewstwie się nie znam. Jakies podstawowe rzeczy bym zrobił, ale na pewno dużo gorzej niż Jaro. Tu akurat by się wydało, że coś jest nie tak.
- No to trzeba z tego zrezygnować. Nie nagle, bo to też będzie podejrzane. Dobre podstawy już są, bo według kartki właśnie jesteś chory. Szablowska cię widziała, sama zauważyła, że wyglądasz nie najlepiej.
- To było z powodu ogromnego stresu. Dziś jest dużo korzystniej – wtrąciła czujnie Lucyna.
- Prawda. Co akurat dla Leszka gorzej, bo żeby ciągnąć wątek choroby, powinien się jeszcze bardziej osunąć w bladość, zmęczenie, sponiewieranie. Trzeba będzie nad tym popracować charakterystyką.
- Sam nie dam rady – westchnął Leszek. Sprawiał wrażenie przybitego.
- Przecież ci pomożemy. – Machnęła ręką Elwira. – Mam kosmetyczkę z niezbędnymi rzeczami.
- Ale na zakładzie wisi kartka, że nieczynne do trzydziestego pierwszego lipca, a my mamy koniec czerwca.
- Faktycznie – zgodziła się Lucyna. – Najpierw napisałam, że do odwołania, ale kazałaś zmienić, to poprawiłam na chorobę. Dałam do trzydziestego pierwszego lipca, żeby był margines bezpieczeństwa, żeby nas tu już od dawna nie było.
- Tak, rzeczywiście – przypomniała sobie Elwira. – Ale nie szkodzi, to nawet lepiej. Leszek, to znaczy Jaromir, wróci wcześniej do zakładu. Wywiesi nową kartkę, że od trzydziestego pierwszego lipca likwidacja. Ze zboląłą miną będzie mówił, iż kłopoty ze zdrowiem nie pozwalają mu dłużej pracować.
- A na co mam być chory?
- Coś poważnego. Może nie śmiertelnego, nie ma co wytaczać najcięższych dział, ale jakaś dotkliwa choroba. Najlepiej przewlekła.

– Może depresja? – podsunęła Lucyna.

– Nie. Zbyt złożone. Poza tym ludzie zaczną dociekać, co w jego życiu jest nie tak. Mają współczuć, a nie się interesować.

– To może rak? – zaproponował Leszek.

– Nie... jeszcze będą chcieli jakąś zbiórkę zrobić, może będą odwiedzać. Najlepiej, żeby to była choroba, która spowoduje konieczność wyjazdu.

– Domu nie sprzedam, przecież tu jest Jarek – zaproponował zdecydowanie Leszek.

– Tak, dom niech zostanie, ty musisz się zwinąć.

– A może jakaś choroba płuc, układu oddechowego? Mój wujek miał POChP. Pół roku przesiedział w sanatoriach – podsunęła Lusja.

– Brzmi bardzo poważnie. A co to, dokładniej? – Chciała wiedzieć Elwira.

– Przewlekła obturacyjna choroba płuc.

– Doskonale. – Elwira z uznaniem pokiwała głową. – Pasuje ci. – Przeniosła wzrok na Leszka.

– Czy ja wiem... Chyba tak. Na medycynie się nie znam. A jak wujek, wyszedł z tego czy wręcz przeciwnie?

Lucyna się zaczerwieniła.

– Wyszedł. Bardzo się podkurował, bo on to miał od palenia papierosów...

– Jarek nie palił – zmartwił się Leszek.

– Ale może też być od szkodliwych substancji – uspokoiła go Lucyna. – Klej czy inna chemia w zakładzie na pewno się kwalifikuje do trucia.

– Brawo, Lucy! – Elwira gwizdnęła. – A co dalej z wujkiem?

– No podciągnęli go na różnych terapiach w tych sanatoriach. Palenie rzucił. I ciotkę też rzucił, bo akurat w jednym sanatorium spotkał taką panią z chorą tarczycą...

– Leszek nigdzie nie musi jechać. To znaczy musi wyjechać z Jastarni, ale gdziekolwiek, byle daleko. Dobra, to już mi się rysuje jasno: Leszek wraca do zakładu. Opowiada o swoim schorowaniu i planie leczenia oraz konieczności porzucenia zawodu. Wywiązuje się z prac, które już ma, niczego nowego nie bierze, zamyka zakład na cztery spusty, dom także i wyjeżdża. Dokądś – dodała, widząc pytające spojrzenie Leszka i Lucyny.

– Niedługo pomyślimy dalej, na razie się skupiam na grubych konarach.

– Konarach? – Nie zrozumiała Lucyna.

– Te oskrzela miałam na myśli. Metaforyczne, nie od POCO.

– POChP – poprawiła Lucyna.

– POChP – zgodziła się Elwira.

– Plan prawie dobry – odezwał się Leszek. – Tylko boję się, że jednak tych butów nie naprawię. Kaszel nie odbiera umiejętności w takim stopniu, że zaczyna się wszystko pieprzyć. A nie wiadomo, co tam jest do roboty. O, na przykład w przypadku Szablowskiej wiadomo i pojęcia nie mam, jak się do tego zabrać.

– Kurczę, to jednak jest trudniejsze, niż się wydawało – westchnęła Lucyna. – I co teraz?

– Jak to co? – Elwira, coach doskonały, była w swoim żywiole. – Skoro tak, to modyfikacja planu. Zabieramy wszystkie buty z zakładu. Pakujemy je w trzy torby. Rozdzielamy się i wyruszamy ze swoimi paczkami do różnych szewców w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Oddajemy buty, prosimy o pilną robotę. Powinno się udać, bo w lecie mniej napraw. Kolejnego dnia odbieramy naprawione. Leszek wszystko odnosi. A potem może już pokaszliwać, odpluwać płwocinę, dygotać i oddawać obuwie.

– Zaczynam się ciebie bać – powiedział Leszek. – Jesteś niebezpiecznie doskonała.

– Jest – potwierdziła Lucyna. I z dumą dodała: – Moja przyjaciółka.

# Rozdział 16

## Dzień 12.

Leszek czuł się nieswojo w ciuchach brata. Lubił kontrasty i żywe kolory – tymczasem w szafie Jarka wszystko było czarne, brązowe lub granatowe. Zaiste, mentalnie jego bliźniak musiał być od niego dużo starszy. Ostatecznie wybrał dość znoszone brązowe sztruksy i granatowy T-shirt. Jedynym własnym elementem ekwipunku był jego, Leszka, plecak – duży, wygodny i pojemny. Najbardziej przykrą chwilą było pozbycie się, za światłą radą Elwiry, swoich rzeczy osobistych i umieszczenie w plecaku portfela brata – wraz z jego dowodem, wciąż aktualnym biletem miesięcznym, wszystkimi drobiazgami. Czuł się z tym fatalnie. Raz – bo wolał swój gust, nawet w tak nieistotnych sprawach jak krój spodni czy kolor portfela. Dwa – bo stopień zużycia rzeczy brata, jak również dobór fasonów – po taniości, bez polotu – smutno zaświadczały o jego nudnym, pewnie dość smętnym życiu.

„Co za dureń wymyślił, że mężczyzna nie płacze” – pomyślał ze złością Leszek, po raz czwarty tego ranka ochlapując załzawione oczy zimną wodą. Musiał się pospieszyć. Na dziewiątą umówił się z dziewczynami na peronie, a o dziewiątej osiem mają pociąg do Władysławowa.

Jeszcze raz przemył całą twarz, psiknął się za uszami wodą kolońską o niewyszukanym zapachu i przeczesał palcami włosy. Zero żelu, zero fryzury.

– Cześć, Jarek! – przywitała go gromko Elwira. – Lepiej się już czujesz? Jedziesz do pracy?

Obie z Lucyną stały na peronie w zwiewnych sukienkach, chyba tych samych, w których widział je po raz pierwszy, i machały do niego już z daleka. Dobrze było mieć w nich oparcie.

– Cześć – odpowiedział. – Tak, do pracy – dodał, na wypadek gdyby ktoś ich jednak słuchał.

– Wyglądasz nieciekawie. To znaczy bardzo dobrze. – Elwira pochwaliła już ciszej jego charakteryzację. – Tylko buty chyba twoje? – wytknęła z niezadowoleniem na widok sportowych sandałów Leszka.

– Nie miał żadnych letnich. Same zakryte. – Wzruszył ramionami.

– Szewc bez butów chodzi – zacytowała Elwira po raz kolejny na tych dziwnych wakacjach, bo znów aż się prosiło. – Dobra, jest pociąg, wsiadamy – zakomenderowała.

W milczeniu wsiedli za nią.

Godzinę później weszli do zakładu.

Butów do naprawy było dwadzieścia sześć par. Leszek brał je kolejno do rąk i przyglądał im się uważnie. Jedne odkładał na prawo, inne na lewo.

– Dziel na trzy – poradziła Elwira. – Jest nas troje, czyli na łebka przypadnie po dziewięć, osiem par.

– Poczekaj. Niektóre naprawy są jednak banalne. Zszyć rozprucia to chyba umiem? Nie odbiega to bardzo od przeszyć tapicerskich... Tylko maszynę muszę rozgryźć. – Leszek jeszcze raz pochylił się nad jakimś butem. – Wymienić flek też bym chyba umiał. W każdym razie spróbuję.

– To ile jest tych, które ogarniesz sam? – dopytała Elwira.

Przeliczył.

– Większość. Z ośmioma nie dam rady. Plus dwie pary tej aktorki.

– Szablowskiej.

– Tak.

– Mam je tutaj! – Lucyna zwycięsko potrząsnęła foliówką. Znów ją tu przywiozła, tym razem, dla odmiany, z sensem.

– A zatem: modyfikacja planu. Ty sobie tu zostajesz i dłubiesz, a my z Lucy bierzemy po pięć par i rozjeżdżamy się do Swarzewa i Pucka do tamtejszych szewców. Tak?

Odpowiedziała jej pełna zawodu cisza.

Elwira westchnęła teatralnie.

– Okej. Jeszcze jedna modyfikacja. Ja jadę do Swarzewa i Pucka, a Lucy zostaje na miejscu do... przyuczenia i pomocy. Teraz lepiej?

Lucyna usiłowała powiedzieć jakąś ciętą ripostę – albo coś dowcipnego – no, chociaż wyrazić wdzięczność. Niestety, w głowie miała pustkę, a na jej twarz pchał się jedynie rumieniec. Oraz szeroki, durny uśmiech.

– Tylko nie zmarnujcie całego czasu na amory! – Pogroziła palcem Elwira, wpakowała buty do dwóch dużych płóciennych toreb i wyszła.

Skierowała się z powrotem na stację. Po drodze kupiła butelkę wody i pół kilo kwaśnych wczesnoletnich jabłek, potem sprawdziła rozkład jazdy na dużej planszy na peronie. Pociąg do Swarzewa jechał pięć minut, do Pucka – jedenaście. Szkoda. Lubiła jeździć pociągami i chętnie rozsiadłaby się w nich na dłużej.

„Pojutrze rozsiądziesz się na całkiem długo” – powiedziała sobie wrednie w myślach. Lecz wcale nie poczuła się pocieszona. Aż trudno uwierzyć, że ich pełne wrażeń wakacje właśnie dobiegały końca.

„Jak ten Leszek sobie poradzi...? – myślała, przechadzając się po peronie i czekając na pociąg. – Nie pęknie?”.

A Lucy?



Ponad wszelką wątpliwość kroilo się tutaj małe *love story*. Tylko jak oni to rozegrają? Poprzestaną na wakacyjnej przygodzie czy jakoś to pociągną? A jeśli – to jak...?

„Eee, pewnie nijak – orzekła ze znawstwem. – To klasyczny przypadek lgnięcia do siebie w sytuacji kryzysu. Poznali się romantycznie, ona omdlała, on cucił; potem chwila grozy, że oto ją dopadł nieboszczyk; następnie ulga, że to jednak żywy, całkowicie realny facet – wszystko jak w filmie, i to raczej schematycznym. W tym momencie film się kończy, zostawiając widza w pełnym satysfakcji poczuciu, że główni bohaterowie pozostaną już parą. W prawdziwym życiu w takich przypadkach szybko się okazuje, że on i ona, pozbawieni adrenaliny, wcale do siebie nie pasują”.

Czyli w okolicy listopada, a może nawet już we wrześniu Luškę będzie trzeba wyciągać z doła po nieszczęśliwym zakochaniu. Oraz z obżarstwa, którym będzie to nieszczęście zajadać. Oraz z pracy, która wyda jej się wtedy jeszcze bardziej beznadziejna niż zwykle.

I na kogóż spadnie to niewdzięczne zadanie...?

„Ech...” – Elwira westchnęła ciężko nad przyszłymi wyzwaniem. Jesień zapowiadała się pracowicie.

\*\*\*

Po wyjściu Elwiry w zakładzie zapanowała niezręczna atmosfera. Leszek najpierw po kolei brał do ręki różne narzędzia, próbując zgadnąć ich przeznaczenie, potem siadł do maszyny do szycia, podłożył pod stopkę jakąś łatkę i przesywał ją na próbę różnymi ściegami. Lucyna pomyślała, że niepotrzebnie z nim tu została. Czy to było fair wobec Elwiry? Przyjechały tutaj we dwie i we dwie powinny się trzymać. Nieładnie to wyszło.

Po raz pierwszy od ponad tygodnia pożałowała, że wciąż nie używały telefonów. Gdyby ona miała swój przy sobie, a Elwira swój, zaraz by do niej zadzwoniła z prośbą, by na nią gdzieś zaczekała – i poleciałyby do niej.

– A właśnie. – Przypomniała sobie zadowolona, że przyszedł jej do głowy temat do wypełnienia ciszy. – Znalazła się komórka Jaromira?

– A zgubiła się? – Podniósł głowę Leszek.

– No... Nigdzie w domu na nią nie trafiłyśmy. Chyba że miał ją przy sobie w szopie.

– Nie miał – uciął spekulacje Leszek.

– Aha.

Znów pochylił się nad robotą.

– A tu szukałyście?

– Tak. To znaczy trochę. Rozejrzałyśmy się, ale niedokładnie.

Cisza wróciła nieuchronnie.

– Mogę ci jakoś pomóc? – spytała.

Leszek odsunął się na krześle i obdarzył ją uważnym, przeciągłym spojrzeniem.

– Ach, Lucyno, Lucyno! Ty i Elwira pomogłyście mi już bardzo dużo. Gdyby nie wy, już bym przepadł. Przecież wiesz.

– No tak... Tylko to wszystko to raczej zasługa Elwiry – przyznała uczciwie Lusia. – A ja miałam na myśli, czy ja, tutaj, teraz mogę się do czegoś przydać...?

Nie odrywając od niej oczu, Leszek uśmiechnął się łobuzersko.

– Tak, Lusi. Otóż czuję wyraźnie, że pracowałyby mi się znacznie lepiej, gdybyśmy się teraz pocałowali.

– Taak...? – spłoszyła się nie wiedzieć czemu Lucyna.

– Tak – powtórzył on, nic a nic niespłoszony. – Zaraz ci pokażę, jak dokładnie to sobie wyobrażam. – To rzekłszy, Leszek wstał z za stołu,

podszedł do Lucyny, wziął jej twarz w obie dłonie i bez pośpiechu pocałował ją najpierw w usta, potem w policzki, powieki, czoło, nos, a po namyśle także i w pulchniutką brodę.

Bezbrzeżnie słodka była ta Lusia.

– Uwierzysz, że nigdy nie miałem dziewczyny z Polski? – zagadnął po dłuższej chwili.

– Jak to?!

– Mówiłem wam, że gdy byliśmy młodymi chłopakami, to nie układało nam się z dziewczynami. Moje związki – jeśli można je tak nazwać – zaczęły się dość późno, dopiero w Szwecji. I zawsze były to dziewczyny stamtąd.

Lucyna doświadczyła tego skomplikowanego uczucia, gdy jednocześnie chce się wiedzieć jak najwięcej oraz jak najmniej.

– Uhm – bąknęła więc tylko, nieprzesadnie zachęcająco.

Na szczęście Leszek nie brnął w opisy swoich podbojów.

– To wszystko sprawiło, że mam takie jedno wstydlive, niezrealizowane nigdy pragnienie jeszcze z chłopięcych lat – rzekł zamiast tego.

Lucyna troszeczkę straciła rezon, kompletnie niepewna, o co może chodzić.

– Taak...? – zapytała znów.

A on znów uśmiechnął się łobuzersko.

– Otóż zapytam cię o coś, o co jeszcze nigdy nie spytałem żadnej dziewczyny. A zawsze marzyłem, że kiedyś to zrobię.

Lucyna się spięła. Nie chciała, żeby o cokolwiek pytał. Nie była typem seksualnej eksperymentatorki. Nie chciała też mówić o swoich erotycznych preferencjach ani doświadczeniach – ile, z kim i jak... O co jeszcze mógł chcieć pytać???

Ten drań Leszek najwyraźniej dostrzegł jej spięcie i, co gorsza, dobrze się jej kosztem bawił.

– A zatem, Lusi... Czy chcesz ze mną chodzić?

– Co takiego?!

Chyba się przesłyszała.

Leszek zachichotał, jakby mu się udał przedni dowcip.

– Mówiłem, że to marzenie sprzed lat. Gdy byłem nastolatkiem, to tak się właśnie prosiło dziewczyny o bycie razem. O „chodzenie”. No a ja... ani zresztą Jarek nigdy nie zbliżyliśmy się do żadnej koleżanki na tyle, żeby z nią chodzić. Nie mówiąc o całowaniu! – Roześmiał się.

Więc się nie przesłyszała?

– Ja odbiłem to sobie później, Jarek – chyba wcale... – Leszek znów spoważniał.

– Chcę – powiedziała szybko. Wolała nie wiedzieć nic o tym, jak sobie odbijał, ani też nie chciała, by smutniał.

Leszek chwilę patrzył na nią bez słowa, a w oczach migotały mu szelmowskie iskierki.

– Ale ekstra!!! – powiedział w końcu. – Super, że się zgodziłaś! To co, chyba teraz znów wypadałoby się pocałować? – rzucił chytrze. – Już z moją dziewczyną! – Puścił do niej oko.

A ona znów się zgodziła.

– Witam, panie Jarku! – rozległo się spod drzwi dokładnie o jedenastej cztery. Zaaferowani sobą, swymi świeżo złożonymi deklaracjami oraz urokiem pierwszych pocałunków, zupełnie zapomnieli o tym, że do zakładu zwyczajnie może przyjść klient.

Lucyna odruchowo poprawiła włosy.

Leszkowi najwyraźniej służyła radość z posiadania dziewczyny.

– Ooo, witam pana! – odparł bez cienia wahania w głosie. Słyszał kiedyś, że najskuteczniej się negocjuje, stosując wobec rozmówcy jego własną broń: te same słowa, maniery i gesty. Kto powiedział, że ta zasada nie sprawdzi się także w sztuce kamuflażu?

– Jak zdróweczko? – Chciał wiedzieć przybyły.

– Pomalutku – odpowiedział wymijająco zdrobnionkiem na zdrobnionko.

– A to kto...? – zainteresował się klient, zawiesiwszy wzrok na Lucynie.

– Asystentki się pan dorobił, he, he?

– Narzeczonej, drogi panie! – łupnął śmiało Leszek. – He, he! – dodał w ramach konwencji.

– Oho-hooo...! – zadziwił się życzliwie facet. – Tośmy się z małżonką niepotrzebnie o pana martwili!

– Niezupełnie – odparł Leszek bardziej zbolalym tonem. – Faktycznie trochę niedomagam. Ale, jak to mówią – w jednym się pogorszy, w drugim polepszy. I oto przynajmniej ma mnie kto w chorobie pielęgnować. – Mówiąc to, patrzył na Lusię i mimowolnie się uśmiechał.

– Gdzie się takie piękne panny poznaje, i to tak nagle? – dociekał przybysz, żądny wieści.

– W internecie! – zadeklarował bez mrugnięcia okiem Leszek.

– Światowo! – rzekł z uznaniem klient. – Teraz to są szerokie możliwości... – rozmarzył się.

– A co mi pan tu przyniósł? – Leszek w roli szewca zdecydował się nakierować temat rozmowy na kwestie zawodowe.

– O, właśnie! – ucieszył się klient. – Żona mi tu bucik dała do pana. Kłapeczek jej pękł. O, tu, przez sam środek. Pan podklei?

– Nie warto podklejać! – włączyła się z przekonaniem Lucyna, rzuciwszy okiem na rzeczony kłapeczek. – Pan powie żonie, żeby sobie sprawiła na stoisku nówki za piętnaście złotych! Wydatek niewielki, a zawsze coś

nowego. Kobiety lubią mieć coś nowego. Może nawet sam jej pan coś wybierze? Rozmiar pan weźmie ze starego. Na pewno byłoby jej miło!

– Tak pani powiada...? – Klient wydawał się zbity z tropu. – Noo, ale przy takim podejściu, panie Jarku, to z torbami pana puści narzeczona – zwrócił się do domniemanego Jaromira.

– Nic nie szkodzi. – Leszek machnął ręką. – Wie pan, z powodu tej choroby to ja i tak już nie biorę żadnych nowych robót. Ale nie ma tego złego... W życiu potrzebne są czasem zmiany. I mnie się tak widzi, że ja już za długo jedno i to samo robię.

– Znaczy się: zamyka pan zakład?

– Zamykam – potwierdził Leszek zdecydowanie. I dla poparcia swych słów zakasłał dwakroć głęboko.

– I w jakiej branży teraz pan będzie działał, jeśli wolno wiedzieć?

– Na początek muszę podreperować zdrowie. A potem...? No, coś tam mi chodzi po głowie, ale na razie nie chcę zapeszać. Jeśli się uda, to wkrótce się pan dowie.

Klient cmoknął w podziwieniu.

– Cokolwiek by mówić, panie Jarku: kobieta to wszystko zmienia... No to, panie, tego. Kłaniam się państwu. I zdrowia życzę.

– Uszanowania dla małżonki! – Skłonił się szarmancko Leszek.

– To w jakiej branży teraz pan będzie działał, jeśli wolno wiedzieć? – powtórzyła Lucyna, gdy klient z kłapeczkiem opuścił zakład. – Tapicerstwo?

– O, nie nie. – Leszek skrzywił się na wspomnienie niedawnych wydarzeń. – Tapicerstwo całkiem mi zbrzydło. Zresztą nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki.

– A zatem co?

Leszek westchnął.

– Nie wiem. Blefowałem.

Lucyna chwilę coś rozważała.

– To ja ci powiem co – stwierdziła ostrożnie. – Dużo o tym ostatnio myślałam. To znaczy, z całym szacunkiem, nie o tobie i twojej pracy, tylko o sobie i o mojej. Otóż... nienawidzę tego, czym się zajmuję. Na samą myśl o powrocie za biurko robi mi się niedobrze. Elwira od dawna namawiała mnie do zmian, a ja wciąż czułam się niegotowa. No i spietrana, bo mam duży kredyt.

Na słowo „kredyt” Leszek drgnął nerwowo.

– Dwa tygodnie tutaj, na Mierzei, dały mi nową perspektywę. Elwira kazała mi wyłączyć komórkę, żebym nie angażowała się w telefony i maile z pracy...

– To o to chodziło z tym detoksem! – wtrącił Leszek.

– Tak, w moim przypadku o to. I prawdziwie odpoczywałam. Przestałam żyć sprawami, których dotąd nie udało mi się oddzielać od życia prywatnego.

„Może z braku ciekawego życia prywatnego” – pomyślała, lecz nie powiedziała tego głośno.

– I może dalej byłoby wspaniale, gdyby nie... twój brat.

Leszek pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Z drugiej strony... Oj, nigdy się nie spodziewałam, że to powiem! – parsknęła. – Wiesz, trudno to wyjaśnić, ale w całym tym widywaniu ciebie, kiedy jeszcze myślałyśmy, że jesteś zjawą, w strachu, w dociekaniu prawdy... było coś ekscytującego. Może niezdrowo ekscytującego – skarciła zaraz samą siebie.

– Może ci się podobałem? – zaryzykował żarcik Leszek.

– Może. – Policzki Lusi nieznacznie się zaróżowiły. – Ale nie tylko to. To znaczy, nie tylko ty. Cała ta niejasna sytuacja mi się w jakiś przedziwny

sposób podobała.

– Bo była jak z książek, które lubiłaś – zauważył Leszek.

– Otóż to! – zawołała z przejęciem Lucyna. – I to właśnie natchnęło mnie na myśl, że mogłabym... A najchętniej z wami: moglibyśmy się tym zająć zawodowo!

– To znaczy? – Nie zrozumiał Leszek. – Tropieniem zjaw? Jak w *Scooby Doo*?

– Nie zjaw. Ludzi.

– Czyli chciałybyś założyć...

– Biuro detektywistyczne! – obwieściła triumfalnie Lusja.

\*\*\*

Tymczasem Elwira odbywała swoją szewską pielgrzymkę. Było upalnie, słońce prażyło, do lipca, czyli szczytu sezonu nad Bałtykiem, brakowało czterech dni, a ona wędrowała z dwiema siatkami butów w poszukiwaniu rzemieślników, którzy tchnęliby w nie nowe życie.

Sprawa nie była wcale taka łatwa. Zależało im przecież na dyskrecji i na tym, by nikt nie powiązał tych hurtowych napraw z Jaromirem. Czyli z Leszkiem.

Najpierw wysiadła w Swarzewie. Gdzieś tu powinien być szewc. W gazetce reklamującej okolicę, którą znalazła w ich domku wśród broszur i przewodników, był spis punktów usługowych, a wśród nich i zakład szewski. Elwira się rozejrzała. Ciekawe, komu się opłaca naprawa butów w takiej miejscinie. Jaki przerób może mieć tutejszy szewc?

Doszła do końca głównej uliczki. Nic, żadnego szewca. Obejrzała się za siebie – też pusto, niczego nie przeoczyła. Cholera, niedobrze. Dziesięć par w jednym miejscu będzie jednak wyglądać podejrzanie. Poza tym fachowiec może się nie wyrobić.



Już miała zawrócić na stację, gdy nad sklepem monopolowym „Mocny Łyk” dostrzegła neon – żółte „U”, a w środku czerwoną cizemkę. Przez chwilę patrzyła zdumiona, nie rozumiejąc – szewc w oparach alkoholu? Weszła do środka. Przywitał ją chłód i przyjemny zapach chmielu. Właściwie to by się napiła. Cud, że wcześniej – wzięwszy pod uwagę okoliczności – tego nie zrobiła. Alkohol może jednak poczekać, skoro jest misja do wykonania. Rozejrzała się – przed nią była długa lada, za którą na regałach poustawiano napoje wysokokowe: poręczne buteleczki z kolorowymi wódkami, większe flaszki czystej, wina – taniochy w stylu „Impreza u Paździocha” i trochę droższe, obliczone na turystów, oraz wiele rodzajów piw.

Buta nie zauważyła ani jednego.

Z zaplecza wyszedł mężczyzna: około pięćdziesięcioletni, opalony, w koszulce polo, której rękawki napinały się pod obwodem bicepsów, z dużym złotym zegarkiem na ręce. Zmierzył – bardzo zainteresowanym – wzrokiem Elwirę od zgrabnych stóp, przez apetyczne kolana, pełne biodra, wąską talię, krągły biust, po piękną twarz.

– Dzień dobry. Czym mogę pani służyć?

– Dzień dobry. Szewca szukam.

– To dobrze pani trafiła. Proszę pokazać, z czym pani przychodzi.

Elwira raczej oczekiwała tekstu o pomyłce, nieistniejącym już zakładzie niż tak szybkiego załatwienia sprawy.

– Ale tak tu, na blat?

– Na blat. Bułek tutaj przecież nie sprzedajemy, ha, ha.

– Pan wybaczy, ale dopytam, bo zależy mi na odpowiedniej jakości usług. Kto i gdzie naprawia te buty?

– Pani się nie boi. Krzywda się pani butom nie stanie. Nie śmiałybym zawieść takiej pięknej kobiety. – Jego mina mówiła, że śmiałyby coś

zupełnie innego, gdyby tylko mógł. – Wuj jest szewcem. Na Helu. Zawożę mu, obrabia u siebie, i potem znowu przywożę. Punkt zbiórki prowadzę, można tak to nazwać. A wszystkie naprawy wykonane na tip-top, gwarantuję.

– No dobra, to proszę. – Elwira położyła siatkę na stole. Wyciągnęła jej zawartość. Dwie pary od Szablowskiej, jakieś klapki na obcasach z puszystym pomponem, zimowe botki w szpic i sandały z urwanym zapięciem.

– U, się uzbierało. Za pięć dni będą. Pasuje?

– Zupełnie nie pasuje. – Elwira lekko się nachyliła nad blatem, ponętnie eksponując biust.

Mężczyzna, mimo klimatyzacji, jakby się ciut spocił.

– Ale tyle butów za jednym zamachem? Wszystkie pani potrzebne?

– Wszystkie. Bo widzi pan – Elwira zaczęła zawijać kosmyk włosów na palec – ja się przebieram. Scenicznie. Jestem aktorką. – Posłała właścicielowi powłóczyście spojrzenie. – Mam swoje show, z którym jeżdżę w trasę. I tam odgrywam różne role. Mniej i bardziej grzeczne. Rozumie pan, prawda?

– Nnno, tak. Ekhem. Oczywiście. A kiedy to będzie? Pytam, żeby ewentualnie przyspieszyć, oczywiście.

– We Władku za cztery dni. Ale jeszcze mam próby, więc potrzebuję butów na jutro.

– Cholera, to jednak może być problem. Bo wuj...

– Bardzo proszę. Bardzo. – Elwira delikatnie dotknęła umięśnionego ramienia. – Och, ale twarde! – wykrzyknęła scenicznym szeptem. – Mam nadzieję, że jednak się uda.

– Uda. No uda się. – Facet patrzył na nią z nieukrywanym zachwytem. – Jutro będą, po dwunastej. Nazwisko pani?

– Imię wystarczy. Violetta. Przez V i dwa t. Dziękuję. I będzie mi miło, jeśli wpadniesz.

„Właściwie to dobrze, że Luśka została robić maślane oczy do Leszka – pomyślała, zamykając za sobą drzwi. – Połowa planu wykonana”.

Pół godziny później wysiadła z kolejnego pociągu na stacji w Pucku. Pewnym krokiem ruszyła w kierunku zakładu szewskiego, który był widoczny już z peronu.

Tym razem wszystko wyglądało klasycznie: duży szyld, na wystawie drewniane kopyto i czarne solidne buty, które wyglądały jak trumienne, oraz okazała paprotka. Od progu zapach kleju i skóry. Szewc jak się patrzy. Tym większe było zdumienie Elwiry, gdy zza regału wysunęła się kobieca głowa.

– Dzień dobry! – zaczęła uprzejmie Elwira. – Szewca szukam.

– To dobrze pani trafiła. Jestem. – Korpulentna sześćdziesięciolatka podeszła do kontuaru.

– Pani? – zdziwiła się Elwira.

– No ja. Boże, wszyscy się dziwią. A co to, zabronione kobiecie być szewcem? Mąż był szewc. Zmarło mu się, świeć Panie, a że jeszcze był ode mnie sporo starszy, to musiałam z czegoś żyć. Pomagałam mu wcześniej dużo, to już sporo umiałam. I tak tu sobie od piętnastu lat pracuję. Pewnie, lekko nie jest, plecy bolą, głowa boli, ale takie życie. Na chleb trzeba zarobić. – Obrzuciła Elwirę niechętnym spojrzeniem, zapewne sądząc, że takie jak one to pracować nie muszą.

„Niedobrze – przemknęło Elwirze przez głowę. – Trzeba wymyślić plan B”.

– Och, świetnie rozumiem. – Elwira posłała kobiecie miły uśmiech. – Ja tu jestem ze swoimi podopiecznymi. W domu opieki pracuję. Zabraliśmy naszych kochanych staruszków na urlop, żeby sobie trochę jodu

powdychali, słonka złapali. Ich rodziny miały ich spakować, bo nasz dom jest dzienny, na noc wracają do bliskich. I niech pani zobaczy, co oni im dali! – Elwira wysypała zawartość drugiej reklamówki na blat. – No tych pięć par to tylko do naprawy. Trudno, zapłacimy same – ośrodek nie może, bo państwowy, ale my się z koleżanką zrzucimy. Byle tylko nasi podopieczni mieli godne życie. – Przez chwilę pomyślała, że może przegięła z tym godnym życiem, ale jakoś jej pasowało. Sama się wzruszyła.

Pani szewc chyba też była pod wrażeniem, bo zapytała:

– A na kiedy to by miało być?

– Jak najszybciej. Niektórzy to tylko jedną parę wzięli. – Elwira, manifestując niedowierzanie połączone z oburzeniem, pokręciła głową. – Uwierzy pani?

– We wszystko uwierzę, kochana. We wszystko. Na jutro będą. Pasuje?

– Pasuje! Bardzo pani dziękuję. W imieniu swoim i staruszków.

„No proszę – pomyślała, wracając na stację – wychowawczynie w liceum zawsze mówiła, że mam talent aktorski. Może ja się marnuję, coachując tych swoich klientów?”.

\*\*\*

Przez szybę zakładu we Władysławowie Elwira zobaczyła Leszka. Nachylał się nad maszyną, w skupieniu przesywając cholewkę buta. Z mroku za nim wyłoniła się Lucyna; w ręku trzymała kubek. Postawiła go na blacie roboczym, obok maszyny. Nachyliła się do Leszka, coś mu mówiąc do ucha. „Pewnie pyta, czyby nie chciał obiadku” – pomyślała Elwira. Leszek i Lucyna wyglądali razem tak jakoś... dopasowanie. „Cholera, a może coś jednak z tego będzie?” – Elwira wciąż jeszcze ociągała się z wejściem, obserwując przyjaciółkę i jej nowego chłopaka

przez okno. Właściwie to mogła ich sobie wyobrazić razem. Nawet w tym zakładzie. Leszek by się jednak przyuczył, a Luśka wiernie by mu towarzyszyła. Wypisywała kwity, rozliczała robotę, przynosiła zupę w menażce. Potem może nawet Leszek by rzeczywiście zachorował od tych odurzających oparów, a Lusia by go pielęgnowała, stawiając mu bańki i przykładając pijawki. Jakby na zawołanie, Leszek zakaszłał, a Lucyna podniosła kubek z blatu i podała mu, zachęcając, żeby się napił.

„Dobra, wystarczy tych słodczy, wchodzę” – otrząsnęła się Elwira.

– O, jesteś – ucieszyła się na jej widok Lusia. – I to jak szybko! – W tej drugiej części radości było jakby mniej. – Jak ci poszło?

– Perfekcyjnie – odparła Elwira.

– Cóż za skromność. – Roześmiał się Leszek.

– Jarku, skromność już wypadła z zestawu cech pożądanых. Poczucie własnej wartości, zwłaszcza poparte sukcesami – to jest odpowiednie wyposażenie pracownika w dwudziestym pierwszym wieku.

– Nie było żadnych problemów? – Chciała wiedzieć Lusia.

– Były. Lecz problemy są po to...

– ...by je rozwiązywać – dokończyła Lusia.

– Otóż to. Muszę wam powiedzieć, że nawet mi się to podobało. W pierwszym miejscu musiałam udawać wampa i dać nadzieję na jakiś pozafinansowy ekwiwalent za skomplikowane obszycie obcasa, w drugim brałam na litość. Jestem wszechstronna, można powiedzieć. – Uśmiechnęła się promiennie. – Aż się nawet zastanowiłam, czy nie rzucić tego musztrowania swoich pacjentów i nie zająć się czymś, co wymaga i psychologii, i aktorstwa...

– Jak praca detektywa na przykład? – zapytał znieczeka Leszek.

– W pierwszym odruchu przyszła mi do głowy polityka, ale twój pomysł właściwie też niczego sobie.

– Pomyśleliśmy, że chcielibyśmy założyć biuro detektywistyczne – wypaliła Luśka.

Elwira popatrzyła na nich w lekkim osłupieniu.

– A skąd taki pomysł?

– Pomysł: wszyscy troje bardzo lubimy kryminały. I intrygi. I filmy sensacyjne. Dreszczyk emocji. Ja już mam dość swojego biurka, maili, spotkań, pism, baterii, mydełek, folderów. Życie mi mija dzień za dniem, no po prostu nuda i marazm. Jarek musi coś znaleźć, a wiadomo, że w pojedynkę biura się nie prowadzi. No to byśmy razem...

– Tak? – zainteresowała się życzliwie Elwira. – A jaki byłby podział?

– No ja bym się zajęła sprawami od strony archiwizacyjnej. Zbieranie dokumentów, analizowanie, dedukcja, rozmowy z klientami. Tak na chłodno wszystko. Jarek działałby na froncie, wiadomo, w takich sprawach zdarzają się niebezpieczne momenty, więc mężczyzna jest potrzebny. – Ze wzroku Lucyny wpatzonego w Leszka można było wywnioskować, że nie tylko w niebezpiecznych momentach Leszek będzie jej potrzebny. –

Przydałby się nam jeszcze jeden człowiek – profiler. Który potrafiłby ocenić, co jest prawdą, a co nie. Co się może wydarzyć, jakie jest prawdopodobieństwo różnych scenariuszy. Ktoś nie z wiedzą policyjną, tylko...

– ...psychologiczną – dokończyła Elwira. – Okej, wchodzę w to, wspólnicy.

# Rozdział 17

## Dzień 13.

Leszek kolejny raz obudził się parę minut po szóstej i nie mógł zasnąć. Po koziółku, jaki wywinęło mu życie, teraz dodatkowo splecione z życiem Jarka, wciąż jeszcze najtrudniej mu było zapanować nad bezsennością i natłokiem myśli. Wstał, wiedząc, że nie ma się co łudzić, że sen wróci. Poszedł do łazienki na szybki, chłodny prysznic, ubrał się w kolejny zestaw szaroburych ciuchów, zjadł miskę musli. Tak jak robią to Szwedzi, nie tylko zalał je wyjętym prosto z lodówki mlekiem, ale jeszcze wypił doń dodatkowy kubek równie lodowatego mleka. Potem poszedł do grobu Jarka. Postawił tam sobie mały pniaczek, który najprawdopodobniej służył bratu do rozłupywania drew do kominka, siadł na nim i podparł brodę na dłoniach, a łokcie na kolanach.

– Cześć, Jaro... – szepnął.

Siadał tu drugi raz – i znów, jak wczoraj, nie mógł się zdecydować, czy raczej się pomodlić, pogadać czy pomyśleć – robił więc wszystko po trochu, w różnych proporcjach i kolejnościach.

Na koniec podlał sownie Lusine niecierpki i skierował się do domu.

I struchlał.

Pod płotem stał granatowo-biały samochód, a przy furtce z niedziałającym dzwonkiem – dwóch policjantów.

Przyszli po niego.

Tęższy z nich, ciemniejszy i chyba starszy, zobaczywszy gospodarza, nacisnął klamkę furtki i obaj funkcjonariusze weszli do ogrodu.

– Dzień dobry! Czy pan Jaromir Kurowski? – spytał ten, który otworzył furtkę. – Chcielibyśmy zadać kilka pytań.

Byli mniej więcej w jego wieku. Zastanowił się, czy nie chodzili razem do szkoły, parę klas wyżej czy niżej.

– Tak, to ja – potwierdził, usiłując zapanować nad drżeniem głosu. – A o co chodzi?

– Aspirant Grzegorz Kownacki i starszy sierżant Bartosz Panek – przedstawił siebie i kolegę wąsacz; ten pierwszy. – Przejdźmy może do domu? – zaproponował. – Musimy pana wylegitymować.

Nazwiska nic mu nie mówiły.

– Oczywiście, proszę. – Leszek poszedł pierwszy, otworzył drzwi i wysupłał z wiszącego w ganku plecaka wysłużony portfel Jarka, a z niego jego dowód. Pracował jednocześnie nad tym, by wyrównać oddech.

– Kiedy ostatnio widział się pan z bratem? – spytał młodszy policjant o płowych włosach.

– Rok temu, latem – odpowiedział zgodnie z prawdą Leszek. – Brat mieszka w Szwecji, w sierpniu ubiegłego roku przyjechał na parę dni w rodzinne strony na urlop. – Tu już nieco odwrócił fakty.

– Czy kontaktował się z panem od tamtej pory?

– Tak. Dzwoniliśmy do siebie na święta, na imieniny.

– Wiedział pan, że brat ma kłopoty?

– Jakie kłopoty? Czy coś się stało?

– Nie mówił panu? – spytał wąsacz.

– Cóż... Nie byliśmy ze sobą bardzo blisko.

– Bliźniacy – i niezbyt blisko...? – Zmarszczył brwi blondyn, ten młodszy.



– Niestety tak – potwierdził Leszek z autentycznym żalem. – Obaj... jesteśmy raczej zamknięci w sobie. Nie mamy łatwości we wzajemnych kontaktach, w rozmowie, okazywaniu emocji. – Starokawalerskie wnętrza oraz bury strój starego zrzędy wymownie zaświadczały o tym, że mówi prawdę. – A dlaczego o niego pytacie?

– Zaraz panu powiemy – uspokoił płowy. – Najpierw nasze pytania.

– Pan wyglądał na rozczarowanego, zobaczywszy nas przy furtce – ocenił starszy. – Spodziewał się pan kogoś innego?

– Nie wiem, czy „rozczarowany” to najlepsze słowo. Byłem raczej zaskoczony. Nie co dzień widzę pod moim domem radiowóz – wyjaśnił Leszek. – Choć właściwie... Tak. Czekam na koleżanki. – W duchu pogratulował wąsaczowi spostrzegawczości.

– Koleżanki?

– Owszem.

– Łatwiej panu nawiązywać relacje z kobietami niż z bratem bliźniakiem?

– Na to wygląda... Czy już mogę wiedzieć, o co chodzi z bratem?

– Jest oskarżony o malwersacje finansowe – powiedział wąsacz, przyglądając się, jakie to zrobi na Jaromirze wrażenie.

– Rany boskie... – jęknął Leszek, prawdziwie zafrasowany.

Z ganku dobiegło pukanie do drzwi.

– To pewnie koleżanki? – zagadnął z kamienną twarzą młodszy stopniem starszy sierżant.

– Pewnie tak – przytaknął Leszek.

– Proszę im otworzyć.

Leszek pospieszył do drzwi. Otworzył i wymienił z dziewczynami szybkie spojrzenia.

– Cześć, Jarku! – zawołała jowialnie Elwira i głośno cmoknęła go w policzek. – Cóż to, masz gości z policji...?

– Cześć... – szepnęła Lusja i także pocałowała go po koleżeńsku. „Jarek” wciąż z trudnością przechodził jej przez gardło.

– Aspirant Grzegorz Kownacki i starszy sierżant Bartosz Panek – powtórzył prezentację wąsacz. – Czy mogę prosić panie o dokumenty?

– Który z panów to który? – Jak wiadomo, Elwira nie znosiła wszelkich legitymowań, postanowiła więc oswoić nieco sytuację przez jej zagadanie. Tak samo robiła u ginekologa: nie znosiła być badana, więc całą tę zawstydzającą sytuację obficie zagadywała – jakby mogła tym odwrócić uwagę lekarza od swych intymności.

– Ja jestem aspirantem – oznajmił wąsacz. – A mój kolega to starszy sierżant.

– A który stopień jest wyższy? – wypytywała dalej. – Albo nie, proszę mi dać zgadnąć! Aspirant pewnie do czegoś aspiruje. Na przykład do sukcesu, awansu. Czyli jest niższy. Sierżant, w dodatku: starszy – jest wyżej. Mam rację?

Panowie wymienili się uśmiechami.

– Niestety nie – odparł płowy. – Aspirant jest wyżej od sierżanta. Nawet starszego.

– Och, doprawdy...? – zdumiała się szczerze Elwira. – „Sierżant” brzmi tak godnie!

Płowy, który z początku wydawał się drętwym służbistą, zniecka się roześmiał. Ładna kobieta podejmowała z nimi jakąś gierkę, ciekawe.

Rozmowa tylko chwilę opóźniła legitymowanie. Dziewczyny wyjęły z torebek portmonetki, z nich dowody i wręczyły je funkcjonariuszom.

– Panie to dla pana Jaromira...? – zawiesił głos aspirant, zachęcając je do dokończenia.

– Znajome. Sąsiadki. Mieszkamy na Morskiej trzy. W Juracie – rzekła Elwira.

– Meldunki warszawskie. Czyli nie mieszkają tu panie na stałe – zauważył sierżant.

– A skądże! – Do zagadywania włączyła się Lusia. – My tu tylko przelotem; na urlopie jesteśmy. Zatrzymałyśmy się u Górniczych – rzekła oględnie, nie wnikając w szczegóły, na wypadek gdyby Górniccy nie całkiem oficjalnie parali się wynajmem i na przykład nie płacili podatków.

– I zakolegowałyśmy z Jarkiem – dokończyła Elwira.

– I odwiedziły go panie o tak nietypowej porze? – spytał podejrzliwie starszy sierżant.

– Nie odwiedziłyśmy, tylko jedziemy razem z Jarkiem. – Lucyna, przyszła pani detektyw, podjęła heroiczną grę w obronie ukochanego. – Jarek jest szewcem, ma zakład we Władysławowie. A mnie się właśnie rozpadły ulubione espadryle. Tak się poznaliśmy.

– Ma pani przy sobie te buty? – spytał wąsacz, patrząc wymownie na ich torebki. Lucyna miała małą listonoszkę, przewieszoną przez ramię, Elwira wyplatana torbę plażową; jak dostrzegł, gdy wyjmowała portfel, prawie pustą.

– Nie, no są już w zakładzie! – Lusia przeszła pozytywnie ten test na logikę. – Przecież mówię panu, że się poznaliśmy, jak się popsuły i oddawałam do naprawy. A teraz razem tam jedziemy.

– I nie szkoda wam urlopu na fatygowanie się pociągami do Władysławowa? Pan nie mógł przywieźć koleżance tutaj tych... eee... espadryli? – drażył wąsacz.

– Nie, bo ja chcę sama wybrać kolor przeszycia – rzekła Lucyna z uczuciem. – Ważne, żeby nitka dobrze kontrastowała z tłem. Nie wiem, czy najlepsza będzie głęboka czerwień, ceglana czerwień czy może wiśnia,

dlatego ocenię na miejscu, który kolor mi się podoba. Wie pan, jestem perfekcjonistką. – Lusia szyła ten wywód tak pokrętnie, że Elwira była coraz bardziej zaniepokojona, czy Lu wytrzyma presję i się nie wysypie.

Wąsacz pomyślał, że nie doceniał drobiazgowości kobiet oraz wyzwiań stojących przed usługodawcami, którym się trafia wymagająca klientka. Spojrzał na szewca z szacunkiem.

– Miałyście okazję poznać brata pana Jaromira? – zmienił więc temat.

– Jakiego brata? – spytała uprzejmie Elwira. – Masz brata i nic nam nie powiedziałaś? Mógłby do nas dołączyć!

– Czy my się właśnie nie spóźniamy na pociąg? – zagadnęła słodko Lusie.

\*\*\*

– Rany julek! – Lucyna klapnęła na krzesło, ocierając pot z czoła.

– No – przytaknęła Elwira, szturchając ją przyjaźnie w ramię. – Kto by pomyślał, że chrzest bojowy jako pracownicy przyszłej agencji detektywistycznej przejdziemy tak szybko.

– Wyśmieniecie się spisałyście. – Leszek nie krył podziwu. – Pode mną się nogi ugięły. Miałem wrażenie, że cały czas się trzęsę. Chociaż chyba wyszło przekonująco. O, na przykład ten stary portfel, z którego wyciągałem dowód. Miałem pokusę, by zamienić na swój...

– Nigdy w życiu! – wrzasnęła zniecierpliwiona Elwira, aż oboje z Lucyną podskoczyli. – Ludzi gubią szczegóły. Szczegółiki nawet. Sprawy duże mają ogarnięte, a wykładają się na drobiazgowościach. Skarpetka na lewą stronę włożona, wystająca z kapci, choć rano mąż się ubrał jak należy. Zachowana na pamiątkę wizytówka hotelu, którą żona wepchała głęboko do portfela, a potem, kiedy szuka telefonu do hydraulika, wypada, frunąc wprost do stóp męża. Niewylogowanie się z alternatywnego konta. Niepodarty

rachunek z kwiatami, który trafił obok kosza na śmieci. Zapach perfum na kołnierzyku. Nagłe zmiany w garderobie. Nawet zbyt dobry humor. Gdy się coś przeszkobie, to trzeba cały czas mieć się na baczności.

Leszek vel Jaromir zbladł.

– To jednak trochę koszmar.

– Raczej kwestia wprawy. Rutyny. Poza tym za jakiś czas zaczniesz sam o sobie myśleć: Jaromir. Tylko musisz być wobec siebie przekonujący. Poćwicz. Może być w parze z Lusią – zakończyła słodko.

– Wszystkim nam się przyda trening – przytaknęła zgodnie Lusia, ewidentnie zadowolona z przyszłych ćwiczeń.

– Dobra, to w jego ramach ruszamy w teren. Pan Jaromir z nowo nabytą narzeczoną...

Lusia pokraśniała, trochę z emocji, trochę z zawstydzenia, ale najbardziej z radości.

– ...do warsztatu, a ja po odbiór butów. Kartkę na drzwiach zmieniliście?

– Jaką? A, tę z trzydziestym pierwszym lipca? No jeszcze nie. To co teraz piszemy? – Lucyna spojrzała najpierw na przyjaciółkę, a potem na Leszka.

– Że z powodów osobistych zakład ulega likwidacji. Prosi się o odbiór butów, nowe nie będą przyjmowane do naprawy. Oszczędnie informuj o swoich problemach. Czasem pokasłuj. Żadnych szczegółów nie zdradzaj. Pamiętaj, Jarku: nie wzbudzać sensacji, nie brać na litość, po prostu delikatnie się usuwać w cień lokalnego życia. Jasne?

– Jasne – odpowiedziała Lusia.

Leszek potakująco pokiwał głową.

– No, to zbieramy się, proszę wycieczki. – Elwira energicznie ruszyła do wyjścia.

\*\*\*

W zakładzie panował półmrok.

– Kurczę, jak tu jest mroczno. Ciekawe, czy twojemu bratu to nie przeszkadzało?

– Trochę chyba tak. Zobacz, próbował wprowadzić tu pozory życia. – Leszek wskazał na dużą doniczkę z jakimś kwiatem o grubych, ciemnozielonych liściach, które wyglądały jak miecze zrobione z blachy falistej. – Zawsze bardzo lubił przyrodę. Pewnie i z tego powodu postanowił zostać w Jastarni na zawsze. Mieszkać przy lesie, wychodzić z domu wprost na trawę, spacerować brzegiem morza, spędzać czas w szuwarach nad zalewem. Wolał naturę od ludzi.

– No, pewnie tak. Ale przecież mógłby jakoś inaczej zaaranżować to miejsce. Pomalować ściany na jasny, ciepły kolor. – Lucyna ze smutkiem zatrzymała wzrok na musztardowej farbie olejnej pokrywającej lamperią pomieszczenie. – Odnowić szafki. Czy ja wiem... Widać tu brak zainteresowania.

– Raczej brak kobiecej ręki. – Leszek ujął ciepłą dłoń Lusi, podniósł ją do ust i ucałował. – I skoro jesteśmy w temacie: ja bym skończył te trzy pary, które mi zostały. To same obcasy, prosta sprawa, pójdzie łatwo. A ciebie bym poprosił o sprawdzenie zawartości zaplecza: tej szafki pod ścianą i biurka obok. Może jest tam coś ważnego.

Lucyna uśmiechnęła się i poszła robić to, co lubiła i umiała: przeglądać, segregować, porządkować.

Człowiek jest zawsze taki sam: i w domu, i w pracy. Nawyków się nie zmienia w zależności od warunków. W szufladach skromnego biurka Jaromir trzymał kwity na wykonane naprawy, rachunki za różne materiały szewskie, specyfikację techniczną maszyny do szycia, zestawy dużych igieł w przezroczystych pudełkach. Słowem, nic ciekawego, nic ważnego. Żadnych prywatnych wtrętów. Lepiej to jednak spakować i na raty

powywozić, bo nigdy nie wiadomo, czy gdzieś nie kryje się jakiś szczegół, o którym wspominała Elwira. A przecież zakład trzeba będzie zwolnić, gdy już się skończy umowa najmu.

Rozejrzała się za jakąś siatką lub pudełkiem. W szafie niczego takiego nie było. Trudno, włoży się w te siatki, w których Elwira przywiezie buty. Otworzyła trzecią, najmniejszą szufladę. „Ciekawe, co facet mógłby tu schować” – pomyślała. Idealne miejsce na kobiecą biżuterię, a nie na szewskie szpargały. Była w niej tylko jedna rzecz – telefon komórkowy.

– Le... Jarek, zobacz co mam! – Podekscytowana podeszła do Leszka. – Chyba Jarka. Już dawno nie widziałam takiego modelu. Twój brat musiał go nie zmieniać od lat.

Aparat był stary, ze skromnych rozmiarów ekranem.

– Opis pasuje. Poczciwy, oszczędny Jaro. – Leszek uśmiechnął się do Lucyny. – Pokaż. Rzeczywiście starość. Póki coś było dobre, Jarek nie wymieniał. Nowinki nigdy go nie pociągały.

W aparacie wszystko było czarne: obudowa i ekran. Wyglądał posepnie i solidnie. Nie świecił jednak, więc albo był zepsuty, albo wyłączony.

– Spróbuję uruchomić. Choć jeśli rozładowany, to nie zaskoczy, trzeba najpierw go podłączyć do sieci. Nie ma tam ładowarki?

Lucyna wróciła do biurka. Już miała ogłosić fiasko poszukiwań, gdy zauważyła cienki kabel zwieszający się przy plecach biurka. Ładowarka musiała się przesunąć poza tylną ścianę szuflady.

Podłączyli komórkę do prądu. Po kilku minutach pojawiło się zielone światełko. Urządzenie odzyskiwało moc.

– Włączę, co? – zapytał Leszek.

Lucyna pokiwała głową. Trochę się denerwowała. Wchodzili w prywatny świat człowieka, który już nie żył.

Telefon pyknął i ekran rozbłysnął. Pojawiło się logo operatora.

– I już? Tak bez kodu?

– Jarek nie komplikował sobie życia. Poza tym przed kim by miał blokować informacje?

„Słusznie” – westchnęła w duchu Lucyna. Życie w pojedynkę to brak kłopotów, ale i brak kolorów.

Telefon milczał. Po chwili wydał z siebie kilka piknięć. Spływały jakieś wiadomości. Na ekranie pojawiła się koperta i kwadracik.

– Chyba wiadomości. Jak się obsługuje takie starocie? – Leszek stukał w ekran, ale telefon chodził jak czołg. – O, mam. SMS. Z urzędu miasta. Przypominają o selektywnej zbiórce odpadów. I drugi. Dziękują za opłacenie prenumeraty „Ornitologa Hobbysty”.

„Tak, zdecydowany brak kolorów” – pomyślała Lucyna.

– Czyli teraz jeszcze nam zostały maile do sprawdzenia. – Leszek szukał kolejnych ikonk. – O, jest coś – ożywił się. – Bank – westchnął po chwili.

– Ciekawe, bo w domu nie było żadnych wydruków z banku. A to może być ważne. Bo jeśli się ma konto i przestanie płacić za obsługę, a tam nie ma środków, to się robi saldo i przychodzi komornik. Moja koleżanka z pracy tak miała. Zmieniła bank, zapomniała zamknąć konto i po roku jej z pensji potrącili pięć stówek. Samego długu kilkanaście złotych, ale opłata za czynności komornicze...

– Nie, to nie w tym przypadku... – Leszek jakby zbladł.

– Coś złego? – Lucyna poczuła charakterystyczny ścisk w gardle.

– Nie, wręcz przeciwnie. Jarek – tu Leszkowi głos niebezpiecznie zmiękł – nie dostawał wyciągów, bo wybrał wersję elektroniczną. Naprawdę kochał przyrodę, skoro przełamał swoje przyzwyczajenia i zrezygnował z tradycyjnego papieru. I teraz mu przesyłają informację o kapitalizacji odsetek do konta oszczędnościowego – mówił, wpatrując się w ekranik. –



Trzysta siedemdziesiąt pięć złotych, osiemdziesiąt dwa grosze. To odsetki. A w sumie na koncie ponad sześćdziesiąt tysięcy.

Leszek spojrzał na Lucynę.

– Matko – wyszeptała. – To jak gwiazdka z nieba.

– Jest w tym jakaś ironia – westchnął Leszek. – Całe życie oszczędzał, żadnych przyjemności sobie nie fundował, a kasa dostała się mnie.

– Może nie ironia, a gest opatrności? – Lucyna delikatnie pogłaskała go po ramieniu. – Przecież to zostanie w rodzinie, prawda? Dzięki tym pieniądzom łatwiej ci będzie zacząć nowe życie. To wiele ułatwi. Ja na przykład nie mogłam spać. Zastanawiałam się, jak to wszystko przeprowadzić. Podjęłam decyzję, mam po kokardę swojej pracy. W końcu włączyłam komórkę. Dwanaście dni urlopu i dwieście siedemdziesiąt sześć maili! O nowych bateriach, odpływach, elastycznych wężykach, promocjach, reklamacjach. Całe życie w złączkach i syfonach! – Lucynie aż się zatrzęsa broda. – Na miejscu, w tym kieraciku, tak się tego nie widzi. Ale te wakacje, choć nie były tradycyjne, a może właśnie dlatego, zmieniły moje patrzenie na życie. Kilka razy rozmawiałyśmy z Elwirą tak inaczej, głębiej, szczerzej. Lepiej poznałam ją, ale przede wszystkim siebie. No i nasza sytuacja... – Zawiesiła głos, odchrząkując gulę łez, która wypełniła jej gardło. – Ale kiedy sobie pomyślę o wcielaniu tych zmian w życie: wypowiedzenie, pensja jeszcze przez trzy miesiące, a potem to nie wiadomo, bo zanim się zacznie rozruch, to będzie czas posuchy. A tu kredyt i opłaty...

– Lusi... – Leszek podszedł do niej i delikatnie pogłaskał ją po włosach.

– Potraktujmy to jako podwójny kupon od opatrności. Zostaw tę pracę i na razie nie wracaj do Warszawy. Pieniądze mamy. – Postukał palcem w ekranik telefonu. – Na czas przejściowy wystarczy. A potem... Potem będzie dobrze.

Lucyna podniosła brodę. Spojrzała Leszkowi w oczy. Zobaczyła w nich spokój, dobro. I miłość.

Pocałowała go.

\*\*\*

– O, ho, ho, gołąbeczki, czy aby nie przeszkadzam? – W progu stanęła Elwira z dwiema siatkami butów.

– A skąd! W samą porę! – zapewnił Leszek. – Pora ustalić plany na przyszłość. A przy okazji: nasze nowo powstałe biuro właśnie odnotowuje pierwszy sukces: znalazła się komórka Jarka. A dokładniej znalazła ją pani prezes Lucyna S.

– Prezes...?

– A w komórce? Coś ciekawego?

Znów zapytały jednocześnie.

– Na przykład numery telefonów tych nieszczęśników, których buty dźwigam tu z samego Pucka i Swarzewa...? – uściśliła swoje pytanie Elwira.

– Założycielce i pomysłodawczynie chyba należy się prezesura? – Leszek odpowiedział najpierw Lucynie, następnie zwrócił się do Elwiry: – Nie. Numerów telefonów niewiele. Ja, usługi asenizacyjne, dwóch kolegów z koła wędkarskiego, bank, ubezpieczycielka, kuzyn ze Szczecina.

– Kuzyn ze Szczecina? – Elwira wzmogła czujność.

– Nieszkodliwy – uspokoił Leszek. – Sparaliżowany, od lat nie wychodzi z domu.

– Uff, to dobrze. – Elwira postawiła torby na ziemi, a sama przysiadła na ladzie. – To znaczy, naturalnie niedobrze, ale dobrze w naszym kontekście. Im mniej znajomych, tym mniejsza groźba wpadki.

– Napijesz się czegoś? – zagaiła Lucyna, gotowa zakrzętnąć się wokół czajnika.

– Przeciwnie. – Pokręciła głową Elwira. – Zjem. Jestem głodna jak wilk, a wy?

– Słusznie, pora na obiad – przyznał Leszek. – Wolicie kebab czy obiady domowe u Eweliny? Ja oczywiście zapraszam – dodał szarmancko.

– Falafel z kebabowni – oznajmiła Elwira.

– Kebab z kebabowni – zgłosiła Lucyna.

– Czyli wszystko jasne. Chodźmy!

Akurat zwalniał się jeden z trzech stołów na świeżym powietrzu. Zajęli go z zadowoleniem, a Leszek poszedł złożyć zamówienie.

– Słuchaj, El... – podjęła Lucyna trochę niepewnie, gdy zostały same. – Powiedz mi, tylko najszczerzej: co ty byś sobie pomyślała, gdybym ja tu została?

– Źle postawione pytanie – oceniła Elwira. – Mniej przejmowania się tym, co pomyślą inni, Lu. Słuchaj siebie!

– Nie pytam jakichś innych, tylko ciebie. Twoje zdanie jest dla mnie ważne.

– Ale nie powinno przesądzać o tym, czy coś zrobisz, czy nie. Masz ochotę zostać?

– Mam. Ale...

– Żadnych „ale”.

– Daj mi skończyć – zażądała Lucyna. – Przyjechałyśmy tu razem. Gdybym cię zostawiła i została, czy to by nie było nielojalne? Jak byś się z tym czuła?

– Lu. – Uśmiechnęła się wyrozumiale Elwira. – Czy ja jestem zazdrosna?

– Jeśli nie masz o co, to nie jesteś.

Elwira jęknęła.

– Lu. Nikt nie jest zazdrosny, jeśli nie ma o co!

Lucyna zamachała rękami.

– No, chodzi mi o to, że nigdy dotąd nie miałaś mi czego zazdrościć! Wszystko masz... lepsze. – Odkryła nagle z całą wyrazistością.

– Daj spokój! – prychnęła Elwira.

– Ależ tak przecież! Aż dziw, że... to akurat ja... To znaczy mnie... Przydarzyło się... – zacukała się Lucyna.

– Leszek znacznie lepiej pasuje do ciebie niż do mnie. Nie rywalizowałyśmy o niego ani przez moment. Nie chcę przez to powiedzieć, że jest nieinteresujący, raczej... że ja nie byłam zainteresowana. Ani on mną. To w tobie się zakochał! – Elwira posłała przyjaciółce uśmiech wyjątkowo niczym niepodszyty – ani ironią, ani sarkazmem, ani żadną inną dwuznacznością. Był to zwykły, szczerzy, serdeczny i dobrze życzący uśmiech przyjaciółki dla przyjaciółki. – A co się tyczy lojalności – podjęła po chwili – to ja absolutnie nie czuję, żebyś była wobec mnie nielojalna. Przyjaźń to nie jest związek monogamistyczny. Zakłada pewną wolność, choćby w obszarze miłości. Jest fajne indiańskie przysłowie o tym, że dziecko jest gościem w twoim domu. „Nakarm, naucz i puść wolno” – radzi to przysłowie. Myślę, że można to rozciągnąć też na przyjaźń. Jeśli więc potrzebujesz ode mnie jakiegoś utwierdzenia albo błogosławieństwa – to oto niniejszym uroczym cię puszczam, życząc szczęścia!

– Ale to nie znaczy, że zrywasz ze mną kontakt? – dopytała podejrzliwie Lucyna.

– Zwariowałaś! – Elwira wzniosła oczy ku niebu, aktualnie przysłoniętemu wielkim rondem kapelusza. – Przecież będziemy razem prowadzić biuro!

– Przepraszam, że tyle to trwało – odezwał się nad ich głowami Leszek – ale kolejka wiała się aż po drzwi. Macie tu lemoniadę, resztę zaraz doniosę.  
– Postawił na stoliku tacę z trzema wysokimi szklankami i wrócił do środka po dania główne.

Lucyna pierwsza odsunęła od siebie talerz, na którym wciąż tkwiła połowa niezjedzonego dania.

– Pękam – obwieściła. – Co za gigantyczne porcje...!

– Zakochanie odbiera apetyt – podsunęła usłużnie Elwira, skubiąc dalej swój falafel z wielką sałatką. – Słuchajcie, podsumujmy, na czym stoimy. Lucyna i Jarek: zostajecie razem na Morskiej. Tu drobna uwaga, Lu: byłoby miło, gdybyś w ten weekend wysłała pracodawcy drobną depezę o tym, że odchodzisz oraz nie zamierzasz już pojawić się w pracy. Wiele bym dała, by zobaczyć ich miny! – zachichotała Elwira.

– Ja też... – przyznała Lucyna.

– Zostajecie więc, wydajecie klientom resztę butów, zamykacie zakład. Jeszcze raz przypominam o zmianie kartki z informacją w oknie. Wywalcie tę o chorobie, dajcie o zamknięciu na stałe. Niech zabierają buciska.

– Może, skoro znaleźliśmy Jarka komórkę, to po prostu napiszemy jego numer i żeby się telefonicznie umawiali na odbiór? Bo po co właściwie mamy tam siedzieć i tracić czas? – zauważył Leszek.

– Słuszna uwaga, detektywie J.! – pochwaliła łaskawie Elwira. – Dalej: żeby nie spocząć na laurach, przeżerając całe Jarkowe oszczędności, powinniście załatwić formalności związane z biurem. Zarejestrować firmę itepe.

– A jak ono się właściwie będzie nazywało? – zagadnął niespodziewanie Leszek.

– Ono?

– No, nasze biuro. Ta firma.

– Wymyślmy. Anglosasi daliby nazwiska.

– Szychowska, Motyl, Kurowski? Okropne, za długie i za szeleszczące!

Tylko ja z was wszystkich mam sensowne nazwisko! – Elwira uniosła rondo swego kapelusza i zrobiła jaśniepańską minę.

– Szychowska i wspólnicy? – podsunął Leszek.

– Nie, nie! – skrzywiła się Lucyna. – Jak kancelaria adwokacka.

– Fakt.

– A jakieś skróty, pierwsze litery imion albo nazwisk?

– L & L & MotyL? – zaryzykował Leszek.

– Jakie L?! – skarciła go Elwira. – Przecież masz imię na J! – powiedziała z naciskiem.

– To może tropem literackim? Na pomysł biura wpadliśmy przecież przez książki, które, jak się zgadaliśmy, wszyscy czytaliśmy! – zaproponowała Lucyna.

– Pan Samochodzik – zgłosił Leszek.

– No co ty! Jak warsztat! – obruszyły się dziewczyny.

– Skupmy się – zarządziła Elwira. – Pomyślcie, jakiego typu zlecenia będą nam się trafiały najczęściej? Przecież nie trupy, nie duchy, tylko śledztwa! A dokładniej: śledzenia. Podejrzliwe żony wynajmują nas do chodzenia trop w trop za mężami. Mężowie – do dyskretnego nadzoru wiarołomnych żon.

– Mój zapał jakby nieco ostygł... – westchnęła Lucyna.

– A czego się spodziewałaś? Zresztą nie podpadaj, to może być całkiem fajne. No i źródło zleceń mamy murowane!

– A skąd? – zdziwiła się Lucyna.

– Co trzeci mój pacjent to zdradzający albo zdradzany. Mogę im wręczać ulotkę. A jeśli jakimś cudem ich by nam było mało, to powtórzmy numer

z Mordorem: znów wydrukujemy trzy tysiące ulotek i poroznosimy je po korporacjach.

– Wspaniale wykombinowane! – rzekł z podziwem Leszek. – Pani Elwiro – teatralnie wznosił szklankę z resztką lemoniady – interesy z panią to czysta przyjemność! A zatem postuluję nazwę: Don Pedro.

– Jaki „Don Pedro”? – Nie nadążała Elwira.

– Z Krainy Deszczowców. Taki czarny typ, wiecznie się skradający gdzieś w tle.

Elwira się skrzywiła.

– Ee. Nie będą nas brali poważnie.

– Mam! – wykrzyknęła Lucyna. – Orient Ekspres!

Elwira spojrzała na nią z namysłem.

– Pochodzenie jasne: z Agathy Christie. I brzmi fajnie. Ale jak to dopasować do naszych usług...? – rozważała głośno.

– No jak to jak? – Roześmiał się Leszek. – Już nawet widzę nasz slogan! „Biuro Detektywistyczne Orient Ekspres. Zorientowani i ekspresowi”!

\*\*\*

– To za co pijemy? – Elwira wprawnym ruchem odkorkowała czerwone wino, które kupili, wracając z zakładu.

– Zwykle w takich okolicznościach świętuje się udany wyjazd... – podsunęła Lucyna, choć bez przekonania.

– Nie kuśmy losu. Dziś mija trzynasty, przedostatni dzień wakacji. Kto wie, co nas jeszcze może spotkać – przytaknęła Elwira z poważną miną. Po chwili jednak wybuchła śmiechem: – E, no żarcik. Wszystko będzie dobrze. Wyczerpaliśmy już pulę nieszczęśliwych przypadków. Teraz pora na dobre życie.

– Oby. – Lucyna, do tej pory energiczna i nastawiona na działanie, teraz jakby oklapła, jak balonik trzeciego dnia po napompowaniu: niby jeszcze kształtny, wciąż się unosi nad podłogą, ale trochę powietrza z niego zeszło.

– Lusu, coś się stało? – zaniepokoił się Leszek.

Lucyna ciężko westchnęła.

– Nie, no właściwie nic. Oczywiście prócz tego, co się wydarzyło w ciągu ostatnich niecałych dwóch tygodni. A, szkoda, że nie widziałeś miny Górnickich, którzy wpadli dziś do nas, umawiając się na oddanie kluczy! – Lucynie nagle wrócił humor. – Przyszli obydwój, bardzo mili i troskliwi. Pytali, jak nam się mieszkało, czy wszystko było w porządku, czy może coś powinni dołożyć, zmienić. Odpowiadamy, że nie, że super. Ucieszyli się bardzo i mówią, że wszyscy chwalą ich domek, bo taki ładny, na uboczu i tak można tu odpocząć. Niektórzy tylko się skarżą, że trochę nudno, nic się nie dzieje. Rany, gdyby się dowiedzieli, na czym nam czas upłynął!

– Właściwie to powiedzieli: „Baliśmy się, że się panie zanudzą na śmierć” – przypomniała z szelmowskim uśmiechem Elwira.

– Ej, no przestań – skarciła ją Lucyna. – Nie wypada tak. Zwłaszcza tu... przy niecierpkach. – Skinęła głową w kierunku kolorowej rabaty.

– Oj, widzę Lucy, że stres cię dopadł. – Elwira poklepała przyjaciółkę po ramieniu. – To o co tak właściwie chodzi? Bo przecież nie o niewinny żarcik językowy.

– Ty się rzeczywiście nadajesz na detektywa – westchnęła Lucyna. – No boję się po prostu, jak to się poukłada. Dopóki tyle się działo, wciąż coś załatwialiśmy, nie było czasu na myślenie. A teraz... Poza tym do tej pory wszystko w moim życiu było zaplanowane i krok po kroku realizowane. A teraz rach-ciach i wywrotka. Czy takie rzeczy się udają? – zapytała, patrząc na Elwirę.



– Wyłącznie takie się udają – odpowiedziała z przekonaniem w głosie Elwira.

– Ale to nie za szybko? – Lucynie z trudem szło opuszczanie utartych kolein.

– Konie nadziei pędzą galopem, a osły doświadczenia idą stępa – zacytowała Elwira. – Zawsze to powtarzam swoim klientom.

– I co, słuchają? – zainteresował się Leszek. – Pomaga im to?

– Generalnie tak. Choć zdarza się, że do galopu puszczają się osły... – westchnęła Elwira.

– Przekonałaś mnie – ożywiła się Lucyna. – Ale takie chwile zwątpienia to nic złego – zastrzegła jednak.

– Oczywiście – zgodziła się Elwira. – Mogą cię dopaść. I wtedy, żeby się im nie dać, trzeba działać. Zająć czymś umysł i ciało. Mamy coś do roboty?

– No spakować się, ale to dopiero, gdy wrócimy na Morską trzy. Kartka w zakładzie wisi, buty naprawione, rzeczy Leszka spalone...

– A wypowiedzenie do pracy wysłałaś? – zapytała Elwira.

– Cholera, nie! – Przypomniała sobie Lusia.

– To warto. Bo za dwa dni powinnaś być przy biurku. Lepiej odejść, niż mieć dyscyplinarkę.

– Ale jak mam napisać? W komórkę trudno się wstukuje.

– To na kartce napisz. I wyślesz poleconym. Albo nie, bo znając naszą pocztę, to po wakacjach dojdzie. Ja podrzucę w twoim imieniu. Jaro, daj kartkę, machniemy od razu.

Leszek podszedł do kredensu.

– W lewej szufladzie powinny być – poinstruowała go Lusia. – Widziałam jakąś papeterię, kiedy przeglądałyśmy rzeczy twojego brata.

Leszek nachylił się i zaczął sprawdzać zawartość szuflady.

– Zeszyt w kratkę, notes, kartka, ale pogięte – wyliczał pod nosem. – O! Mam papeterię. Nawet nienapoczętą.

Położył na stole przezroczystą folię z kartkami i kopertami.

Oczom Lucyny i Elwiry ukazał się papier w zielone mazy, z szarą rybą u góry i hasłem: „Wędkowanie – hobby na cały rok”.

– Czy ja wiem? – Lucyna było mocno nieprzekonana. – Na czymś takim? W domu mam, znaczy na Morskiej trzy. Kupiłam, żeby pisać do rodziców. W kwiatki. To może trochę lepsza?

– Ta jest bardzo dobra. Lekcja numer jeden, Lu. Jeśli coś jest wadą, trzeba to obrócić w zaletę.

– To chyba brak mi pomysłu...

– A jak myślisz, będą zadowoleni, że odchodzisz?

– Raczej nie. Bo byli zadowoleni, że jestem.

– Właśnie! Dokładna, rzetelna, uczciwa Lucyna Szychowska. Porządek w papierach i folderach. Zostaje po godzinach. Jest miła. Nie ma dzieci, ma kredyt. Idealny pracownik korpo. Gdybyś po prostu poszła powiedzieć, że chcesz odejść, toby cię omamili trzema stówkami podwyżki. A skoro już piszesz, i to na oryginalnym papierze – Elwira stuknęła palcem w rybę – to znaczy, że jesteś zdeterminowana. Lub ześwirowałaś. Obie okoliczności są okej.

Leszek gwizdnął z uznaniem:

– Przeczuwam sukces Orient Ekspresu.

Lucyna wyciągnęła kartkę z zestawu papeterii. Z torebki wyjęła niebieski długopis. Przysunęła się do stołu i zaczęła pisać.

Pół godziny i trzy pomięte kartki na podłodze później Lucyna oznajmiła:

– To chyba mam.

– Czytaj! – poprosiła Elwira.

Lucyna poprawiła się na krzesło, podniosła kartkę bliżej oczu, odchrząknęła i zaczęła czytać:

– Jastarnia, dwudziesty siódmy czerwca dwa tysiące dziewiętnastego roku. Do pana Mariusza Piechocińskiego, dyrektora Departamentu Marketingu i Obsługi Klienta. Wymówienie z pracy. Chciałabym poinformować, że z dniem pierwszym lipca dwa tysiące dziewiętnastego roku rezygnuję z pracy. Choć pracownik nie musi podawać pracodawcy powodów rezygnacji, to chętnie wyjaśnię, dlaczego nie chcę już zajmować stanowiska specjalisty w dziale, w którym jest pan dyrektorem. Podczas urlopu uświadomiłam sobie, jak bardzo nie lubię swojego zajęcia. Może się to wydawać dziwne, bo do tej pory z zaangażowaniem zajmowałam się kranami, prysznicami, systemami odpływu, brodzikami i kabinami. W twierdzeniu, że sprawy z oddalenia wyglądają inaczej – prawdziwiej – jest dużo prawdy. Czteryście kilometrów okazało się idealnym dystansem, by zrozumieć, że nie chcę wracać do szklanego biurowca przy ulicy Domaniewskiej. Miałam proroczy sen: umywalka, a w niej kran. Cieknący, z którego rytmicznie skapywały krople, rozbijając się o białą porcelanę. Naprzeciwno, na krzesło, ja. Zupełnie jakbym siedziała przy biurku. Wyżej, nad umywalką lustro. Co spojrzałam na swoje odbicie, byłam starsza. Aż w końcu wstałam, odsunęłam krzesło, poprawiłam fałdy spódnicy. Z lustra patrzyła na mnie sześćdziesięcioletnia Lucyna, emerytka.

Ten proroczy sen uświadomił mi dobitnie, czego nie chcę: nie chcę spędzić ani dnia dłużej na swoim dotychczasowym stanowisku pracy.

Teraz proszę o udzielenie mi urlopu w wymiarze czterdziestu dwóch dni – tyle zaległego wypoczynku jeszcze przede mną. Potem przekażę swoje obowiązki, najchętniej zdalnie.

Życzę panu wszystkiego dobrego. Z pozdrowieniami – Lucyna Szychowska.

Postscriptum: I wreszcie się zakochałam!

– Bardzo dobrze! – pochwaliła Elwira. – Z takiego listu bije oczywista prawda: nie wrócisz do roboty.

– Zakończenie było najlepsze. – Uśmiechnął się Leszek.

– À propos zakończeń... – Elwira znacząco spojrzała na zegarek. – To chyba czas się żegnać. Niektórzy z nas wstają jutro rano na pociąg. Nie każdy sobie przedłuża urlop. Chodź, Lu. Przyszłość przed tobą.

Lucyna spojrzała na przyjaciółkę, a potem na Leszka.

– Właściwie to planuję zacząć tę przyszłość jeszcze dzisiaj. Zostaję na n... – Lucyna odchrząknęła – na noc u Leszka. Jutro rano przyjdziemy, żeby cię odprowadzić na stację, a potem się spakuję i przeniosę rzeczy na Morską jeden.

– Pierwszy raz w życiu dostałam od ciebie kosza. No ale z takim rywalem trudno wygrać. – Uśmiechnęła się Elwira. – Najwyraźniej ja też się muszę zacząć przyzwyczajać do zmian. Idę się coachować, a was zostawiam w dobrych rękach. Nawzajem! – Puściła do nich oko i po chwili usłyszeli trzaśnięcie drzwi wejściowych.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że zostałam. – Leszek obrócił się do Lucyny i spojrzał na nią z bliska. Wnętrze oświetlała jedynie mała lampka. W tym świetle jego oczy wydały jej się naraz jednolicie czarne i nieprzeniknione. Nie sposób było w nich zobaczyć czegokolwiek, a już najmniej – intencji patrzącego.

Znienacka zadrzała, w jednej chwili przypomniawszy sobie wszystkie razy, kiedy brała go za zjawę. Tak, to na pewno także przez te oczy. Niepokojące i bezdenne.

Co za bzdury!

Otrząsnęła się, chcąc się pozbyć głupich myśli jak pies wody z mokrej sierści. Rychło w czas zaczęła się bać, doprawdy! Dotąd wiedziała, że może się upić na wesoło lub smutno – a tu proszę: okazuje się, że także na straszno.

– Uwierzysz, że pierwszy raz zanocuję tu z dziewczyną? – ciągnął tymczasem Leszek, wciąż siedząc na kanapie bokiem, zwrócony przodem do Lucyny i usiłujący zajrzeć jej w twarz.

Uśmiechnęła się troszeczkę nerwowo, nie zmieniając pozycji.

Ostatecznie znają się tylko kilka dni. Zresztą: „znają się”! Czy to nie za dużo powiedziane? Los zetknął ich ze sobą, spędzili ze sobą trochę czasu. Wie, jak Leszek gestykuje, dotyka i całuje. Zakładając, że mówi prawdę, Lucyna wie także, kim on jest i czym dotąd się zajmował. Czy to są wystarczające podstawy do tego, żeby wywrócić swoje życie do góry nogami i budować całą przyszłość na niepoznanym fundamencie...? Tak mogą myśleć nastolatki, ale ona...?

A jeśli wcale nie jest tapicerem?

A jeśli policja wcale nie szuka go z powodu długów, a „malwersacje” to tylko wierzchołek góry lodowej???

Lucynie z wrażenia wyrwało się krótkie sapnięcie.

Wszystkie najmroczniejsze kryminały pochodzą ze Szwecji. Przypadek?!

Leszek z upodobaniem kontemplował jej niewinną, okrągłą buzię. Ta buzia, niestety, łypała na niego jakoś niewyraźnie.

– Coś cię trapi...? – spytał w końcu.

Aby się uspokoić, pomyślała o Elwirze. Gdyby przyjaciółka miała choć cień wątpliwości, że Lucyna nie będzie bezpieczna, odwiodłaby ją od pomysłu zostawiania tutaj na noc.

O, ten argument był dobry. Czowała, że się rozluźnia.

Co więc jeszcze powiedziałyby jej osobista trenerka personalna?

Że to bez znaczenia, czy znają się długo, czy krótko – bo można z kimś spędzić całe życie i niewiele o nim wiedzieć. Że ani siebie, ani drugiego człowieka nigdy się nie zna „do cna”. Zwłaszcza że człowiek ów podlega ciągłym zmianom, zależnie od tego, co go spotyka i czym karmi swoje myśli. Stykamy się więc ze sobą, ot, w rozmaitych punktach naszych dróg – i jeśli nam ze sobą po drodze (by dalej trzymać się tej metafory) – idziemy przez życie razem. Z jednymi dłużej, z innymi tylko do pierwszej przeszkody. Żaden dramat. Naturalna kolej rzeczy.

Lucyna odchrząknęła więc i w końcu spojrzała śmieiej na Leszka, a on wziął ją za rękę. Miał zwykłe, najzwyklejsze dłonie – ani duże, ani małe, umiarkowanie owłosione, raczej szczupłe, o dość twardej skórze, a całe zabiegi pielęgnacyjne, jakie wokół nich robił, ograniczały się do krótko obciętych paznokci. Jak to możliwe, że jeszcze do niedawna wcale nie znała tych dłoni – a teraz najchętniej w ogóle by się z nimi – i z całym Leszkiem! – nie rozstawała? Przeciwnie: trzymałaby się z nim za ręce i szła, i szła, wciąż dalej i dalej, najdłuższą z dróg, pokonując wszelkie przeszkody.

Westchnęła, podrapała się po nosie i uśmiechnęła już całkiem pewnie.

– Nic, nic. Myślałam sobie tylko, jaki mógłby być przewrotny finał tego wieczoru. Otóż okazujesz się jednak mordercą, zabijasz mnie w jakiś wyszukany sposób i nim wzejdzie świt, zakopujesz moje szczątki w grobie na tyłach domu, opodal pewnych niecierpków.

Leszek przez chwilę patrzył na nią osłupiały.

– Nie chciałbym cię rozczarować, kochanie – rzekł w końcu – lecz mam wobec ciebie zupełnie inne plany...

# Rozdział 18

## Dzień 14.

Lucynę coś smyrało w nos. Smyrało i smyrało, aż sen gdzieś się ulotnił i poczuła, że już tylko leży z zamkniętymi oczami, wcale nie śpiąc.

Co jej się śniło...?

Coś tam majaczyło natrętnie na granicy świadomości.

No, zaraz, zaraz, co to było...?

Ach, tak. Wspomnienie. Pierwszy dzień urlopu. Łaskotało ją w nos, dokładnie tak jak teraz. Otworzyła wtedy oczy i okazało się, że to mocny promyk słońca wędrował jej po twarzy.

A potem nastąpiły najdziwniejsze dwa tygodnie jej życia.

Chyba że...

...że to właśnie był sen. Najdziwniejsze dwa tygodnie nie wydarzyły się naprawdę. W rzeczywistości to właśnie teraz jest jej pierwszy dzień urlopu, wpadające przez okno kwatery słońce łaskocze ją w twarz, ona zaraz wstanie, zejdzie na dół, zrobi sobie kawę, usiądzie na schodkach ganku... Nie będzie żadnego nieboszczyka, ale nie będzie też Leszka ani rzucenia pracy...

Och...!

Żal był tak wielki, że Lucyna z impetem usiadła na łóżku i dopiero wtedy otworzyła oczy.

Leszek parsknął śmiechem.

– Dzień dobry! – powiedział i dmuchnął w jej stronę białe piórko z poduszki. – Jesteś niezwykła. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak się budził!

Przez chwilę patrzyła na niego nie do końca przytomnie, usiłując definitywnie stwierdzić, co jest jawą, a co snem.

Złapała piórko, potem dotknęła jego ramienia.

Był realny. Oraz nagi. Ona zresztą też.

– Co za szczęście. – Odetchnęła głęboko. – Jesteś prawdziwy! Myślałam, że mi się przyśniłeś.

– Prawdziwy, ale wyśniony! – Nachylił się i pocałował ją z czułością. – Wstawaj, księżniczko, musimy odprowadzić Elwirę na pociąg. Na pocieszenie mogę ci obiecać, że czeka nas jeszcze wiele takich przebudzeń, a po nich – pięknych dni! A po tych dniach – wspólnych nocy... I potem – znowu dni...

– To naprawdę możliwe...? – Lucyna w nagłym zawstydzeniu naciągnęła kołdrę na piersi. – Pachnie takim zwykłym, fajnym życiem we dwójkę. Niby nic wielkiego – a jednak to... taka cenna rzadkość.

– Tak – powiedział z mocą Leszek. – Ostatnie dni pokazały mi, że owszem, wszystko jest możliwe. Wy mi pokazałyście. Ty.

Na Morską trzy przyszli w samą porę, by dopiąć okropnie źle spakowaną walizkę Elwiry, zebrać resztę rzeczy Lucyny oraz pożegnać się z właścicielami, którzy o dziesiątej przyszli po klucze.

– O, dzień dobry, panie Jarku! – zdziwiła się uprzejmie Górnicka.

A potem pozostawało już tylko pójść razem na stację, kupić dla Elwiry wodę i jabłka na drogę oraz wypełnić czymś kilka ostatnich chwil przed rozstaniem.



– Żeby oszczędzić nam problemu, o czym gadać w oczekiwaniu na pociąg, niniejszym komisyjnie włączam komórkę – zapowiedziała Elwira. I jak powiedziała, tak zrobiła.

Smartfon z miejsca zaczął dławić się od licznych piknięć, buczeń i konwulsyjnych wibracji sygnalizujących rozmaite powiadomienia, SMS-y, maile i raporty o nieodebranych połączeniach.

– Życie wraca na zwykłe tory – skwitowała filozoficznie Elwira spod runda swego wspaniałego kapelusza.

– Skoro już o torach mowa, to właśnie jedzie pociąg. – Leszek wskazał charakterystyczną sylwetkę na torach od strony Helu.

– W poniedziałek rano z niemałą uciechą zanoszę wypowiedzenie twojemu szefowi. – Elwira zatarła ręce.

– A my najpewniej już w przyszłym tygodniu do ciebie wpadniemy – przypomniała Lucyna. – No, i do mnie też, po różne drobiazgi, na przykład komputer... Biuro Orient Ekspresu powinno mieć na stanie jakiś komputer, prawda? – Poszukała wzrokiem poparcia u współników.

Pokiwali głowami.

Pociąg zbliżał się nieubłaganie.

– To co? Powinam wam chyba teraz udzielić jakiegoś pożegnalnego błogosławieństwa? – Elwira uniosła nieco kapelusz, by spojrzeć Leszkowi i Lucynie w oczy ze swą zwykłą kpiąco-łobuzerską odmianą czułości. – Luśko! – zwróciła się do przyjaciółki. – Twoje obawy sprzed roku się sprawdziły: przygruchałaś sobie kogoś – mrugnęła znacząco do Leszka – choć i mój brak obaw okazał się słuszny, bo kłopotów z sypialniami nie było żadnych. Pewnie przez to, że przez splot niespodziewanych wypadków miałyśmy ostatecznie dwie kwatery! Jaro. – Teraz przeniosła uwagę na Leszka. – Przeżyłyśmy z tobą prawdziwe chwile grozy, ale też nieźle się wszyscy sprawdziliśmy w konstruktywnym działaniu w kryzysie. Do tego

was połączyło uczucie, nas wszystkich – sekret po grób. I pomysł na wspólny biznes. Całkiem nieźle jak na dwa tygodnie nad morzem, nie?

Pociąg z przeciągłym sapnięciem zatrzymał się na peronie.

– Te wakacje były jak sen. – Luśka pokręciła głową, jakby wciąż nie mogła uwierzyć, że to wszystko przydarzyło się naprawdę. – Dzięki za wszystko! – rzekła z uczuciem i by ukryć wzruszenie, z impetem rzuciła się Elwirze w ramiona.

Elwira cmoknęła ją w oba policzki, potem uścisnęła Leszka i lekko, jakby jej wypchana waliza nic nie ważyła, wskoczyła na schodki pociągu.

– Wszystko póki się nie wydarzy, wydaje się niemożliwe – wygłosiła sentencjonalnie i znikła za drzwiami wagonu, niczym Mary Poppins albo jakaś inna czarodziejka.